MAGAZYN OPINII

Pismo.

PAŹDZIERNIK 2026 | NR 10 (106)

ROZMOWA

Martyna Wojciechowska walczy o świat

POPKULTURA

Lalka wiecznie żywa

LITERATURA

Han Kang Sylwia Chutnik

EDUKACJA

Obyś cudzych dzieci nie uczyła

MIŁOŚĆ

Koniec ery randkowania

CENA: **24,99 zł** (W TYM 8% VAT)
ISSN 2544-5022 INDEKS 422258
10>
9 772544 502609

eprasa.pl 16e0f2445d

MAGAZYN OPINII

Pismo.

PAŹDZIERNIK 2026 | NR 10 (106)

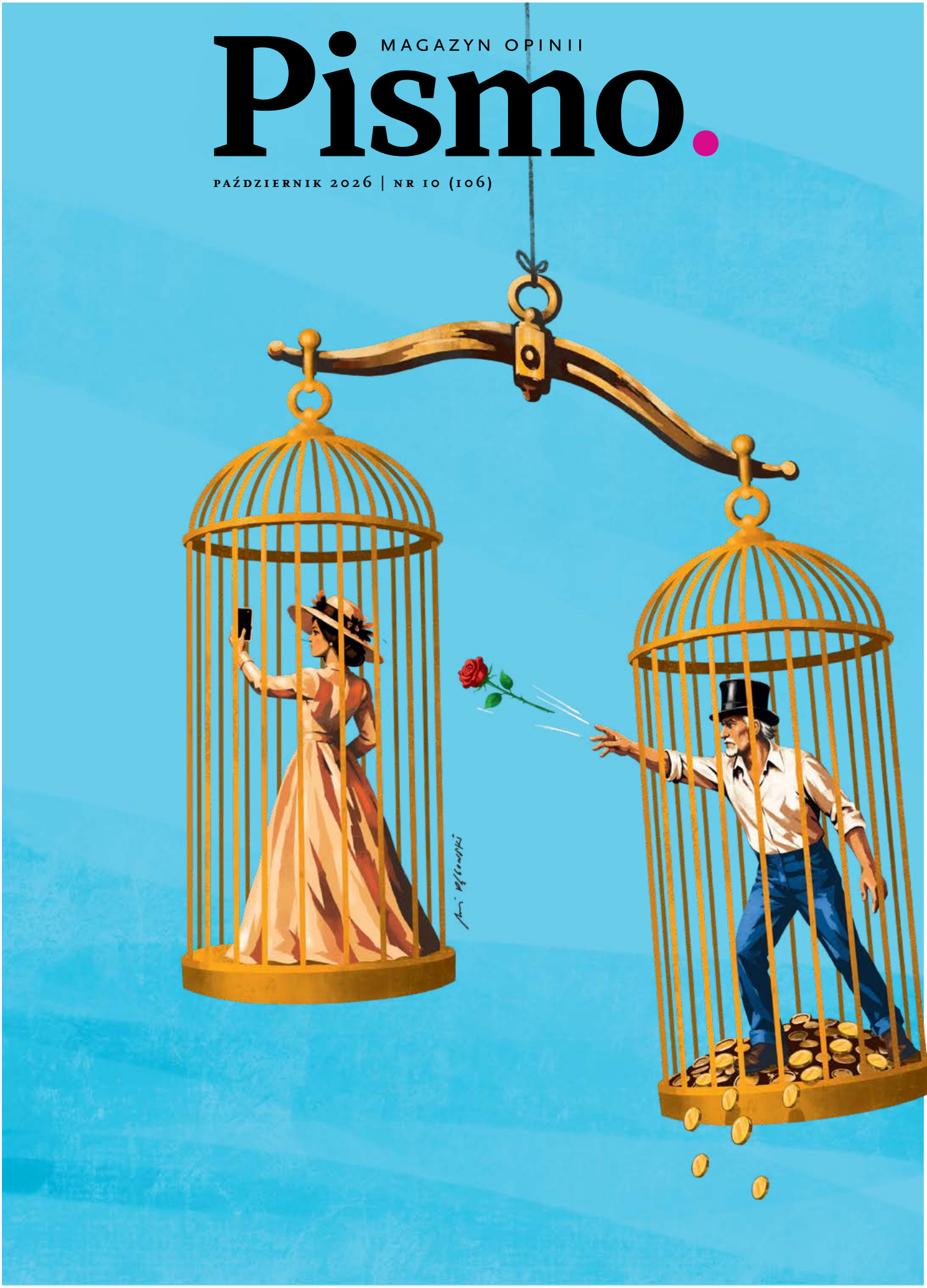

eprasa.pl 16e0f2445d

MAGAZYN OPINII

Pismo.

PAŹDZIERNIK 2026 | NR 10 (106)

ROZMOWA

Martyna Wojciechowska walczy o świat

POPKULTURA

Lalka wiecznie żywa

LITERATURA

Han Kang Sylwia Chutnik

EDUKACJA

Obyś cudzych dzieci nie uczyła

MIŁOŚĆ

Koniec ery randkowania

CENA: **24,99 zł** (W TYM 8% VAT)
ISSN 2544-5022 INDEKS 422258
10>
9 772544 502609

eprasa.pl 16e0f2445d

MAGAZYN OPINII

Pismo.

PAŹDZIERNIK 2026 | NR 10 (106)

eprasa.pl 16e0f2445d

Czytaj i słuchaj treści z „Pisma”. Zrozum rzeczywistość, w której żyjesz.

Zamów roczną prenumeratę z dostępem online, a otrzymasz:

- najnowsze wydanie specjalne „Wokół miłości”,
- dwanaście numerów miesięcznika w wersji papierowej i na czytniki,
- wydania audio czytane przez lektorów i lektorki z Radia 357,
- książkę Michaliny Wisłockiej „Sztuka kochania” w prezencie.

Darmowa dostawa na terenie Polski. Teraz także do paczkomatów InPost.

Kupując prenumeratę „Pisma” oszczędzasz 40 zł rocznie.
Zeskanuj kod QR lub wejdź na magazynpismo.pl/prenumerata
i skorzystaj z oferty.

MAGAZYN OPINII
Pismo.
PAŹDZIERNIK 2026

PROZA

Dzikość | 6
DOROTA GROYECKA

Owoce mojej kobiety | 86
HAN KANG

POEZJA

niedoczekanie | 3
DAMIAN PIWOWARCZYK

Jesień | 11
ANDRZEJ SOSNOWSKI

Półtony 2 | 21
SYLWIA CHUTNIK

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 39
AGNES OBEL, pyta MATEUSZ ROESLER

W KADRZE

Korzenie i gigant | 4
ARTEM HUMILEVSKYI

FOTOARCHIWUM

Jesteście naszym jedynym prawdziwym... | 30
MASHA WYSOCKA

KOMIKS

Pochmurność | 70
MAREK TUREK

ŻARTY RYSUNKOWE
KATARZYNA BELCZYK | potato face

OKŁADKA
ANDRZEJ PĄGOWSKI

EDYCJA LIMITOWANA OKŁADKI
ALEKSANDRA CZUDŻAK

TEKST OKŁADKOWY

12 | **Zabawy w błocie. *Lalka* rozbierana dzisiaj**
PAULINA MAŁOCHLEB o tym, co sobie opowiadamy poprzez nowe wersje tej samej historii

ROZMOWA

22 | **Ratowniczka zakłada pelerynę**
MAGDALENA KICIŃSKA rozmawia z MARTYNĄ WOJCIECHOWSKĄ

REPORTAŻ

40 | **Wielki kryzys miłości romantycznej**
FAITH HILL sprawdza, czy współczesne randkowanie jest skazane na porażkę

HISTORIA OSOBISTA

50 | **Polska szkoła jest kobietą**
ALEKSANDRA KORCZAK pokazuje wady, zalety i wyzwania systemu edukacji

Z PISMEM U...

60 | **Cezarego Żechowskiego**
JOANNA RUSZCZYK pyta znanego psychiatrę, czy rozmowa może realnie pomóc

ESEJ KULTURA

74 | **Szklana skóra**
ZYGMUNT BORAWSKI opowiada o Intraco i innych ikonicznych wieżowcach

FELIETON

2 | **Umysł rozproszony**
KAROLINA LEWESTAM // MYŚLI ZNIKĄD

84 | **Krótka przerwa w podróży**
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA o EDWARDZIE DWURNIKU // W RAMACH

94 | **O pożytecznych trudnościach i sensie studiowania**
MAGDALENA BIGAJ // LISTY Z CYFROWEGO ROJU

96 | **Zmowa parasoli**
AGATA ROMANIUK // COŚ NA RZECZY

ILUSTRACJE W TYM NUMERZE: KATARZYNA BELCZYK, ARTUR BLUSIEWICZ, AGATA BURNAT, ANNA GŁĄBICKA-MRÓZ, GOSIA KULIK, PAWEŁ PONICHTERA, ELINA PYROHOVA

Pismo. MAGAZYN OPINII

Pismo. Magazyn Opinii
magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja „Pismo"
ul. Świeradowska 47,
02-662 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezeska zarządu: Urszula Kifer
Członkini zarządu: Inez Jaworska

Redaktorka naczelna: Urszula Kifer **Zastępczyni redaktorki naczelnej:** Katarzyna Kazimierowska
Redaktorka prowadząca: Magdalena Kicińska **Redaktor ds. fact-checkingu:** Marcin Czajkowski
Felietony: Magdalena Bigaj, Karolina Lewestam, Agata Romaniuk **Redakcja:** Joanna Dolecka, Sylwia Niemczyk, Julia Pańków, Zofia Sawicka, Ilona Turowska **Korekta:** Tatjana Krajowska-Kukiel, Katarzyna Rogowska, Dorota Śrutowska
Dyrekcja artystyczna: Karolina Mazurkiewicz **Skład i łamanie:** Marta Juchnowicz-Bierbasz
Wydanie cyfrowe: Ewa Pluta (wydawczyni) **Menedżerka pozyskiwania przychodów i marketingu:** Inez Jaworska
Marketing: Anna Galewska **Media społecznościowe:** Marta Szymczyk **Prenumerata i subskrypcja:** Marcin Lipiec, Łukasz Tofil **Koordynator projektów i współprac:** Mateusz Roesler

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

FELIETON // MYŚLI ZNIKĄD

Umysł rozproszony

Jak patrzeć na książki, filmy, media i świat, kiedy coraz trudniej ułożyć sobie tożsamość? Opinie i przekonania, które próbują się nie przejmować, że płyną coraz bardziej znikąd. Więcej na **magazynpismo.pl/mysli-znikad**

KAROLINA LEWESTAM, dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma".

Ja znowu, jak ta ciotka na imieninach, o jednym – czy jesteśmy wolni? I to jeszcze wcale nie tak, jak jakaś socjologicznie interesująca ciotka, która by się na przykład zastanawiała, czy aby nie przez ten cały wokizm nic już nie można – nawet klepnąć jędrnego pośladka praktykanta, żeby zaraz nie wysyłali człowieka na szkolenie („Umysł zniewolony to jedno. Prawdziwy problem to zniewolony klaps. Poproszę jeszcze nóżek w galarecie"). Ja jestem jak ta o wiele gorsza ciotka, która siedzi w kącie, pali peta i ewidentnie próbuje wyglądać jak późna Simone de Beauvoir.

Ta ciotka wydmuchuje dym i smędzi z nadzieją, że ktoś rzecz podejmie: „Ach, czy wolność ludzka jest w ogóle możliwa?". I tej ciotce chodzi oczywiście o to, nad czym ludzkość zastanawia się od tysiącleci – w naszej tradycji intelektualnej znane jest to jako pytanie o wolną wolę.

Jest oczywiście masa argumentów przeciwko temu, że człowiek może podejmować prawdziwe, autonomiczne decyzje. Jednym z nich jest determinizm. Nasze decyzje dzieją się w mózgach, mózgi są częścią świata, świat jest zrobiony z cząstek elementarnych, cząstki elementarne robią to, co robią, bo obiły się wcześniej o inne cząstki – *ergo* wolna wola nie istnieje, nawet jeśli nam się wydaje, że jesteśmy kierownikami produkcji znanej jako nasze życie.

Innym takim argumentem, nieco lżejszym, jest socjologia. Otóż żyjemy w iluzji, że coś sobie wybraliśmy, na przykład studia prawnicze. Wystarczy jednak objąć kamerą nieco szerszy plan, a wtedy widać, że wszyscy z naszej klasy społecznej, z rodzicami prawnikami tak jak nasi i z jednego strzeżonego osiedla, jakimś cudem wybrali te same studia (lub medycynę). A to świadczy o tym, że takie z nas autonomiczne jednostki jak z kozich pysków waltornie.

To mocne argumenty, nie da się ukryć, ale wiadomo, że trudno żyć, cały czas o nich pamiętając. Bo jak człowiekowi się przypomni nagle, że nie jest sobie sterem, żeglarzem ani okrętem, ale wątłą bańką unoszącą się na oceanie przyczynowo-skutkowości, to ma ochotę wypisać się z tego całego przedsięwzięcia, siąść i płakać. Bo skoro i tak nie ma na nic żadnego wpływu, to niech te cząstki sobie robią, co do nich należy. I teraz to człowiek już nie chce być wolny i będzie gnić w łóżku, bo najwyraźniej tak miało być. *Thank you very much*, Wielki Wybuch i wszystkie elektrony.

Dlatego właśnie dobre życie polega na tym, żeby o tym nie pamiętać i robić swoje tak, jakby się było wolnym. Ciotka więc zwykle wychodzi z imienin i zapomina o całej sprawie – co się po filozoficznemu nazywa kompatybilizm. Ale ostatnio ciotce coraz trudniej zapominać. Bo tym, co pozwala nam funkcjonować tak, jakbyśmy naprawdę byli własnym autonomicznym centrum zarządzania, nie są fakty. Jest tym nasze subiektywne poczucie, że tak właśnie jest. Determinizm determinizmem, ale mogę przysiąc, że kiedy decydowałam wczoraj, czy zjeść kolejnego loda, to działo się to u mnie w środku, w głowie. Tak czułam – i tak zwykle czujemy wszyscy. Ostatnio jednak coś się zmieniło, coś fundamentalnego.

Biorę rano telefon i widzę wiadomość ze szkoły: „Sprawdź maila". W mailu jest newsletter z firmy sprzedającej skarpetki. Klikam – i rzeczywiście mają fajne skarpetki, więc kupuję. Nagle bum!, powiadomienie z Instagrama. Zapominam o skarpetkach, bo dowiaduję się, że moje ciało wciąż trzyma w sobie traumę, konkretnie w okolicach żuchwy, więc próbuję szybko ją zrelaksować. Ale już pojawia się następny post, o tym, że AI nas zje, więc się boję. Nadal jednak chcę relaksować moją żuchwę, ale zaraz pojawia się reklama jedzenia dla kotów. Klikam i kupuję karmę. Po godzinie wciąż nie przeczytałam maila ze szkoły, ale za to mam skarpetki i kocie żarcie oraz pozostaję z ogólnym lękiem, zogniskowanym wokół żuchwy. Tak nam wszystkim mijają wieczory i poranki – nie jak decydentom, ale jak kulom bilardowym, dźganym zewsząd niewidzialnym kijem.

Trzymanie się tezy, że jesteśmy autonomicznymi, decyzyjnymi jednostkami nigdy nie było bardziej nieintuicyjne. I być może niczego gorszego nie zrobił nam świat współczesny od odebrania nam iluzji samosterowności – bo tylko ona dawała nam poczucie, że jesteśmy kimś.

Cykl *Myśli znikąd* sponsoruje **Instytut Kultury Miejskiej** w Gdańsku.

Przeczytaj lub wysłuchaj innych tekstów tej autorki na **magazynpismo.pl/lewestam-karolina**

rysunek ANNA GŁĄBICKA-MRÓZ

POEZJA

niedoczekanie

DAMIAN PIWOWARCZYK

—

to był dobry dzień,
ze słońcem migotliwym i wysokim, pustym niebem,
teologowie są zgodni,
tego dnia i piekło było puste, i niebo było puste,
prawdziwa komunia ponad podziałami,
zrobiło się w końcu dużo miejsca,
dla kruchych ludzi uśmiechniętych krucho,
z supermocami dziecięcymi,
takimi jak szukanie gliny pod piaskiem,
wyprawianie dostojnych pogrzebów z płytkimi grobami dla ślimaków,
i patrzeniem w oczy ze łzami,
pożywne kwiaty i ciężkie słonecznki,
przednia nóżka mrówki, łupinki światła,
coraz mniej tych, którzy pamiętają mnie jako dziecko,
a nie mam 40 lat jeszcze przecież!
ale nic to, nie boje się, w końcu się nie boję,
bo pontonowe mosty rozpięte między nami,
kołyszą się miękko,
idę do Ciebie niepewnie,
jestem spocony, pachnę,
nie wstydzę się,
nie trzeba się wstydzić czegoś,
na co nie mamy wpływu,
nie trzeba się wstydzić,
że umarli,
że samemu się jest,
żyję prosto w Ciebie,
patrzę prosto w światło,
wydaję na bzdury, i zmyślam wesoło,
wszystkie zegary świata stopiły się w jedną,
odwleczoną w nieskoczoność chwilę,
noc się spóźnia.
Dzisiaj nie przyjdzie,

dzisiaj będzie inaczej.

DAMIAN PIWOWARCZYK

poeta, autor tomu *Rezyliencje*, psycholog pracujący w szkole podstawowej.

W KADRZE

zdjęcie i tekst

ARTEM HUMILEVSKYI

KORZENIE – PODRÓŻ W POSZUKIWANIU TOŻSAMOŚCI
cykl z lat 2022 – (2026)

Po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji zacząłem pracować nad nową serią zatytułowaną *Korzenie*. Wspólne nieszczęście obudziło w Ukraińcach jakiś nieuświadomiony kod – wszyscy, nawet ci mieszkający w najodleglejszych zakątkach świata, poczuli zew swojej ojczyzny, swojej tożsamości i wolności.

Cykl powstał podczas wojny i dotyczy ducha, siły korzeni i więzi między nami. W nowych pracach kontynuuję podróż do odkrywania wewnętrznej jaźni, którą rozpocząłem w poprzedniej serii *Gigant*. W *Korzeniach* zastanawiam się nad nią na innym poziomie, teraz jako częścią społeczności, i szukam nowych skojarzeń tożsamości, które nie będą wynikać wyłącznie z koncepcji narodu. Proponuję nowe obrazy ideologii opartej na fantazji, w których ujawniam podświadome symbole duchowe i pokazuję, jak subtelnie są w nas wplecione.

Zdjęcia z serii *Gigant* oraz rozmowa z autorem na **magazynpismo.pl/korzenie-i-gigant**

KREW ZIEMI (2022)
To nie jest obserwacja zbiorowej traumy, lecz całkowite zanurzenie się w niej, akt scalenia się z bólem własnej ojczyzny. Rodzi on pytanie: czy odrodzenie biorące początek w samym środku cierpienia jest w ogóle możliwe, czy jest to jedynie droga do samozniszczenia?

Więcej zdjęć z tegorocznego cyklu na **magazynpismo.pl/w-kadrze**

ARTEM HUMILEVSKYI, fotograf, ekonom, inżynier. Członek szkoły fotografii artystycznej i konceptualnej MYPH. Laureat wielu nagród, m.in.: Global Peace Photo Award 2022, PinchukArtCentre Prize 2022, finalista Rotlicht Festival 2023, Kolga Tbilisi Photo Award 2025, Rovinj Photodays Award 2025. Urodził się w Mikołajowie w Ukrainie.

Mecenasem cyklu „W kadrze" jest **Fotofestiwal – Międzynarodowy Festiwal Fotografii w Łodzi**.

FOTOFESTIWAL
SZTUKA | WSPÓŁPRACA | SPOŁECZNOŚĆ

Dzikość

tekst DOROTA GROYECKA

—

Kiedy zobaczyłam zdjęcie Henryka w „Głosie Rewaw", pękło mi serce. Nie pierwszy raz, w końcu mam za sobą ponad 30 lat w małżeństwie i 40 lat w oświacie. Jednak nigdy dotąd nie poczułam piekącego bólu w mostku pod wpływem lokalnej prasy. Zasadniczo wolę książki.

Gazetkę regularnie przynosi mieszkający ze mną syn, w dniu, w którym robi zakupy w pobliskim Universamie. Przeglądam ją, po czym zużywam na ziemniaczane obierki. Tym razem przeczytałam tekst od początku do końca, wycięłam zdjęcie i wkleiłam je do notesu, w którym zapisuję sprawy z kategorii: pilne i/lub ważne.

Henryk bardzo przypominał naszego Stefana.

Tamtego dnia poczułam, że powinnam coś powiedzieć w obronie chłopaków. W końcu nie przemówią już ludzkim głosem. A odkąd Stefan i jemu podobni tak licznie pojawili się w naszej okolicy, wszystko zmieniło się na lepsze. Tak to widzę.

—

W POPRZEDNIM SYSTEMIE uczyłam języka rosyjskiego. Jako jedna z pierwszych w szkole wyczułam wiatr zmian i w pół roku przekwalifikowałam się na angielski. Nigdy nie pozbyłam się słowiańskiego akcentu, ale sądzę, że byłam dobrą nauczycielką. Nie taką, co to tylko podręcznik i kartkówki ze słówek. – *Listen, children* – mówiłam głośno i wyraźnie, po czym otwierałam jednego ze swoich ulubionych klasyków. Tym z poprzedniego ustroju czytałam dramaty Czechowa. Tym po transformacji – Orwella. – *Listen, children: All animals are equal but some animals are more equal than others.**

Mój mąż umarł po tygodniu od przejścia na emeryturę. Tak jakby dał szansę każdemu z dni tygodnia i w niedzielę po *Wiadomości*ach już go nie było. Nagłe zatrzymanie krążenia. W nadchodzące wakacje i ja miałam pożegnać się ze szkołą, ale poprosiłam dyrektorkę, żeby darowała mi jeszcze kilka lat życia. Po pięciu już byłam gotowa, nie znajdowałam też języka, którym mogłabym dotrzeć do młodzieży. Klasa nie chciała słuchać, jak czytam Orwella, wszyscy wpatrywali się w telefony pod ławkami. Wszyscy mieli Orwella w domu.

Mijają lata, a ja wciąż nie umarłam. Niewiele się u mnie działo, poza tym że z powrotem zamieszkał ze mną syn. Dawniej w drewnianych domach z werandami, obdrapanych modernistycznych willach i murowańcach bez właściwości rezydowali robotnicy, nauczyciele, urzędnicy. Niektóre pustostany zajmowały grupki hippisów i artystów. Między działkami duże połacie zieleni, w wielu miejscach brak siatek czy płotów. Potem jedna za drugą zaczęły wyrastać 400-metrowe i większe rezydencje z basenami, budkami dla ochroniarzy i rottweilerami. Później kolejne, mniej okazałe, za to bardzo nowoczesne szklane domy, w końcu „kurniki" (jak nazwał je w „Głosie Rewaw" pewien architekt). Ogrodzenia niczym fortyfikacje. Wypielęgnowane ogrody, nigdy nie widziałam, żeby ktoś grał w nich w piłkę lub deptał trawę.

Na naszej piaszczystej drodze wylano asfalt, pod oknami z piskiem opon wchodziły w zakręt coraz szybsze samochody. „Śpieszą się z tymi swoimi bąbelkami" – jęczał mój zgorzkniały od czasu rozwodu syn. Do jednej z kilkunastu prywatnych placówek. „Moja" szkoła i państwowe przedszkole przestały wystarczać. Nie byliśmy już małą kolonią. Z jednej strony wchłaniało nas miasto, gęstnieliśmy, z drugiej – pożeraliśmy las. Kęs za kęsem, sosna za sosną.

—

DOPÓKI PRACOWAŁAM, nigdy nie czułam się samotna. Wyczekiwałam lata – długich godzin spędzanych z nogami w strumieniu lub z książką na werandzie. W niewielkim zielonym domu pośród drzew, który dostaliśmy w wieczyste użytkowanie. Syna wysyłaliśmy na kolonie do uzdrowisk górskich i chociaż za każdym razem płakał przy rozstaniu, byłam nieugięta. Mówiłam sobie i innym, że jego płuca tego potrzebują, ale tak naprawdę potrzebowała tego moja

rysunek ELINA PYROHOVA

DOROTA GROYECKA, dziennikarka, pisarka, współzałożycielka i redaktorka naczelna magazynu „non/fiction". Autorka książek *Gentryfikacja Berlina. Od życia na podsłuchu do kultury caffè latte* oraz *Krwinki. Opowieści o stracie i nadziei*. Ukończyła Polską Szkołę Reportażu.

głowa. Żywiłam się kanapkami, mąż zjadał obiad w zakładowej stołówce, piekłam tylko ciasto z rabarbarem lub truskawkami. Od czasu do czasu odwiedzały nas zaprzyjaźnione małżeństwa. Graliśmy w brydża, leniwie popalaliśmy, papierosy nie były wtedy szkodliwe.

Nie ma już mojego męża ani tych przyjaciół. Wymeldowali się. Zmienili adres. Kiedy jesteś w pewnym wieku (szybciej niż ci się wydaje), przynajmniej raz w miesiącu dostajesz zawiadomienie o pogrzebie. Potem zaczynasz chodzić na pożegnania ludzi, których tak naprawdę nie znałaś. Klepsydra zawieszona na bramie kościoła. Informacja w gazecie. Chcesz jeszcze coś poczuć.

Nikt nie zauważa, że nie należysz do grona bliższych czy dalszych znajomych. Kiedy jesteś kobietą, to w pewnym wieku (szybciej niż ci się wydaje) stajesz się przezroczysta. Nie tylko w urzędzie czy sklepie. W domu również. Syn niewiele ze mną rozmawia. Może to kolejny dołek psychiczny, a może zemsta za tamte kolonie. Depresja i matka – dwa największe problemy współczesnego człowieka. Cóż, trzeba odpokutować. (Albo zacząć zgłębiać dla odmiany polską myśl feministyczną).

—

TAMTEGO DNIA, jak zwykle około wpół do ósmej wieczorem, wyprowadzałam moją Pieskę. Cztery kilo kości i futra, wystające ząbki, york w typie pudla. Dzięki niej zachowywałam jaką taką sprawność. Miałyśmy swoją stałą wieczorną trasę wiodącą obok zarośli, na których jeszcze nie położyli łap deweloperzy.

Z naprzeciwka nadszedł postawny mężczyzna z plecakiem na ramieniu. Może kiedyś go uczyłam? Ale kiedy zbliżyliśmy się do siebie na tyle, że mogłam przyjrzeć się jego twarzy, nie poznałam go, on też nie wydawał się mnie kojarzyć.

Mimo to mężczyzna się zatrzymał.

– Na pani miejscu bym tam nie szedł – zawołał, jak gdyby stał dalej niż w rzeczywistości.

Na moim miejscu?

– Ma pan na myśli mój wiek? – zapytałam, przyjmując na wpół żartobliwy ton.

– Nie. Chodzi o to, że idzie pani z pieskiem. A tam w krzakach stoi wielki dzik.

– Z Pieską.

– Słucham?

– To suczka. W każdym razie dziękuję za ostrzeżenie.

Nie przestraszyłam się. Nieraz widywaliśmy dziki podczas zbierania jagód czy grzybów. W okolicy można było trafić na ich ślady, zrytą ściółkę czy odchody. Zwierząt się nie bałam. Jeśli ktoś budził mój niepokój w lesie, to ludzie. *Four legs good, two legs bad*. Zwłaszcza samotnie przechadzający się mężczyźni, bez dziecka, bez psa, zdawałoby się – bez celu. A co, jeśli to właśnie ja byłam celem? Jednak z wiekiem i to się zmieniło. Jeśli jest jedna dobra rzecz w starzeniu się, to zanikanie lęku przed psychopatami. Oni także raczej gustują w młodości.

Jednak tamten człowiek wydawał się autentycznie zaniepokojony. Co samo w sobie było tak miłe, że postanowiłam nie robić mu przykrości. Odchodząc w stronę szosy, obejrzał się jeszcze dwa razy, a ja udawałam rozsądną. Pokręciłam się niedaleko przystanku, a kiedy tylko mężczyzna wskoczył do autobusu, zawróciłam w stronę zagajnika.

Przeszłam może dziesięć metrów, kiedy krzewy poruszyły się, wysunęła się najpierw głowa, a potem cała reszta wytruchtała na drogę. Pieska z przejęcia stanęła jak wryta, nawet nie zaszczekała. Faktycznie, był to spory okaz. Wielki wilgotny ryj, małe oczy, sterczące uszy, opasły brzuch i nieproporcjonalnie chude nogi. Szczecina. Dzik to nie jest piękne zwierzę. Ale, może przez nadany mu w chwili stworzenia element komiczny, budził moją sympatię.

Coś jeszcze przeżuwał, potem rozszerzył nozdrza, uniósł pysk do góry, chwilę węszył. W końcu zastygł. Patrzyliśmy na siebie bez ruchu, jakby to była gra w „kto pierwszy mrugnie". Jestem katoliczką, więc nie wolno mi tak nawet myśleć, ale przez moment wydawało mi się, że rozpoznały się nasze dawne wcielenia. Szczelina się otworzyła.

Trwało to kilka minut albo całą wieczność, aż nadjechał zza moich pleców samochód. Dzik uciekł spłoszony.

Wracałam do domu z piekącymi policzkami. Dawno nie czułam się tak w i d z i a n a.

—

OD TAMTEJ PORY wychodziłam na spacer z nadzieją, że go spotkam. To wybierałam nowe ścieżki, to wracałam w okolicę zarośli. Wchodziłam do lasu i tak długo kluczyłam, aż zaczynały mnie piec uda, a Pieska ciągnęła zziajana w stronę domu. Pod wieczór otwierałam laptopa, stary model odziedziczony po synu, i wyszukiwałam informacje o zwyczajach dzików. Czułam się, jakbym tropiła zwierzynę, choć towarzyszyły mi zapędy nie mordercze, a miłosne. Dowiedziałam się, że ryj nazywany jest gwizdem, uszy to słuchy, oczy – świece, nogi – biegi, a pęk na końcu ogona to chwost. *Khvost* – po rosyjsku ogon właśnie. Kwiczenie, chrząkanie, fukanie, rechotanie i charkotanie – tak wyrażała się cała gama ich emocji. Każde nowo poznane określenie sprawiało mi radość. „Babrzysko". Miejsce bytowania – i tarzania, do którego w okresie letnim dochodziło od dwóch do trzech razy na dobę. Kapitalne.

Wpisałam w wyszukiwarkę „znani ludzie i dziki". Wyskoczyło zdjęcie Simony Kossak w jej chacie w Puszczy Białowieskiej. Profesorka nauk leśnych siedzi przy stole zrobionym z masywnego pnia, na który wdrapuje się wielka locha. Między nimi rozpostarta międzygatunkowa czułość. Następnego dnia odwiedziłam bibliotekę i wypożyczyłam wszystkie dostępne książki Simony. Ukłucie zazdrości. Jakby żal za życiem, które mogło być moim udziałem, gdybym podjęła inne decyzje.

Ale w tej skórze żyje się tylko raz. Tak jak pisała moja ulubiona poetka przyrody Mary Oliver:

Tell me, what is it you plan to do
*with your one wild and precious life?***

—

IDĄC ŚLADAMI ODYŃCA, doświadczałam różnorodnych spotkań. Dzięcioł zielony, w zasadzie oliwkowy. Nosiłabym jego płaszcz. Łoś, dostojny i poważny. Ukłoniliśmy się sobie i każde poszło w swoją stronę. Jeż, jeże są zawsze zaaferowane, zwłaszcza po zmroku („Mój mały, maleńki, czy ty o tym wiesz, że nocą – północą, chodzi złoty jeż" – dawno temu tekst Ewy Szelburg-Zarembiny recytowałam synowi do snu).

Byli też ludzie. Stałam akurat na ścieżce, w odległym od mojego domu zagajniku, podekscytowana, bo przed chwilą on, właśnie on przebiegł mi drogę. Wtedy podeszła

do nas od tyłu kobieta w średnim wieku, z pieskiem w typie dalmatyńczyka.

– Proszę się nie bać. Jest niegroźny. To nasz Stefan.

Najpierw byłam przekonana, że mówi o swoim psie, którego oczywiście się nie bałam. Chwilę później zrozumiałam.

– Ma pani na myśli tego dzika?

– Tak. Pojawia się w naszej okolicy z końcem zimy, to już któryś sezon. Zawsze sam. I naprawdę nie stanowi zagrożenia. Boi się własnego cienia.

A więc miał imię. Zostało mu nadane. A skoro tak, to należał już do kogoś, do tej części kolonii.

Musiałam mieć nietęgą minę, bo kobieta zapytała, czy źle się czuję, i zanim zdążyłam zaoponować, chwyciła mnie pod ramię, energiczna i krzepka. Okazało się, że uratowała suczkę z pseudohodowli. Niedawno odkryła, że partnerka zdradza ją z manikiurzystką. Teraz nie wiedzą, jak podzielić się opieką nad Kropką. Bardzo wiele zbędnych informacji, ale wciągających, tak jak wciągające potrafi być życie innych. Odprowadziła mnie pod sam dom, zapisała swój numer i kazała obiecać, że nie będę się sama zapędzała tak daleko (obiecałam, trzymając palce skrzyżowane za plecami).

Przestałam szukać Stefana. A wtedy zaczął mi się pokazywać. Na leśnych duktach, między domami, raz nawet w okolicy kościoła. Zawsze przelotem, truchtem, nigdy już nie spojrzeliśmy sobie w oczy (świece). I pewnego dnia dla odmiany to ja zaszłam młodą kobietę z wózkiem, stała na ścieżce, zdjęta strachem, wpatrując się w znikający między drzewami chwost.

– Proszę się nie obawiać. To nasz Stefan. Boi się własnego cienia – rzuciłam i spodobało mi się brzmienie tych słów. Może jednak też trochę mój?

Dziewczyna wyraźnie się rozluźniła. Poszłyśmy dalej razem. Dowiedziałam się, że niedawno przeprowadzili się z mężem i kilkumiesięczną córką do jednego z nowych bliźniaków. Że mąż dużo pracuje, a ona czuje się samotna. Że towarzyszy jej ciągły lęk o dziecko i niepewność – czy będzie dobrą matką?

– Najlepszą i najgorszą – odpowiedziałam i obie się roześmiałyśmy. Opowiedziałam jej o swoim wieloletnim zmaganiu

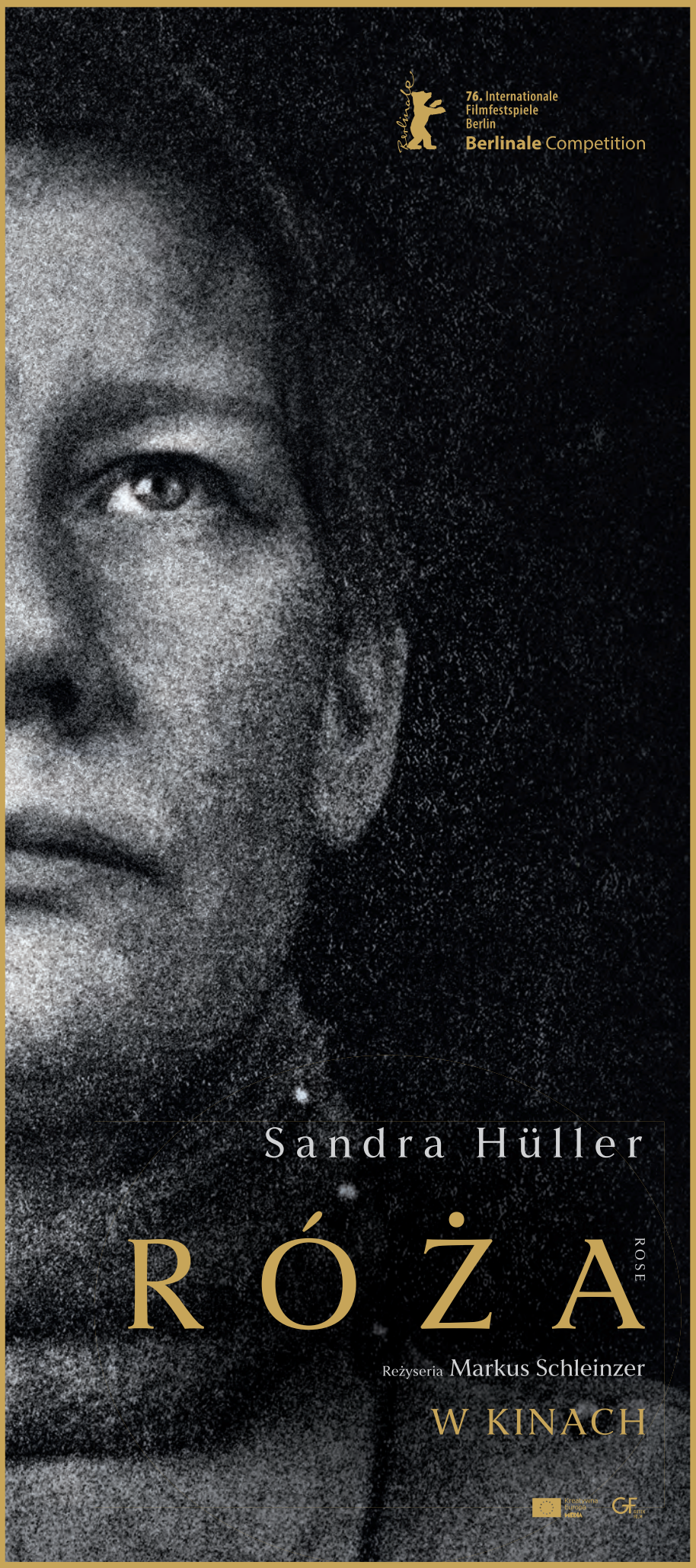

z tym pytaniem. O mojej niedawnej dzikiej obsesji. Słuchała uważnie, złakniona towarzystwa. Przypomniałam sobie, że na drzwiach biblioteki wisiało ogłoszenie o organizowanym w domu kultury kręgu wsparcia dla mam. Kilka dni później przełożyłam za jej bramę garnek z rosołem. Do mojej skrzynki wpadła własnoręcznie zdobiona kartka z podziękowaniem.

—

PRZYSZŁA WIOSNA i nagle w okolicy zaroiło się od dzików. „Jest dużo gorzej niż w poprzednich latach" – pisano w „Głosie Rewaw" i na forach internetowych. Zwierzęta trafiły do głównego wydania *Wiadomości*. – Co znaczy „gorzej" – mamrotałam do Pieski. W końcu w naszej okolicy działo się coś poza drobnymi włamaniami, modernizacją torów, budową autostrady czy wycinką drzew pod nowe osiedla.

Owszem, dziki zapamiętały rozkład wywozu śmieci. Przychodziły w środku nocy lub nad ranem i wywracały kosze, najchętniej plastiki i zmieszane. Rozrywały worki, rozwlekały zawartość. Trzeba tak śmiecić, żeby się nie musieć wstydzić. Ograniczyć sztuczne opakowania, jednorazowe środki higieniczne, kompostować. Czy ja muszę uczyć młodszych, czego potrzebuje nasza planeta?

Zwyczaje dzików wymagały od nas pomysłowości – sposobów na zabezpieczenie klapy śmietnika i ustawienie go tak, żeby trudno było go obalić. Syn zainstalował na płocie kamerę i zaczął rejestrować poczynania stada. Postanowił zmontować z nagrań film dokumentalny. Dawno nie widziałam go równie ożywionego.

Było mi tylko żal wypielęgnowanych przez miasto trawników i grządek z tulipanami. Jednak to cena, którą płaciliśmy za swoje niszczycielskie działania. Niewygórowana stawka za festiwal dziczenia.

Był ciepły majowy wieczór, siedziałam w fotelu i czytałam przy otwartym oknie. Nagle usłyszałam pisk opon i przerażone kwiki. Wybiegłam przed dom ze ściśniętym żołądkiem. Na szosie dochodzącej do naszej ulicy stał w poprzek sportowy samochód, musiał wpaść w poślizg podczas ostrego hamowania. Z auta wysiadł krępy mężczyzna koło pięćdziesiątki i ładna kobieta w wieku poprawionym. Rozpoznałam ich, mieszkańców szklanych domów.

Po szosie biegał malutki warchlak. Musiał się odłączyć, kiedy locha z resztą młodych przeszła na drugą stronę i nie zauważyła zguby. Pomyślałam, że będę musiała opowiedzieć o tym swojej nowej koleżance. Nie musi być dla siebie tak surowa. Zdarzają się wpadki, również w naturze. Tymczasem z drugiej strony nadjechał samochód, zatrzymał się, wysiadła z niego rodzina z szeregowców. Mężczyzna zadzwonił po leśny patrol. Gość ze sportowego samochodu ściągnął koszulę i próbował narzucić ją na malca. Z drewnianych komunałek wyszli gapie, kilkoro z nich przyłączyło się do nas. Ciasnym kręgiem otoczyliśmy przerażone,

nieustannie kwiczące zwierzę. Współpracowaliśmy ze sobą aż do przybycia leśników. Kazałam strażnikowi dać słowo, że odda warchlaka matce. Przysiągł na swoje zdrowie (czy na pewno nie skrzyżował za plecami palców?). Tej nocy kładłam się spać prawie szczęśliwa.

—

KILKA MIESIĘCY później grabiłam liście w ogrodzie, kiedy syn zawołał mnie z kuchni. Spocony, przejęty. Weszłam do domu, ściągnęłam rękawiczki i wzięłam od niego telefon. Na platformie, na której spędzał sporo wolnego czasu, ktoś zamieścił filmik. Przez chwilę nie wiedziałam, na co patrzę, a może nie chciałam się domyślić. Poprosiłam, żeby przeczytał mi podpis, nie miałam okularów. „Odstrzał *kłopotliwych* dzików pod miastem". Opadłam na krzesło. Łzy pociekły same, jak z odkręconego węża.

Chwost, szczecina, gwizd. Niby jednakowe, dla mnie – niepowtarzalne.

Doesn't everything die at last, and too soon?

– Może udałoby się go pochować, jest takie jedno miejsce niedaleko... – zwróciłam się do syna, jednak ten machnął ręką.

– Nikt ci nie wyda ciała. Afrykański pomór świń, no i z jakiej racji.

Znowu się mijaliśmy, jego wzrok się po mnie prześlizgiwał. Skróciłam spacery z Pieską do minimum, a jeśli wypatrzyłam z daleka znajomą twarz, zaraz skręcałam. O czym tu gadać?

Zaczęłam łatwo marznąć, przysypiałam nad książką po zaledwie kilku akapitach. Przykładałam dłoń do klatki piersiowej, żeby sprawdzić, czy serce jeszcze bije.

Biło, ale powoli.

Aż do dnia, kiedy syn przyniósł gazetkę z Universamu.

Sprawa z pobliskiego domu opieki społecznej, na którego teren wszedł samotny odyniec. Podobno okoliczni go znali, nawet nadali mu imię. Czasem mieszkańcy DPS-u wystawiali mu resztki z kolacji. Tym razem ktoś z personelu zadzwonił po straż.

Leżący na boku Henryk tak bardzo przypominał naszego Stefana.

* George Orwell, *Animal Farm*, Polkadot Classics, 2024.
** Mary Oliver, *The Summer Day*, [w:] *Devotions: The Selected Poems of Mary Oliver*, Penguin Press, 2017.

Więcej opowiadań przeczytasz lub wysłuchasz na **magazynpismo.pl/proza**

POEZJA

Jesień

ANDRZEJ SOSNOWSKI

—

Oni też przekraczają miarę, burmistrz i elita,
przysyłając listy pełne świetnych ofert
życia tak zawrotnego, że blask na peronach
gra jak pozytywka i ktoś parska śmiechem
kiedy wiatr podrzuca liście i odsłania krew,
którą skryło złoto jesieni. I chce się płakać,
bo cierpimy oszczędnie pośród znacznych ofiar.
Ale ktoś komuś tłumaczy, że żyje zachłannie,
przeskakując z nocy w pospieszne poranki,
a ktoś tłumi skowyt, wkładając wieczorem
ironiczny uśmiech jak dwurzędowy garnitur.
I tylko jesienią zdołasz poznać ideoplastykę
snu, co wyrasta na zboczach powietrza:
in girum imus nocte et consumimur igni
(w koło idziemy nocą i trawi nas ogień).

Utwór pochodzi z tomu Życie na Korei *dostępnego obecnie w Wolnych Lekturach*

ANDRZEJ SOSNOWSKI

poeta, tłumacz (m.in. Elizabeth Bishop, Johna Ashbery'ego, Henry'ego Greena). Redaktor „Literatury na Świecie". Laureat Nagrody Osobnej – specjalnego wyróżnienia Nagrody Literackiej Gdynia w 2011. W 2013 roku otrzymał Nagrodę Literacką Gdynia za tom *Sylwetki i cienie*. Laureat Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius" 2017 za całokształt twórczości.

ESEJ KULTURA

Zabawy w błocie. *Lalka* rozbierana dzisiaj

tekst PAULINA MAŁOCHLEB

—

CO DZIEJE SIĘ Z POWIEŚCIĄ PRUSA, kiedy czytamy ją z dzisiejszym słownikiem seksu, klasy, wstydu, emancypacji i kapitału? I co dzieje się z nami, kiedy po latach, w dorosłości, wracamy do tej książki?

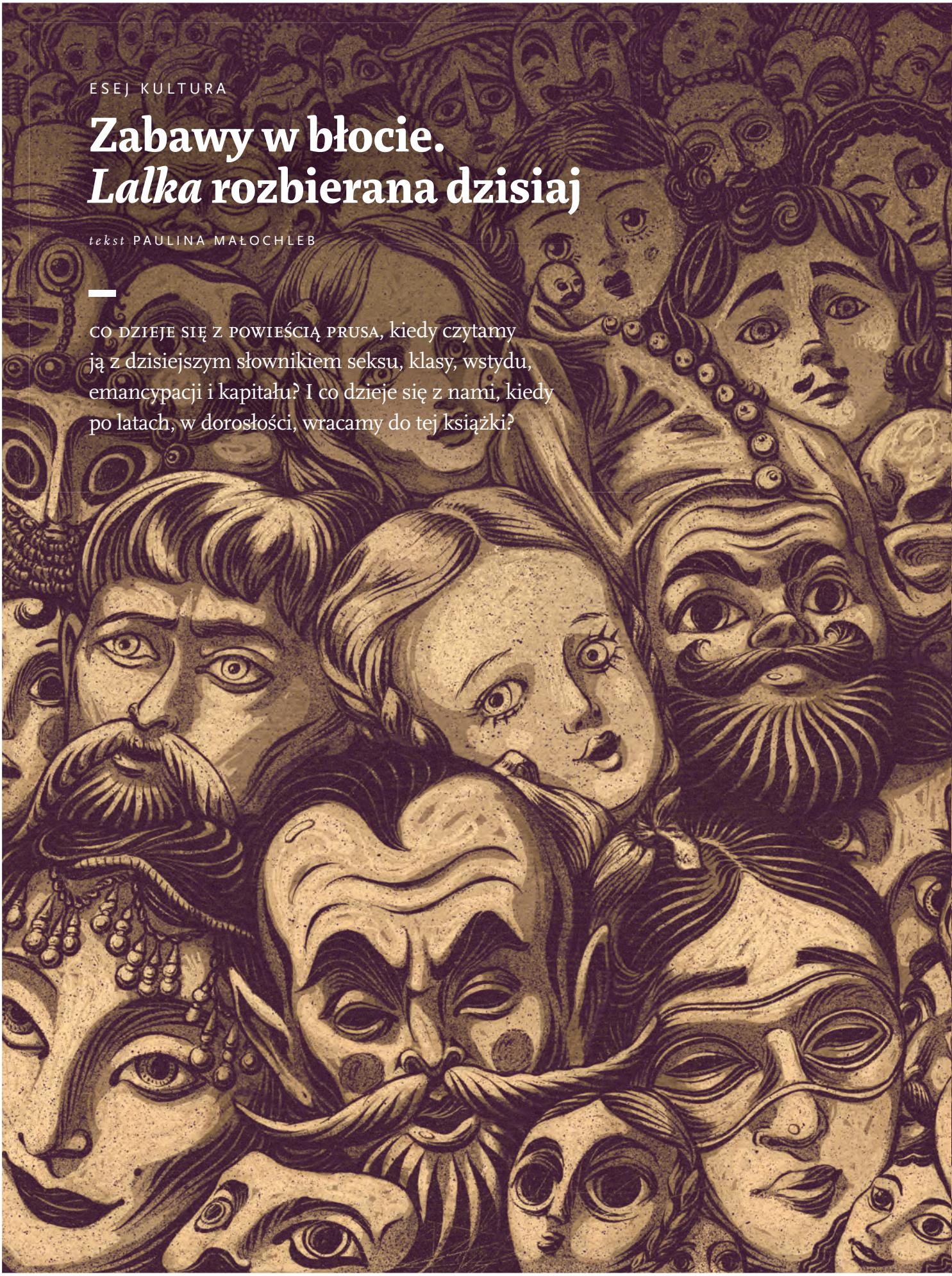

rysunek PAWEŁ PONICHTERA

PAULINA MAŁOCHLEB, eseistka, badaczka literatury i wykładowczyni. Autorka książek *Przepisywanie historii* i *Mięśnie mam od miłości*. Wykłada na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracuje w MCK w Krakowie.

Co najmniej od dwudziestolecia międzywojennego, kiedy stała się lekturą szkolną, *Lalka* przestała należeć do Bolesława Prusa. Przepisywały ją szkoła, kino, radio, krytyka literacka, internet i kolejne pokolenia czytelników. Wokulski bywa romantykiem, pozytywistą, ofiarą miłości, przedsiębiorcą, creepem i memem; Izabela – pustą lalką, zimną kokietką albo kobietą całkiem zasadnie przerażoną wizją małżeństwa dla pieniędzy. Im dłużej ta powieść żyje, tym mniej daje się zamknąć w swoich XIX-wiecznych dekoracjach. Dlatego najbardziej interesuje mnie dziś nie to, co Prus chciał powiedzieć, lecz to, co *Lalka* pozwala nam zobaczyć, kiedy przykładamy do niej własne, współczesne lęki, pożądania, języki i obsesje.

WOKULSKI NIE PRZYPOMINA aktorów wcielających się w jego postać w ekranizacjach *Lalki*. Nie wygląda jak Jerzy Kamas ani jak Mariusz Dmochowski. Nie jest podobny do Marcina Dorocińskiego i niewiele ma wspólnego z Tomaszem Schuchardtem. Mam swojego Wokulskiego, pierwszą miłość, pierwszy wzór – nie tylko erotyczny, ale też emocjonalny, zbudowany z lektury szkolnej. Dość wstydliwy, bo zidentyfikowany dużo później. Bohater milczący, godzien zaufania, niezawodny. Odróżniający się od innych szorstkością, ale też szczerością. Małomówny i niesklonny do zwierzeń – bardzo mnie to pociągało, bo nie tylko tworzyło aurę tajemniczości i intelektualnej głębi, ale stanowiło również znakomity kontrast do niekończących się monologów moich kolegów o tym, co pili, co piją i co będą pić.

Lalka była lekturą w trzeciej klasie liceum, a więc zbiegała się z odbieraniem dowodów osobistych i pokonywaniem ostatnich trudności w zakupie alkoholu. W mojej szkole piwo uchodziło za delikatny i kosztowny trunek, większość żłopała jabole i wódę, często na przerwach – to wspomnienia z liceum w mieście średniej wielkości. Sceny salonowe, które czytałam, wymagały dużej wyobraźni, niektóre dylematy – jak to, czy na proszony obiad do Łęckich Wokulski powinien założyć surdut czy frak – budziły kompletne niezrozumienie.

Stach – choć jako nastolatka nigdy nie myślałam o nim, używając imienia – był wierny wyobrażeniu Izabeli, na niej skupiony, próbował ją uwieść i zdobyć. Ta myśl bardziej chyba niż sama postać wywoływała pierwsze impulsy pożądania, bo nie mieściła się w przestrzeni doświadczenia, w której co tydzień mieliśmy innych chłopaków i inne dziewczyny, w czasie jednego ogniska związki rodziły się i rozpadały, nie nadążaliśmy za własnym życiem uczuciowym i deklaracjami lojalności. Wokulski chciał nie tylko miłości Izabeli, ale też jej ręki i ciała oddanego mu pod władzę wynikającą z praw patriarchatu. A jednocześnie sam z tej władzy rezygnował, składał ją u stóp wybranki. Erotyzm, z jego niedopowiedzeniami i oczekiwaniem wzajemności, brzmiał wspaniale w czasie, gdy większość rozmów na przerwach dotyczyła masturbacji. Nasz język rozwijał zaś metafory dotyczące picia i walenia, w tej kolejności, z taką finezją.

Z tego tumultu uczuć i hormonów wyłaniał się, a właściwie mozolnie wydostawał – niczym w słynnej scenie, w której Wokulski wychodzi z piwnicy u Hopfera – człowiek potrafiący zrobić to, czego my nie umieliśmy. Stać się kimś innym, niż ten, na kogo go wychowano, zupełnie zmienić trajektorię własnego losu. Pracował, studiował, planował wynalazki, sprzedawał w sklepie i zakładał spółkę. Wracał z Bułgarii, był w Rosji, podróżował do Paryża, nie wiedział sam, gdzie ma osiąść. Pragnęłam takich samych dylematów. Prus uwodził mnie Wokulskim, dawał jakiś mglisty obraz upragnionej przyszłości, otwartej, intelektualnej. Do dziś zazdroszczę powieściowemu bohaterowi tej swobody – możliwości decydowania o tym, gdzie chce mieszkać.

Czerwone ręce, które Izabela widzi jako przerażające dłonie parweniusza, u 17-letniej osoby wywoływały dreszcz. Długo czułam się odosobniona w tych reakcjach, ale podobnie czytała *Lalkę* również Inga Iwasiów: „zapewne w młodzieńczej lekturze sprzed niemal czterdziestu lat ważny był opis świata jako targu matrymonialnego. Dziewczynki w moich szkolnych czasach nie wiedziały, że jest w nim coś dwuznacznego, łatwo identyfikowały się z mężczyznami, współczuły odrzuconym, oszukanym, poszukującym ideału, brały ich stronę, a zarazem marzyły o byciu kochaną i zazdrościły pannie Izabeli Łęckiej jej pozycji wartego majątek przedmiotu. *Lalka* wprowadzała cały ten erotyczny podtekst, a była legalna, szkolna, stała w centrum kanonu, zaraz po *Dziadach*".

Bardzo dużo o Wokulskim, jego etyce i odrębności, mówi scena rozmowy z fryzjerem, który przychodzi ogolić go przed obiadem u Łęckich. Proponuje mu on nie tylko uczernienie włosów, czyli ukrycie siwizny, ale też zawarcie cichego związku z jedną z młodych „baletniczek". Wokulski odrzuca obie propozycje automatycznie, bez wątpliwości, nie ma tu momentu kuszenia. Baletniczki to wielka obawa Izabeli, która lęka się nie tyle samej niewierności, ile obnoszenia się z romansem, afiszowania utrzymankami, miłosnych szaleństw z kobietami z niższej klasy na oczach socjety. Boi się nie zdrady, lecz upokorzenia, rysy na wizerunku. Baletniczki pojawiają się w powieści jako młode mięsko, bezimienne, za to bardzo cielesne. Te młode kobiety fryzjer opisuje plastycznie, jakby prezentował swój towar przed Wokulskim: „prześlicznie zbudowane, muskulatura dębowa, biust jak materac na sprężynach, ruchy pełne gracji i wcale nieprzesadzone wymagania, szczególniej za młodu". Gdy czytałam tę powieść po raz pierwszy, byłam dokładnie w wieku baletniczek i choć 46-letnie,

atletyczne ciało Wokulskiego pojawiało się w mojej wyobraźni wiele razy, to jednak uwodził mnie właśnie brakiem skłonności do istot w moim wieku. Takich typów miałam obok siebie aż nadto.

Zazwyczaj widzimy Wokulskiego i Łęcką na przeciwległych biegunach – to efekt myślenia pokoleń spragnionych majątku, głodnych chleba, sukcesu i dachu nad głową. On jako zakochany, niedoceniany i odrzucany zasługuje na nasze współczucie, ona zaś to podstępna kusicielka, pozbawiona moralności, oziębła kłamczucha. Przeciwstawiamy sobie, nauczeni szkolną lekturą, również ich intelekty: on jest nieomal geniuszem, cudotwórcą biznesu i wizjonerem rozwoju ekonomicznego ziem polskich. Wydaje się, że każdy jego pomysł i interes wieńczy sukces. Ona – przeciwnie, wychowywana pod kloszem, na salonach, przytula się do posągu, nie zna świata, którego nie oświetlają kryształowe kandelabry.

Jeśli jednak popatrzymy na postaci z powieści Prusa przez pryzmat ich słabych punktów, niespełnionych pragnień, kompleksów, zobaczymy, że lęki Wokulskiego i Izabeli są podobne. Oboje troszczą się o swój wizerunek, obsesyjnie przekonani, że wszyscy ich widzą i oceniają; słusznie zresztą, bo w *Lalce* wszyscy przyglądają się wszystkim, za spojrzeniem natychmiast podąża ocena, z reguły jednoznaczna. Oboje pragną władzy – nad swoim strojem, uczesaniem, reputacją, majątkiem, polem działania oraz wyborów – i boją się jej utraty. Tak jak Łęcka chce być przez wszystkich podziwiana, a lęka się lekceważenia, tak dla Wokulskiego odrzucenie jest największym wstydem. Panna Izabela boi się tego, co opowiadają jej zamężne przyjaciółki, tego, w co zamienia się flirt salonowy, gdy doprowadzi już do małżeństwa. Nie boi się seksu, nie jest oziębła. Boi się codziennego upokorzenia. „Mąż w szlafroku, który ziewa przy żonie, całuje ją, mając pełne usta dymu z cygar, często odzywa się: «A dajże mi spokój» albo po prostu: «Głupia jesteś!...» – ten mąż, który robi hałasy w domu za nowy kapelusz, a za domem wydaje pieniądze na ekwipaże dla aktorek, to wcale nieciekawe stworzenie". Każde z nich boi się małżeństwa z dokładnie tego samego powodu – obawia się wykorzystania i ośmieszenia, każde chce zachować pozycję dominującą. A czy ten lęk, opisany przez Prusa w XIX wieku, nie jest wciąż naszym najbardziej bolesnym doświadczeniem?

O ile ich lęki są symetryczne, o tyle pragnienia seksualne – przeciwnie. Choć Prus nigdy nie pozwoli im się nawet pocałować, a tym bardziej pójść do łóżka, to jednak całe pokolenia interpretatorów analizują żądze w *Lalce*. Łęcka i Wokulski żyją w Warszawie, jakby to był świat XIX-wiecznego Tindera. Stanisław może się zdecydować na związek z panną Łęcką, wdową Kazią Wąsowską, porzuconą mężatką Heleną Stawską. Izabela ma wybór między dalekim kuzynem Julianem Ochockim, dwoma stetryczałymi kandydatami na męża – baronem i marszałkiem, młodym bankrutem Starskim, aktorem Rossim albo skrzypkiem Molinarim. I on, i ona odrzucają kolejne osoby, które pojawiają się w ich otoczeniu. Izabela myśli: „taki człowiek, co najwyżej, mógłby być dobrym doradcą, nawet nieocenionym przyjacielem (w gabinecie, gdy nie ma gości). Nawet... mężem, boć spotykają ludzi straszne nieszczęścia. Ale kochankiem... No, to byłoby po prostu śmieszne... W razie potrzeby najarystokratyczniejsze damy kąpią się w błotnych wannach; lecz bawić się w błocie mógłby tylko szaleniec".

Wokulski zdaje sobie sprawę, że rozsądek nakazywałby zakochać się w pani Stawskiej, byłby to związek bez wątpliwości i dylematów, zapewniający czułość, wsparcie i satysfakcję seksualną. Nie uda się to jednak – nie tylko dlatego, że pani Stawska nie jest zimnym aniołem, ale też dlatego, że w jej mieszkaniu unosi się wstrętny zapach gotowanego kalafiora. Przegapiony match.

Lalka to jednak nie Tinder. W świecie Prusa łatwy seks jest dostępny tylko bohaterom niemoralnym: pani Meliton zarabia na udostępnianiu pokoju parom, które nie chcą się razem pokazywać, fryzjer oferuje baletniczki, na ulicy zaś można natknąć się na prostytutkę, która za dnia rzadko pojawia się na mieście. Jednak wszyscy, którzy mijają Mariannę, wiedzą, jaki fach wykonuje. Tam, gdzie ten łatwy seks bywa dostępny, nie ma też mowy o przyzwoleniu, choć jest *explicit consent* – wyrażane przez kobiety, które nie mają innej możliwości utrzymania, jak Marianna, tancerki czy aktorki.

O niesprawiedliwości tego układu opowiada Kazia Wąsowska, piękna i ponętna wdowa, która pragnie wielkiej miłości, a nie potajemnego i krótkiego romansu. Przy niej jednej Wokulski może wypowiedzieć na głos swoje dylematy dotyczące prowadzenia się Izabeli, co Wąsowska stara się podważyć, wskazując na rozziew między oczekiwaniami wobec kobiet i mężczyzn. „Pani wie, że dla mężczyzny kochającego kobieta jest świętością jak ołtarz. Słusznie czy niesłusznie, ale tymczasem tak jest. Otóż jeżeli pierwszy lepszy awanturnik zbliża się do tej świętości jak do krzesła i postępuje z nią jak z krzesłem, a ołtarz prawie zachwyca się podobnym traktowaniem, wówczas... pojmuje pani?... Zaczynamy przypuszczać, że ów ołtarz jest naprawdę tylko krzesłem. Jasno się wytłomaczyłem?..." – mówi Wokulski. W tej rzeczywistości nie ma jednak ani równych praw, ani równych szans i równego podziału obowiązków. Pozycja mężczyzn okazuje się dominująca pod każdym względem, pani Stawska musi liczyć na ich pomoc nawet wtedy, gdy chce się dowiedzieć, czy jej ślubny mąż żyje.

Choć przywykliśmy myśleć o *Lalce* jako o świecie miłości, romansów i flirtów, w rzeczywistości i z dzisiejszej perspektywy to raczej planeta singli. Nie tylko nie widzimy tu szczęśliwych par, ale większość postaci pochodzi

Przywykliśmy myśleć o Lalce jako o świecie miłości, romansów i flirtów, ale z dzisiejszej perspektywy to raczej planeta singli.

z niekompletnych rodzin albo żyje w separacji czy samotności. Wokulski nie ma matki, podobnie jak Łęcka, nic też nie wiemy o matce Rzeckiego. Ciotka starego subiekta, jego opiekunka, wychodzi za mąż za człowieka, który zarzuca jej gadulstwo, brak samodzielności i nadopiekuńczość. Rzemieślnik Węgiełek nie potrafi pogodzić się z przeszłością Marianny, młoda żona barona Dalskiego zdradza go ze Starskim, baron Krzeszowski nie jest w stanie porozumieć się z baronową, Starski zdradza Wąsowską, jeszcze zanim dojdzie do oficjalnych zaręczyn. Mincel przez osiem lat wolał chodzić na piwo, niż spędzać czas z własną żoną. Ludwik Stawski ucieka za granicę, niesłusznie oskarżony w procesie, po czym zmienia nazwisko i przestaje pisać do bliskich.

Nie jest to więc kwestia braku szczęścia w miłości – niezdolność do stworzenia związku dotyka wszystkie klasy społeczne. Nieufność idzie w parze z potrzebą prawdy, im więcej zdrad, egoistycznego zaspokajania własnych potrzeb, tym więcej zachowań lękowych. Sytuacji emocjonalnych nie ułatwia zaś fakt, że dla większości bohaterów – zarówno kobiet, jak i mężczyzn – zawarcie małżeństwa to jedyny sposób na ekonomiczne przetrwanie. Choć Prus świadom jest patriarchalnego porządku i wiele razy pokazuje swoich bohaterów spętanych jego regułami, to jednocześnie odsłania inne, dosłowne oblicze kryzysu męskości. Wokulski żeni się z Minclową, żeby nie umrzeć z głodu, Ochocki powinien znaleźć zamożną żonę, kompletnym desperatem pod tym względem jest Starski, bankrut, zaciągający kredyty u Żydów.

W sensie erotycznym *Lalka* jest demokratyczna, równościowa i inkluzywna – zdemoralizowany playboy Starski jest kochankiem i Marianny, i Kazi Wąsowskiej, i Izabeli Łęckiej. Tylko on jeden przekracza granice klasowe: sprowadza na złą drogę Mariannę, okłamuje ją i uwodzi, co skazuje dziewczynę na jeden los i jeden zawód. Dzisiaj Starski z pewnością miałby swój podcast o prawdziwej męskości, uczyłby mężczyzn sztuki dominowania kobiet na podobieństwo Andrew i Tristana Tate'ów, bogatych influencerów oczekujących obecnie na proces w związku z oskarżeniami o handel żywym towarem. W *Lalce* bohater ten jest jednak cieniem, mrocznym rewersem marzeń o społeczeństwie demokratycznym. O ile bowiem w świetle dnia zamożny kupiec galanteryjny Wokulski nie może swobodnie wejść na salony i nie jest tam do końca akceptowany, o tyle Starski – arystokratyczny bankrut – z łatwością porusza się pomiędzy łóżkami i buduarami. Za dnia Wokulskiego stygmatyzuje, ośmiesza, wyszydza, opowiada o jego bezczelności i braku hamulców (skoro jako kupiec ośmiela się przychodzić do hrabiny na wielkanocne przyjęcie). O tym, co Starski robi nocą, w ogóle się nie rozmawia, nie ma na to języka, tabu działa tu na korzyść drapieżnika, a nie kobiet, które uwodzi.

Prus stworzył powieść, która opisywała jeden z najmroczniejszych okresów w historii Polski i dopiero rozpoczynające się przemiany społeczne.

Lalkę można czytać przez skórę, społecznie albo w uniwersyteckich okularach. Można też łączyć trzy tryby, bo chyba żadna inna powieść nie została zinterpretowana na tyle sposobów, co ta. Czy to pośmiertny triumf Prusa? Z pewnością. Kiedy *Lalka* ukazywała się w odcinkach w prasie, bożyszczem był Henryk Sienkiewicz. To jego książki sprzedawały się na pniu i natychmiast je dodrukowywano. *Potop* i *Pana Wołodyjowskiego* publikowano w prasie przed wydaniem książkowym; dzieła te ukazywały się we wszystkich trzech zaborach, w różnych pismach. Prus krytykował trylogię, ale też zazdrościł Sienkiewiczowi sławy i pieniędzy.

Powieść trafiła pod strzechy dość szybko, bo lekturą szkolną została w ramach reformy jędrzejewiczowskiej w 1932 roku. Dzisiaj, nawet jeśli nie jest czytana, to każdy z nas w toku edukacji musi zmierzyć się z pytaniem, czy Wokulski to bardziej pozytywista, czy romantyk. Każdy musi wykuć na blachę charakterystykę Rzeckiego, a na co podstępniejszych sprawdzianach odpowiedzieć na pytanie o imię jego psa. Ze wszystkich lektur szkolnych rzeczywistość *Lalki* jest chyba w największym stopniu naszym wspólnym, narodowym terenem, udeptanym i z grubsza oswojonym. Dlatego właśnie w mediach społecznościowych pojawiają się opinie, że Wokulski to nie żaden romantyk czy pozytywista, ale creep umizgujący się do kobiety młodszej o 20 lat. Można też natknąć się na hasło dla kibiców erudytów „Izabela Łęcka to Arka Gdynia" czy fikcyjne postacie z reklamy Orange przedstawiające Serce i Rozum. Świat *Lalki* to kosmos, po którym płynnie się poruszamy, boisko, którego zasady są nam doskonale znane. Ani Kordian, ani Konrad (czasem myleni), ani nawet ksiądz Robak nie mają swoich profili w mediach społecznościowych – Stanisław Wokulski ma (i status w związku oznacza „to skomplikowane").

Fenomen powieści Prusa – od ekranizacji z 1968 roku w reżyserii Wojciecha Jerzego Hasa, późniejszy o dziewięć lat serial w reżyserii Ryszarda Bera, przez produkcje z 2026 roku aż po kolejne interpretacje stanowiące podstawy doktoratów, habilitacji oraz książek popularnonaukowych i esejów – pokazuje, że tekst żyje właśnie dzięki swojej niejednoznaczności. Nie wiemy w końcu, co się dzieje z Wokulskim, nie wiemy, czy w ogóle Izabela go zdradza, jak sam zakłada, widząc w pociągu odbicie dwóch głów w szybie. Nie wiemy, kim jest Rzecki, dlaczego prowadzi zapiski, skąd u niego obsesja na punkcie Bonapartego w czasach, gdy moda na Napoleona dawno przebrzmiała i kompletnie nikt w Europie nie wierzy już w polityczne możliwości jego rodu. Nie wiemy też, co dokładnie robił Wokulski na wojnie, w jaki sposób wzbogacił się tak szybko na dostawach dla wojska. Wszystkie te niewiadome napędzają nasze silniki intelektualne. Prus okazuje się dostarczycielem nieskończonego paliwa. Czy Izabela jest w środku pusta

jak lalka? Czy rozumie Wokulskiego i czy on pojmuje swoją ukochaną, dla której wyjeżdża, naraża życie, choć właściwie jej nie zna i ani razu z nią nie rozmawiał? Prus – sam zakompleksiony, nękany fobiami, z niechęcią traktujący potrzeby ciała, postrzegający seks jako demoniczny obszar życia – potrafił jednak wznieść się w swojej prozie ponad własne ograniczenia. Stworzył powieść, która opisywała jeden z najmroczniejszych okresów w historii Polski i dopiero rozpoczynające się przemiany społeczne.

Wokulski widzi Izabelę w teatralnej loży, z miejsca się zakochuje i rozumie, że musi zbić fortunę, by zbliżyć się do arystokratki. Nie ma znaczenia, że już jest bogaty, a z wojny wraca jeszcze bogatszy, że ma międzynarodowe kontakty handlowe. W Warszawie, dla arystokratycznej socjety, wciąż pozostaje kupcem galanteryjnym. Łęcka jest zubożałą arystokratką, lata atrakcyjności matrymonialnej ma już za sobą, także w sensie biologicznym, bo na tej giełdzie jest coraz starsza – w XIX wieku powinna znaleźć męża przed 20. rokiem życia. Wokulski jako bezdzietny, 46-letni wdowiec z majątkiem to – powiedzielibyśmy dzisiaj – prawdziwy catch.

Jednak pod koniec lat 70. XIX wieku, kiedy rozgrywa się akcja powieści, Izabela może wyobrażać sobie seks z Wokulskim jako zabawę w błocie – coś, czego absolutnie nikt nie robi. Prus pokazuje nam przecież dopiero początki kapitalizmu. To czas siłowania się epok i klas, postępującej industrializacji, rosnącej siły kapitału – sam Wokulski z podziwem i dystansem wspomina właścicieli łódzkich fabryk włókienniczych. Wszyscy czują, że człowiek z pieniędzmi może wszystko, ale ta myśl nie została jeszcze głośno wypowiedziana, zatwierdzona, przyjęta jako wartość powszechna. Dlatego właśnie zastanawianie się, jak można byłoby przepisać *Lalkę* na późniejsze okresy polskiej historii, może nawet na jej współczesność, nie ma sensu – bo nie da się przenieść jej fabuły do epoki, w której kapitał musiałby dopiero potwierdzać swoją dominującą rolę. Jak napisał kiedyś Slavoj Žižek w *Living in the End Times* (*Życie w czasach ostatecznych*), łatwiej nam sobie wyobrazić koniec świata niż koniec kapitalizmu. Kim byłby Wokulski w dzisiejszym porządku ekonomicznym? Deweloperem? Flipperem? A może podobnie jak u Prusa dostawcą dla wojska? A jeśli tak, to dla której armii? A kim byłaby Izabela? Córką ambasadora, jak sugeruje Olga Tokarczuk w eseju *Lalka i perła*?

By dochować wierności wobec intencji Prusa, należałoby znaleźć takie role lub zawody, które różniłyby się nie tylko finansowym potencjałem (jego wysoki, jej – żaden), ale też poziomem wstydu (jego wysoki – w odniesieniu do jej klasy). Może Wokulski powinien być franczyzobiorcą, właścicielem sieci Żabek? Ajentem nocnych klubów przy Szewskiej w Krakowie albo właścicielem firmy obwożącej turystów meleksami? Gdziekolwiek byśmy go umieścili, wszyscy doskonale rozumiemy wartość kapitału. Nie da się wrócić do momentu, w którym samo zarabianie pieniędzy nie było jeszcze celem samym w sobie.

Równie ważna jest druga przeszkoda. Małżeństwo jest dla Łęckich jedynym wyjściem, nie ma innej przyszłości dla Izabeli poza ślubem lub klasztorem. Choć jest dobrze wykształcona, posługuje się językami obcymi, to w perspektywie jej klasy i salonu nie mieści się praca zawodowa kobiet. Izabela i jej głupiutki ojciec pan Tomasz (określający się jako geniusz, któremu Wokulski powinien z radością służyć) reprezentują schodzącą, wypaloną formację, niezdolną do myślenia nieegoistycznego, przekonaną, że jej niemoc i ograniczenia są miarą świata. Prus płynnie przechodzi od wewnętrznych monologów panny Izabeli planującej nowy strój na udział w kweście wielkanocnej, do rozważań księcia powtarzającego w kółko „nieszczęsny kraj". Przeciwwagę dla nich stanowi Wokulski darwinista, rozmyślający o świecie w porządku przetrwania silniejszego, chwalący zachodnie metropolie, w których praca po 16 godzin na dobę

JEDYNE FILMOWE WYDANIE
ZE ZDJĘCIAMI Z EKRANIZACJI

Kolekcjonerska edycja najważniejszej polskiej powieści ilustrowana kadrami filmowymi z superprodukcji z Kamilą Urzędowską, Marcinem Dorocińskim i Markiem Kondratem na czele.

ODKRYJ „LALKĘ" NA NOWO

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora

gwarantuje rozkwit społeczeństwa. Prus wyraźnie staje po stronie Wokulskiego – my już niekoniecznie.

W kolejnych odsłonach netflixowego serialu *Bridgertonowie*, podobnie jak w innych produkcjach kostiumowych, wszystkie suknie, surduty i liberie, kapelusze, biżuteria, konie i powozy, salony i sypialnie służą budowaniu wrażenia egzotyki, uprawdopodobnieniu odległego momentu historycznego. Proces konstruowania scenografii jest zatem dokładnie odwrotny do tego, który podejmujemy, próbując rozgryźć *Lalkę*. Bo żeby zrozumieć tę powieść, musimy chociaż trochę przełożyć ją na nasze realia i wartości. Tymczasem we współczesnych realizacjach historycznych liczy się immersyjność opowieści – budowana przez kostium i egzotyczną scenografię sugerującą bogactwo – ale też fakt, że bohaterowie nie piszą do siebie wiadomości, nie zasypiają z telefonem w ręku, nie robią zakupów przez internet i nie korzystają z Ubera. Rzeczywistość *Lalki* zostanie rozebrana na stroje, powozy, pałace i plenery. Niemożliwy romans Wokulskiego z Izabelą stanie się takim samym tematem naszych wpisów w mediach społecznościowych jak *Bridgertonowie*, nie wiem tylko, do którego sezonu mu bliżej? Czy Wokulski przypomina Anthony'ego Bridgertona? W każdym razie Izabela Łęcka nie ma w sobie nic z Kate Sharmy – do ślubu więc nie dojdzie.

Krytycy analizujący powieść podkreślali brak symetrii w sposobie przedstawiania postaci kobiecych i męskich. W 1995 roku Ewa Paczoska wskazywała na łatwość, z jaką formułuje się sądy wobec moralności kobiet, a także lekkość traktowania męskich występków. W swojej książce *„Lalka", czyli rozpad świata* wymieniała ich całą listę. Faktycznie nie trzeba daleko szukać. Zaloty Małgorzaty Minclowej do Stacha są żałosne – opisuje je Rzecki, który wstydzi się patrzeć na jej zabiegi, jakby zupełnie nie dostrzegał łączącego ich romansu rozgrywającego się pod nosem męża kobiety. Równie godna potępienia okazuje się Izabela, gdy nie zakochuje się w Wokulskim. Jednocześnie nikt nie krytykuje Wokulskiego za romans, Starski nie doświadcza ostracyzmu społecznego, Tomasz Łęcki – choć roztrwonił cały swój majątek łącznie z posagiem córki i pożycza pieniądze od własnego lokaja – wciąż cieszy się szacunkiem.

Alicja Urbanik-Kopeć pisze, że taki sposób przedstawienia bohaterów wynika nie z mizoginii Prusa, ale właśnie z realistycznego rysu – jakby w *Lalce* próbował opowiedzieć całą złożoność moralności i norm społecznych drugiej połowy XIX wieku. Kusi mnie ta perspektywa, pozwala bowiem ocalić Prusa jako geniusza, ginie gdzieś po drodze mizogin: „to, że bohaterowie *Lalki* dużo ostrzej krytykują słabości Izabeli niż Stanisława, nie jest dowodem na nienawiść Prusa do kobiet, tylko odzwierciedleniem świata przedstawionego, który nienawidzi kobiet. Prus tworzy postaci pełne wad, sprzeczności i słabości i są to zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Następnie zaś pokazuje ich funkcjonowanie w społeczeństwie, które ślepnie na przywary mężczyzn, bezlitośnie zaś rozlicza z dowolnych transgresji przeciwko ideałowi kobiety".

Opowiadamy sobie te same historie, by zobaczyć, kim jesteśmy, czy się zmieniliśmy, gdzie zawędrowaliśmy jako wspólnota.

Poczucie zagrożenia wynikające z coraz większej obecności AI w naszym życiu sprawia, że w kulturze coraz bardziej interesuje nas historyczny fresk, ale malowany jedną ręką, rzemiosło, ale z jednego warsztatu. Szukamy więc w klasyce wielkich widowisk, ale chcemy, by drewniane koło powozu turkotało po prawdziwych kocich łbach historycznego miasta. *Odyseję* Christophera Nolana chwalono za fizyczne budowanie efektów specjalnych, wielogodzinne, stopniowe tworzenie. Polifem to prawdziwa, sześciometrowa lalka, a żeglarzy z łodzi atakowanych przez Scyllę wyrywał system mechanicznych wyciągarek imitujący atak potwora. Zamiast symulacji i komputerowo generowanych obrazów chcemy dziś hydraulicznych mechanizmów i automatyki.

Lubimy system napędzany ludzką ręką. W jakiś sposób przewidział to Prus, gdy kazał Rzeckiemu po zamknięciu sklepu rozstawiać zabawki mechaniczne. Rzecki chichocze, patrząc na powtarzalne gesty, na ruch po tej samej trajektorii. Tradycyjnie odczytuje się tę scenę jako nawiązanie do fraszki Jana Kochanowskiego („Naśmiawszy się nam i naszym porządkom,/ Wemkną nas w mieszek, jako czynią łątkom"), do metafory człowieka – zabawki w rękach losu lub Boga. W tej scenie Rzecki jest demiurgiem, a wszystkie jego zabawki to poddane mu marionetki, które nic nie wiedzą o swoim statusie. Złośliwy chichot Rzeckiego prowokował zatem egzystencjalne interpretacje.

Dzisiaj na tę scenę można popatrzeć jak na zderzenie wytwórczości rzemieślniczej, produkcji rękodzielniczej nieomal z obrazem wygenerowanym komputerowo. Przeciwstawienie dotykalnego, fizycznego wymiaru ludzkich wytworów temu, co powstanie w świecie wirtualnym z kodu, a co zostało zakotwiczone w centrach danych AI. Świat, w którym porusza się stary subiekt, jest we wspaniały sposób analogowy, powolny, bezpieczny, dający się objąć ludzkim umysłem i od niego wolniejszy. Prus oferuje nam dzisiaj jakąś przewrotną wersję rzeczywistości, której prawie wszystkie procesy rozumiemy – w przeciwieństwie do jego bohaterów. Możemy się w *Lalce* schronić, fascynacja bohaterów maszynami podniebnymi, wynalazki profesora Geista i Juliana Ochockiego są dla nas bezpieczne, nie zagrażają ludzkiej pozycji, nie kradną owoców pracy intelektualnej.

Szukamy w kulturze tego, co znane i obce, bezpieczne i egzotyczne zarazem. Opowiadamy sobie te same historie, by zobaczyć, kim jesteśmy, jak się zmieniliśmy, gdzie zawędrowaliśmy jako wspólnota – nie ma znaczenia, czy to *Odyseja*, czy klasyka z XIX wieku. Pilnujemy,

czy nowe ekranizacje opowiadają wszystko to, co jest dla nas ważne: a więc na ile Cathy Earnshaw w *Wichrowych Wzgórzach* odkrywa swoją cielesność na naszych oczach, na ile jest aktywną uczestniczką romansu, a na ile uległym przedmiotem, który daje się uwodzić? Albo czego dotyczą dylematy sióstr w *Dumie i uprzedzeniu* Jane Austen – czy chodzi o poczucie niesprawiedliwego rozdziału majątku z możliwością dziedziczenia wyłącznie przez męskich potomków, o ograniczone pole relacji społecznych, po którym może poruszać się Elizabeth Bennet? A może o mgłę zasłaniającą pana Darcy'ego wędrującego nad ranem w rozpiętej koszuli? Chcemy oglądać i suknie Margot Robbie, i brodatego, dzikiego Jacoba Elordiego, i wrzosowiska, po których przechadza się Keira Knightley, i pana Darcy'ego – czy to w wydaniu Colina Firtha, czy Matthew Macfadyena – w różnych stadiach roznegliżowania. Przyjemność sprawia nam oglądanie wciąż tych samych fabuł, ale z przesuniętymi akcentami – tak dzieje się przecież z Drakulą, Frankensteinem czy Jane Eyre. Każda z tych postaci jest w kolejnych ekranizacjach kreowana na nowo, a jednocześnie pozostaje taka sama. Każdy film wchodzi zaś w dialog nie tylko z tekstem oryginału, ale też ze wszystkimi kolejnymi jego adaptacjami. Drakula u Luca Bessona nawiązuje przecież do tego, którego stworzył Gary Oldman w filmie Francisa Forda Coppoli, w dużo większym stopniu niż do wymyślonego przez Brama Stokera pod koniec XIX wieku.

Przez długi czas kłopoty z narodową autodefinicją, zaślepienie intelektualne, niemożność zbudowania jednej wspólnej narracji opowiadaliśmy sobie lapidarnie jako brak nowej *Lalki* lub *Przedwiośnia*. Zastanawialiśmy się, kto mógłby je napisać, czekaliśmy na nowego Prusa czy Żeromskiego jak na nowe przyjście mesjasza. Szybko zaczęliśmy jednak rozumieć, że w Polsce po transformacji ustrojowej stworzenie nowej *Lalki* nie jest możliwe, nie ma pola do jednej opowieści o nas wszystkich. Nie ma też takiej drogi, którą – jak Wokulski – można by przejść od bogactwa do skrajnej nędzy, przemieszczając się w ciągu jednego spaceru po jednej społecznej osi.

Dzisiaj praktycznie nikt nie chce czytać „powieści o Polsce" – mamy ją w mediach społecznościowych. Największą popularnością cieszą się zaś takie teksty, które opowiadają o czymś w Polsce, nie stawiają diagnozy, nie mają ambicji tworzenia wielkich fresków, a raczej od nich uciekają, szukają głosów wcześniej niesłyszanych, mówią z nieznaną nam dykcją. Ambicja budowania portretów, definicji i uogólnień wyszła z literatury stającej raczej po stronie historii partykularnych i osobnych, pozostała jednak trwale w odbiorcach kultury, którzy w innych dziedzinach sztuki szukają wielkich fresków. Pociągają nas rozmach, skala, wielość postaci – dlatego właśnie tak chętnie oglądamy *Wesele* w reżyserii Jana

PONADCZASOWA, BŁYSKOTLIWA, WCIĄŻ FASCYNUJĄCA

Nowe wydanie „Lalki" Bolesława Prusa w serii Kanon W.A.B.

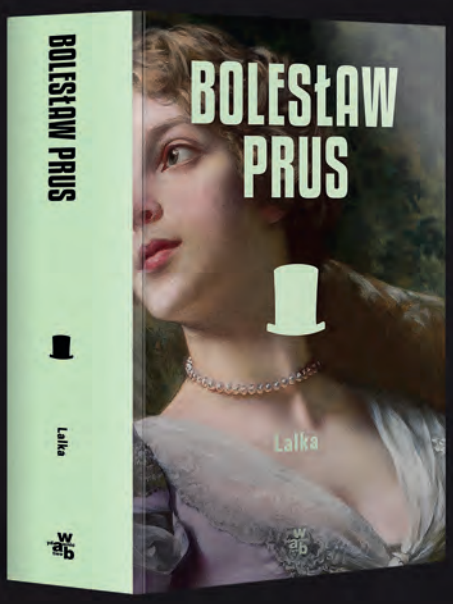

Sto lat po wydarzeniach z „Lalki" nić łącząca Wokulskiego i Łęcką ponownie zawiązuje się w pokoleniu ich potomków.

Jakub Jarno w brawurowy sposób ożywia klasykę, udowadniając, że są historie, które nigdy się nie kończą.

tytuł dostępny w: empik salony / online / aplikacja empik go e-book / audiobook

Klaty lub Mai Kleczewskiej czy *1989* Katarzyny Szyngiery. Seriale, wielkie, ludne spektakle teatralne wypełniły pustkę pozostawioną przez XIX-wieczne powieści realistyczne. Musical zajął miejsce powieści jako zwierciadła przechadzającego się po gościńcu. Być może dzisiaj wielka narodowa powieść nie jest możliwa także dlatego, że na jej produkcję, czyli pisanie, nikt nie wyłoży takich środków, jakie można wydać w przestrzeni teatralnej i filmowej.

Wokulski, jak przystało na kupca, zlicza wartość stroju Izabeli. Tam, gdzie ona sama widzi skromność, tylko diamenty i róża, on dostrzega metry materiału, godziny ręcznej roboty, fortunę utopioną w odzieniu. My, ubrani w dresy z sieciówek i zmechacone getry, będziemy tonąć w domowych pieleszach i szacować rzeczywistość *Lalki* dokładnie tak jak Wokulski, nawet jeśli nie znamy cen towarów luksusowych. Jak wygląda XIX-wieczna Warszawa – sklep Wokulskiego, zamożne dzielnice, mieszkanie Łęckich – a jak ubogie Powiśle? Jak twórcy filmowi oddadzą tę dziką kupę śmieci umieszczoną tuż koło punktu poboru wody dla miasta, przy której zatrzymuje się bohater Prusa i rozmyśla o prowizorycznym, tanim, źle zorganizowanym życiu? Wszak Powiśle z jego biedą, żebrakami uprawiającymi seks na stercie odpadów to metafora całego polskiego życia, nie tylko biedy, ale też braku perspektyw. W tym sensie nędza tej dzielnicy rymuje się z salonami, na których książę próbuje leczyć kraj charytatywnymi zbiórkami na sieroty. Wiarygodna scenografia naturalistyczna, taka, od której wprost cuchnie z ekranu, jest jeszcze trudniejsza niż klasycystyczny salon czy złoty, ale skromny pałac. Wszystkie te miejsca będziemy też bardzo precyzyjnie oglądać, pozbawieni łaskawości dla błędów scenografów albo nie dość wielkiego rozmachu. Oczekujemy przecież, że ta najważniejsza polska powieść, tekst bazowy polskiej inteligencji, nie tylko opowie nam coś nowego o naszym dzisiejszym społeczeństwie, lecz także nas rozbawi, uraczy wciągającymi historiami.

Chcemy oglądać to, czego sami nie doświadczymy, co jest dla nas niedostępne. Filmowa klasyka wydaje się nam jednocześnie egzotyczna i łatwa, zrozumiała, bezpieczna, bo zasznurowana w gorsecie, zakuta w zbroi, ukryta pod welonem, a przez to tak odległa, że nie potrafi już nas poruszyć. W doskonały sposób łączy naszą potrzebę starej fabuły i nowej historii. Zmęczeni i przebodźcowani, często nie mamy siły na zanurzanie się w zupełnie nowej, obcej rzeczywistości, nie potrafimy oddać jej aż tyle swojej uwagi. Jednocześnie pragniemy głębokiego przeżycia, odcięcia od naszego świata i codziennych problemów. Zanurzamy się zatem w dekoltach sióstr Bridgerton, przeczesujemy palcami baki ich braci i mężów, opadamy w ramiona Edwarda Rochestera, biegniemy przez wrzosowiska z Cathy na spotkanie z Heathcliffem. Przyjemność, jaką czerpiemy z obcowania z tymi fabułami, odsuwa na bok wartość literacką pierwowzorów – Jane Austen i Charlotte Brontë nie powinno się w żaden sposób zestawiać z wątłymi fabułkami Julii Quinn. Obok nich zaraz stanie *Lalka* z całym swoim złożonym światem, kosmosem relacji społecznych, ścieraniem się klasy schodzącej i wschodzącej, ze studium polskiego antysemityzmu, który nic a nic nie stracił na aktualności. My jednak będziemy patrzeć na naszyjniki, dorożki, cylindry i pióra – szukać doświadczenia znanego z seriali historycznych, efektu zanurzenia i jednoczesnego oddalenia. Wokulski, nieszczęśliwy, przeklęty, źle zakochany, będzie prawie jak Tommy Shelby z *Peaky Blinders* – wszyscy trzymamy za niego kciuki, ale wiemy, że to się dobrze nie skończy.

Nigdy nie chciałam oglądać żadnej filmowej adaptacji *Lalki*, starałam się ocalić przed innymi ulotny, ale w swojej erotycznej formie mocny i mięsisty obraz Wokulskiego. Nie interesowała mnie filmowa wizja sukien, powozów ani wnętrz. Chroniłam pierwsze wyobrażenie o dorosłej miłości – uczucie rzadkie, nieuchwytne, ale jakoś potrzebne do identyfikacji, nawigowania życia miłosnego. Teraz wiem, że te pierwsze lektury uczyły mnie nie tylko wzorców zachowań erotycznych i miłosnych, ale też empatii wobec męskich postaci – uwaga nas, nastoletnich czytelniczek, skierowana była (i nadal jest) na pierwszoplanowych bohaterów męskich. To na nich odbywałyśmy i odbywamy lekcje wczuwania, współczucia, skupienia na słowach i dylematach, analizowania i intepretowania działań. Materiał powieściowy służył w laboratorium pracy emocjonalnej, pozwalał rozwijać nam kompetencje. Z tego wzorca, wdrukowanego w wieku 17 lat, wychodzę powoli i stopniowo, a moje zniecierpliwienie odbierane jest często jako furia wściekłej feminazistki. Tymczasem ja po prostu zadomowiłam się w świecie Prusa. Jestem kilkanaście lat starsza od Kazi Wąsowskiej i Heleny Stawskiej, opisywanych jako kobiety w średnim wieku. Mam tyle lat, co Małgorzata Minclowa, gdy wychodzi za Wokulskiego, o której Rzecki pisze „stare babsko", powoli ocieram się o wiek Wokulskiego. Spoglądam na ręce mojego męża i sprawdzam, czy są czerwone.

Przeczytaj też *Kto i dlaczego mówi nam, co czytać?* – rozmowę z literaturoznawcą Ryszardem Koziołkiem. Znajdziesz ją na **magazynpismo.pl/ryszard-koziolek**

POEZJA

Półtony 2

SYLWIA CHUTNIK

—

Syndrom oszustki w praktyce:
Wchodząc do sali wykładowej chcę usiąść w ostatnim rzędzie
A muszę za biurkiem
Na spotkaniu autorskim czekam,
Aż ktoś mi przerwie i wyprowadzi
Aż zabiorą nagrody i nobliwości
Wyraz twarzy pana w pierwszym rzędzie
Ewidentnie nieprzekonanego – podejrzliwego
Strach, że się pomyliło dane w felietonie i redakcja
Wywlecze zza biurka na
Publiczne ścięcie w czasie jakiejś gali
Potem wszyscy będą się śmiać, aż im tartelinki utkną w gardłach.

SYLWIA CHUTNIK

pisarka, felietonistka, działaczka społeczna. Doktorka nauk humanistycznych. Laureatka Paszportu „Polityki" w 2008 roku z dziedziny literatury, trzykrotnie nominowana do Nagrody Literackiej Nike. Autorka m.in. tomu poetyckiego *Pobite gary*.

Ratowniczka zakłada pelerynę

MAGDALENA KICIŃSKA *rozmawia z* MARTYNĄ WOJCIECHOWSKĄ

CZY JESTEM W STANIE uzdrowić cały świat? Nie, ale staram się za każdym razem robić tyle, ile tylko mogę, bo jutra może nie być.

Jest pewien tom poezji, o którym pomyślałam, idąc dzisiaj do ciebie. To książka islandzkiej poetki Lindy Vilhjálmsdóttir, poemat pod tytułem *Wolność*.
„Pomiędzy/ niebem a ziemią/ jest wszystko/ jak napisano/ pomiędzy/ początkiem a końcem/ jest życie/ ciało i krew/ między narodzinami/ a śmiercią". To piękne. Zawsze uważałam, że Islandczycy – ze względu na warunki, w jakich żyją, surowość klimatu, i tę lawę, która pulsuje tuż pod powierzchnią ziemi – mają niesamowitą umiejętność bardzo lapidarnego, a jednocześnie uderzająco bezpośredniego, precyzyjnego formułowania myśli. To nie znaczy, że piszą prosto, ale robią to z niezwykłą głębią.

W tym tomie jest bardzo dużo o wolności, ale chyba jeszcze więcej o odpowiedzialności. I o niej chciałam z tobą rozmawiać – o odpowiedzialności w dziennikarstwie i aktywizmie. Wciąż kochasz to pierwsze?
Kocham. Szczerze mówiąc, trudno mi nawet traktować to, co robię, jak pracę. To jest moja droga z wyboru, bardzo świadomie podjętego, realizacja pasji, a w zasadzie misja. Moją największą miłością życiową jest zbieranie historii ludzi i opowiadanie ich, przekazywanie dalej. Ci ludzie są różni, pochodzą z różnych krańców świata, a ja w ich doświadczeniu szukam uniwersalnych prawd oraz podobieństw, które mogą nas wszystkich łączyć, niezależnie od tego, kim jesteśmy i gdzie żyjemy. Wierzę przy tym w emocje, nie tylko w same słowa. A jednocześnie czuję ogromną odpowiedzialność za te opowieści, szczególnie za kobiety, które mi je powierzają, bo przede wszystkim to one są bohaterkami mojej dziennikarskiej pracy.

MARTYNA WOJCIECHOWSKA, dziennikarka, podróżniczka i działaczka społeczna zaangażowana w walkę o prawa człowieka, założycielka Fundacji UNAWEZA na rzecz wyrównywania szans kobiet w Polsce i na świecie. Autorka reportaży, filmów dokumentalnych oraz bestsellerowych książek. Inicjatorka projektu MŁODE GŁOWY, którego celem jest przełamywanie tabu wokół zdrowia psychicznego młodych ludzi i wprowadzanie edukacji psychologicznej do szkół.

Na przykład program *Kobieta na krańcu świata* – od jesieni TVN emituje 17. sezon.
Z kolejnymi niesamowitymi kobiecymi historiami. Na pewno jestem zbieraczką, nie tylko historii, ale też przedmiotów – takich mających dla mnie wartość sentymentalną. Trudno mi odchodzić, zostawiać za sobą opowieści i rzeczy, które je w sobie niosą.

Wspomniałaś, że najważniejsze w pracy dziennikarskiej to umieć słuchać. Jak się tego nauczyłaś?
Kiedyś wydawało mi się, że dobry wywiad polega na zarzuceniu rozmówcy błyskotliwymi pytaniami, które się układa w głowie przed spotkaniem, statystykami, cytatami i całą swoją wiedzą. Aż w końcu pojęłam, że w ogóle nie chodzi o pytanie, lecz o aktywną wymianę, a najbardziej o słuchanie. Zamiast wywiadu – rozmowa, a przede wszystkim relacja. Dziś dużo czytam człowieka w tym, co pozawerbalne. Każdy gest, każde drgnięcie powieki mojej bohaterki, sposób, w jaki zbiera myśli, jak funkcjonuje w przestrzeni, w której jesteśmy – to wszystko jest częścią spotkania, wymaga uważności i dostrzeżenia.

Umieć kogoś naprawdę dostrzec to trudne zadanie?
Nie skupiać się na sobie: jak wypadnę, czy moje pytania są odpowiednie, czy będzie z tego dobry materiał.

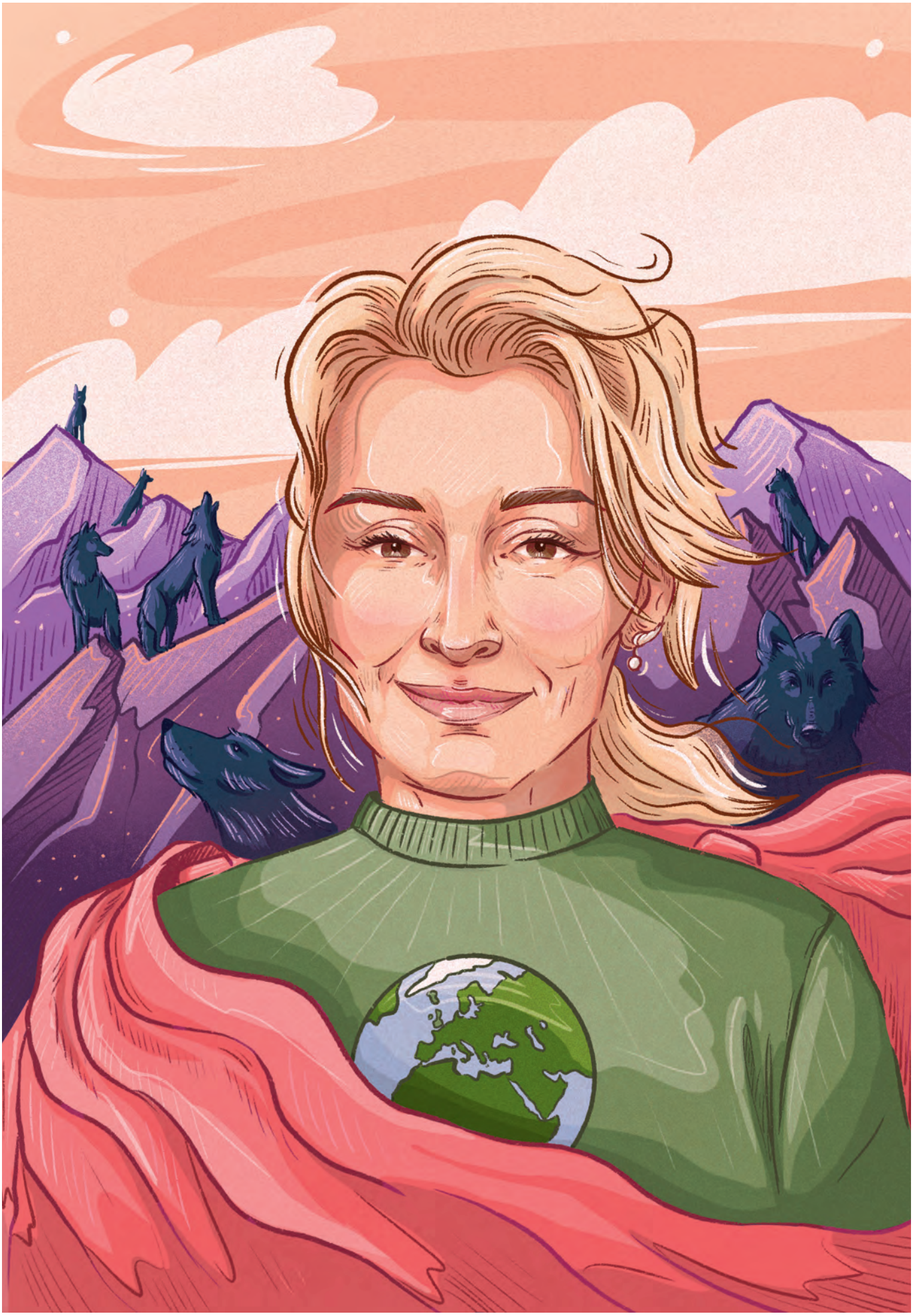

rysunek ANNA GŁĄBICKA-MRÓZ

MAGDALENA KICIŃSKA, redaktorka naczelna „Pisma" w latach 2019–2024. Wiceprzewodnicząca Rady Polskich Mediów, członkini Press Club Polska. Reporterka, laureatka m.in. Nagrody Literackiej m.st. Warszawy. Autorka książek, m.in.: *Pani Stefa* i *Dom w butelce. Rozmowy z Dorosłymi Dziećmi Alkoholików* (wspólnie z Agnieszką Jucewicz). Jurorka Poznańskiej Nagrody Literackiej. Kuratorka (wraz z Małgorzatą Lebdą) Festiwalu Europejski Poeta Wolności. Wykładowczyni Polskiej Szkoły Reportażu.

Na początku pracy na pewno poświęcałam temu zbyt dużo uwagi. Dopiero z czasem okazało się, jak wiele można usłyszeć w ciszy i pauzach. Kiedy przestałam obsesyjnie zagadywać tę ciszę kolejnymi pytaniami, a zaczęłam patrzeć ludziom głęboko w oczy, nie spieszyć się do kolejnego wątku, moje rozmowy stały się zupełnie inne. Zdaję sobie sprawę, że w telewizji z powodu limitu czasu, który mam, mogę pokazać tylko fragment tej bliskości. Dlatego wciąż czuję głód dłuższego pisania i pogłębiania tematów, które poruszam w programie, w filmach dokumentalnych. Jednak odpowiedzialność za rozmówcę to dla mnie świętość: nigdy nie używam fragmentów rozmów, jeśli mogłyby one w jakikolwiek sposób zaszkodzić moim bohaterkom, nawet jeśli mogłyby wywołać szum, skupić uwagę, bo nie gonię za sensacją. I taki mam też zespół, który to rozumie i któremu ufam. Nie umiałabym już inaczej pracować, choć doskonale zdaję sobie sprawę, jak bardzo rzadko w mediach ma się dziś taki luksus. Ja w stacji TVN mam. Niedawno zmarły Andrzej Morozowski też reprezentował tę część medialnego świata, która znika, a wierzę, że to właśnie do takiego dziennikarstwa wciąż warto aspirować.

Takiego, to znaczy jakiego?

Skupionego na słuchaniu drugiego człowieka, na rzetelnym przygotowaniu się do swojej roli, na pogłębianiu wątków, niegonieniu za sensacją. Wiem, że brzmię jak idealistka, ale jeśli powiedziałam wcześniej, że kocham dziennikarstwo i w nie wierzę, to właśnie dlatego, że ono wciąż takie jeszcze może być. A dopóki mam możliwość, to będę je tak właśnie realizować.

Kiedy prześledzi się twoją drogę od programu *Automaniak* w TVN, który prowadziłaś od 1998 roku – najpierw z Tomaszem Sianeckim, później z Maciejem Wisławskim – przez reality show *Big Brother* aż do twoich obecnych projektów autorskich, widać, jak wiele się zmieniło: w mediach i rzeczywistości, w której żyjemy. Pamiętam, jak wielkie emocje i publiczną dyskusję wywołał start pierwszej polskiej edycji *Big Brothera*, którą współprowadziłaś z Grzegorzem Miecugowem. Dziś takie programy to codzienność, wtedy to był szokujący, kontrowersyjny pomysł, by podglądać ludzi.

Zdecydowanie. Do programu weszłam w zasadzie bez pełnej świadomości tego, na co się piszę. Byłam zakochana w dziennikarstwie motoryzacyjnym, wydawało mi się, że resztę życia spędzę na wyścigach Formuły 1 czy rajdach, co mogłoby być wtedy szczytem moich marzeń. Decyzja o zaangażowaniu mnie do formatu reality show zapadła właściwie odgórnie, a ja, nie pytając o szczegóły, zgodziłam się, traktując to jak nowe wyzwanie. Dostałam kasetę VHS z odcinkami brytyjskiej wersji, żeby zobaczyć, o co w tym programie w ogóle chodzi. I już w domu, przed odtwarzaczem – zamarłam. Nie brałam udziału w castingach, nie obchodziło mnie to całe zamieszanie wokół. Kiedy ówczesny szef Endemola, czyli firmy produkcyjnej odpowiedzialnej za program [spółka Endemol-Neovision wyprodukowała pierwsze trzy edycje *Big Brothera* – przyp. red.], usłyszał, że poprowadzę go na żywo, będąc osobą zupełnie bez doświadczenia w takim formacie telewizyjnym, złapał się za głowę. Pamiętam, że zaproszono do tego projektu Grzegorza Miecugowa, wybitnego dziennikarza o ogromnym doświadczeniu i erudycji, właśnie po to, by zapewnić temu eksperymentowi autorytet i pokazać, że można przy tej okazji porozmawiać o czymś więcej niż tylko o życiu codziennym uczestników w Domu Wielkiego Brata. Dla niego to zapewne była trudna decyzja i naraził się nią wielu osobom ze swojego środowiska, dla mnie to była przygoda. Nie wiedzieliśmy, czym jest reality show, jakie konsekwencje będzie miało wpuszczenie tego formatu do Polski. Ja wtedy na pewno się nad tym nie zastanawiałam, podchodziłam do programu jak do zawodowego wyzwania, zaciekawiona również rozmachem tej produkcji. A dziś, popatrz, jesteśmy w zupełnie innej epoce. Telewizja poszła niemal całkowicie w stronę czystej rozrywki. I to jest taki moment, kiedy pewnie wszyscy się zastanawiamy, co dalej, bo świat, w którym chciałabym żyć, odchodzi do lamusa.

Do lamusa czy do niszy?

Masz rację, do niszy. Bo jednak wciąż takie projekty jak *Kobieta na krańcu świata* są realizowane. I wierzę, że ta nisza przetrwa. Tak jak głęboko w to wierzyłam i wierzę, pracując przez 10 lat jako redaktorka naczelna „National Geographic" czy rozpoczynając moje podróże na krańce świata.

A jak to robić w świecie, w którym liczą się szybkość, skrót i dobrze sprzedaje się to, co kontrowersyjne? Odpowiedzialność w dziennikarstwie dotyczy przecież też władzy, którą się ma – nad powierzoną nam historią, wizerunkiem bohaterów czy kontekstem, w jakim ich pokażemy.

Tak, montaż, selekcja materiału, ułożenie, dźwięk, który będzie towarzyszył opowieści, to wszystko jest po naszej stronie. Ludzie, z którymi rozmawiam, często nie zdają sobie sprawy, co się może wydarzyć po emisji programu, jakie mogą być następstwa opowiadania publicznie o sobie i swoim doświadczeniu. I ja tę odpowiedzialność czuję. Odcinek programu to 45 minut, siłą rzeczy nie pokazujemy całego materiału, musimy operować skrótem – dbamy więc o to, by skrót nie zniekształcał opowieści. W mojej redakcji żartujemy nawet, że przy naszym rygorystycznym systemie fact-checkingu i dbałości o etykę, jesteśmy już po prostu branżowymi dinozaurami... A w zasadzie dinozaurzycami, bo to bardzo sfeminizowany zespół. Najpierw długo wybieramy temat, obecnie

obserwujemy i analizujemy zapewne około 200 potencjalnych historii. Potem długo się przygotowujemy, pracując z ekspertami, konsultantami, dziennikarzami, którzy w przeszłości zajmowali się podobnymi sprawami. Zdarza się, że dzwonię do nich już ze zdjęć, żeby o coś dopytać, rozwiać wątpliwości, bywają na montażu i jeszcze przed emisją kilka razy wszystko z nimi sprawdzamy. Pamiętam, że kiedyś szukaliśmy tłumacza języka plautdietsch, czyli dolnoniemieckiego, i podjęliśmy współpracę z bodaj jedynym w Europie profesorem, który specjalizuje się w kulturze menonitów. Tę izolującą się od świata i żyjącą zgodnie z surowymi normami religijnymi społeczność sfilmowaliśmy w Boliwii, więc pracowaliśmy w dwóch językach równocześnie – hiszpańskim i właśnie w plautdietsch.

Jak zatem radzisz sobie, jako dinozaurzyca, z dzisiejszą kulturą instant, w której wszystko dzieje się tu i teraz, wymaga reakcji, komentarza, najlepiej zwięzłego, żeby zmieścił się w kilkusekundowej rolce? W rzeczywistości, w której jedno wyrwane z kontekstu zdanie, gest, decyzja o współpracy może przekreślić cały projekt, a czasem i dorobek? Miało to miejsce w październiku zeszłego roku, przy ogłoszeniu partnerstwa z siecią Żabka, które wywołało krytykę. Przeprosiłaś i wycofaliście się z tej współpracy.
To akurat ciekawy *case*. Sieć sklepów użyczyła nam, tak jak wielu innym fundacjom, swoich nośników do prezentowania naszych treści dotyczących zdrowia psychicznego młodych ludzi, co uważam za najważniejszy obecnie temat. Promujemy zasady Pierwszej Pomocy dla Zdrowia Psychicznego i stronę helppp.pl wszędzie tam, gdzie są młodzi ludzie. Jesteśmy w szkołach, na festiwalach, wydarzeniach i w mediach społecznościowych. Z jednej strony staram się oglądać pod lupą dosłownie każde zdanie, które wypowiadam publicznie, biorę za nie odpowiedzialność, więc chcę mieć pewność, że sprawdziłam, że się upewniłam – rozumiem wagę wypowiadanych słów. Ale robię to również dlatego, by to, co mówię, było jak najtrudniejsze do zmanipulowania, wyrwania z kontekstu, również przez hejterów czy portale plotkarskie. Przez tę ciągłą ostrożność bywam czasem przesadnie spięta, bo mam podskórne uczucie, że przyzwyczaiwszy widzów do pewnego poziomu jakości i rzetelności, po prostu nie wolno mi się już pomylić. A przecież jestem, jak każdy z nas, tylko człowiekiem, popełniłam wiele błędów i w sprawach zawodowych, i w prywatnych. Gdy wybucha burza – ta wspomniana czy inna – bo przecież zaliczyłam w życiu parę takich sytuacji, mechanizm internetowego linczu i potężnych skrótów myślowych odcina od możliwości rzeczowego wyjaśnienia tematu. W dobie dyskusji w tak zwanych mediach społecznościowych próba wyjaśnienia, pokazania szerszego tła, niuansów jest skazana na porażkę. Publiczność od razu wydaje w sieci wyroki i trudno być usłyszanym z wyjaśnieniami. Ale może stałam się przez te upadki bardziej ludzka i dzięki temu innym łatwiej się ze mną identyfikować?

Ludzka? Nie święta?
No, nie święta Martyna. Tylko Martyna, która też wiele w życiu spieprzyła. Bardzo jasno mówię, że moje życie w takim samym stopniu składa się z porażek, co z sukcesów. Podobnie boleśnie uderzyło mnie, gdy mój rozwód stał się tematem publicznej debaty, to była ostatnia rzecz, o której marzyłam. Jestem tak bardzo przywiązana do danego słowa i odpowiedzialności za podjęte decyzje, że trudno mi było zaakceptować, że znalazłam się w takim miejscu – nie ze swojej winy. Ale to paradoksalnie dzięki temu okazało się, że mnóstwo kobiet odnalazło w tej mojej historii kawałek własnego życia. Zaczęły podchodzić do mnie na ulicy czy wysyłać wiadomości z wyrazami wsparcia, dziękując, że się tym dzielę, bo wiele z nich przechodzi przez coś podobnego.
Co ciekawe, w tamtym okresie znalazłam się bardzo wysoko w „rankingach" wpływowych kobiet, celebrytów, influencerów i marek osobistych. Bo niestety bywa, że są one opracowywane na podstawie wygenerowanego w mediach ruchu i kliknięć, a nie rzeczywistego wpływu na ludzi. Brakuje mi zestawień opartych na wartościach, ale to tylko dowodzi, co dziś się liczy najbardziej. I w jakim kierunku zmierzamy.

Bardzo jasno mówię, że moje życie w takim samym stopniu składa się z porażek, co z sukcesów.

Często w takich sytuacjach pojawia się argument: „Skoro dzielisz się życiem publicznie, to sama zapraszasz media do swojej prywatności". Jak oddzielić te strefy? Jeśli opowiadasz czy piszesz o wypadku samochodowym (w nocy z 17 na 18 października 2004 roku na Islandii podczas realizacji zdjęć do programu *Misja Martyna* zginął twój przyjaciel, operator Rafał Łukaszewicz), w którym złamałaś kręgosłup, o rekonwalescencji czy własnej depresji, to gdzie przebiega granica, poza którą już do swojego życia nie zapraszasz?
To złożona kwestia. Uczciwie przyznaję: były w mojej przeszłości momenty, kiedy naiwnie dopuściłam media za blisko. Pokazywałam wnętrze swojego domu czy publikowałam wizerunek Marysi, mojej małej córki w mediach społecznościowych, nie mając pojęcia, z jakim ryzykiem to się będzie wiązało za kilka czy kilkanaście lat. Dziś, mając świadomość, jak złą rzeczą jest tak zwany sharenting [pisała o nim Lena Gontarek, „Pismo" nr 9/2026 – przyp. red.] i jakie niesie za sobą zagrożenia, co wiąże się chociażby z rozwojem sztucznej inteligencji, powtarzam głośno: to był błąd. Od wielu już lat dużo ostrożniej podchodzę do wizerunku zarówno mojego dziecka, jak i pozostałych bliskich, tak samo zresztą chronię wizerunki osób, które biorą udział w moich programach. Z drugiej strony opowiadam otwarcie

o wypadku na Islandii, moim złamanym kręgosłupie czy żałobie po stracie Rafała i innych ważnych i bliskich mi osób, bo czuję, że to, co mnie ukształtowało, może pomóc, mieć znaczenie dla wielu osób, które tę moją historię usłyszą czy przeczytają. Robię to też za zgodą rodziny Rafała, bo nie wyobrażam sobie inaczej. Nie jestem i nigdy nie próbowałam być osobą, która będzie mówić innym, jak mają żyć – mogę podzielić się tylko tym, co ja sama przeżyłam. To przekazuję innym i o takiej relacji mówiłam ci na początku: opowiadanie o własnych przejściach pomaga budować przestrzeń zaufania. Podobnie jest w przypadku bohaterek moich programów. Wierzę, że opowieść o tym, jak z rezyliencją podnoszą się po różnych trudnych doświadczeniach, będzie inspirować innych. Możemy od siebie nawzajem czerpać – tylko tyle i aż tyle. Natomiast to naprawdę nie znaczy, że każdy aspekt mojego życia jest do opowiedzenia każdemu. Istnieje wiele tematów, których nie poruszam i nigdy nie poruszę, bo na przykład wiem, że zraniłyby bliskie mi osoby.

Bo twoja historia należy też do tych, którzy w niej uczestniczą?
Tych, którzy nie są osobami publicznymi, którzy nie chcą, żeby ich życie znalazło się w plotkarskich portalach i mają do tego prawo. Nigdy też nie grałam w grę paparazzich i nie umawiałam się z nimi na ustawki zdjęciowe.

Ale ze swoimi odbiorcami wchodzisz w bliskie relacje.
Czym innym jest spotkanie autorskie z czytelnikami czy widzami. Potrafię zostawać długo po jego zakończeniu i przez kilka godzin nie tylko podpisywać książki, które stały się dla nich ważne, bo znaleźli w nich coś, co ich poruszyło i co było też o nich. Bardzo często przychodzą ze swoimi historiami, bywa, że bardzo trudnymi, potrzebują być wysłuchani i często po prostu przytuleni. Nie masz pojęcia, jak bardzo ludziom potrzeba bliskości i dotyku, sama nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak. I rzeczywiście, czasem takie spotkania z fanami mogą się wydarzyć w momencie, kiedy nie jest ci to na rękę. Bo masz zły dzień, bo jesteś gdzieś spóźniona. Albo przechodzisz jakiś swój kryzys, może nawet największy w życiu, idziesz ulicą i marzysz, żeby tylko dotrzeć do domu, a akurat wtedy spotykasz kogoś, kto chce sobie z tobą zrobić zdjęcie, powiedzieć parę słów. I się przytulić.

Co wtedy?
Przytulam. Bywa, że stoję tak na ulicy czy w sklepie i długo słucham. Bo to znów jest o relacji: to dzięki tym osobom jestem tu, gdzie jestem, bo oglądają moje programy, kupują książkę, udostępniają treści, które przygotowuję, przychodzą na spotkanie, wspierają zbiórki finansowe na ważne projekty. Jestem im za to ogromnie wdzięczna i staram się oddawać to, co od nich dostaję. Przecież to nie jest tak, że jest wersja Martyny na potrzeby programu *Kobieta na krańcu świata* – empatyczna, współczująca, uważna, a w życiu prywatnym – całkiem inna. Ja tak żyję na co dzień. Nie potrafię być wrażliwa wybiórczo.

Czuję odpowiedzialność za osobę, o której opowiadamy w programie. Z tego powodu w 2019 roku założyłam Fundację UNAWEZA.

Zaczęłaś działać społecznie, bo czułaś, że poprzez pracę dziennikarską zmiana świata na lepsze jest coraz trudniejsza?
Mówiłyśmy na początku o odpowiedzialności za każde powierzone słowo – czuję się łączniczką, która przekazuje dalej zgromadzone historie. Ale mam też poczucie odpowiedzialności za osobę, o której opowiadamy w programie, za to, co się dzieje z nią potem, czyli tam, gdzie teoretycznie praca dziennikarki już się kończy. I to był ten moment, w 2019 roku, w którym postanowiłam założyć Fundację UNAWEZA. Czułam, że samo opowiedzenie historii to za mało, że na tym krańcu świata została osoba z tymi problemami, które pokazaliśmy i których wyemitowanie odcinka nie zniweluje. I dlatego postanowiłam być częścią tych historii, jestem w kontakcie z ich bohaterkami, a niektóre zostają – jak Kabula – podopiecznymi Fundacji UNAWEZA.

Kabula kończy w tym roku 26 lat. Pochodzi z Tanzanii, gdzie jej albinizm – zgodnie z wierzeniami przypisującymi częściom ciała osób z albinizmem magiczne moce – sprowadził na nią prześladowania. Zaadoptowałaś ją, czyli wyszłaś daleko poza granice dziennikarskiego zaangażowania.
Z wieloma moimi bohaterkami pozostaję w bliskich relacjach, może nie ze wszystkimi, bo tych odcinków przez tyle lat było ponad 140, ale to już jest naprawdę taka sieć, która oplata cały świat. I jestem też w jakimś sensie odpowiedzialna za ludzi, którym opowiadam tę historię. Dlatego, jak mówiłam ci wcześniej, jeśli ktoś podchodzi do mnie i mówi, że jakiś odcinek go poruszył, chce się ze mną podzielić swoimi emocjami, to ja nie wyobrażam sobie powiedzieć: „A przepraszam, ale zarobiona jestem, nie mam teraz czasu". Bo zaufanie ludzi, widzów, odbiorców jest energią, którą dostaję i to jest bezcenne. Można w tym widzieć obciążenie, ale można też potraktować to jak szansę na uzyskanie wpływu na wygląd tego świata. Ktoś na tyle ci ufa, że opowiada o często najtrudniejszych momentach swojego życia.

W *Przesunąć horyzont* opisujesz, jak półtora roku po wypadku na Islandii zdobywałaś Mount Everest, górę gór.
Pamiętam, jak schodząc te 20 lat temu z Mount Everestu, byłam w głębokiej traumie po śmierci Rafała i stracie kolejnych ważnych dla mnie osób. Pracowałam w amoku, byle tylko się nie zatrzymać i nie czuć tego niewyobrażalnego bólu, więc robiłam więcej, podejmowałam kolejne

wyzwania. Dopiero pisząc do jubileuszowego wydania tej książki, 20 lat później, widzę, jak bardzo się wtedy miotałam, nie pozwalałam sobie poczuć pewnych emocji. Jak ta trauma, żałoba, jakie to było nieprzepracowane. Wtedy nie szukałam pomocy psychologicznej, zresztą nie mówiło się wówczas wiele o depresji, brałam tylko na siebie kolejne góry obowiązków. Dopiero stosunkowo niedawno sięgnęłam po wsparcie fachowców i jestem pewna, że to – czyli psychoterapia – był moment przełomowy, *game changer*. Trafiłam do właściwej osoby, takiej, która zajmuje się tematem śmierci. A to coś bardzo obecnego w moim życiu. Jednocześnie jedna z niewielu spraw, nad którą nie mam jakiejkolwiek kontroli. A lęk związany z jej obecnością jest we mnie bardzo duży, boję się i myślę, w jaki sposób mogę cokolwiek w tym temacie przewidzieć, jakoś się przygotować albo czemuś zapobiec, bo tak wiele razy nie zdołałam tego zrobić. Chodzi o innych ludzi, o to, że ich mogę stracić, tak jak zdarzyło się wiele razy wcześniej. Nie odczuwam lęku przed własną śmiercią – niektórzy nazywają to odwagą, inni brakiem instynktu samozachowawczego. Ja wiem, że samo życie jest niebezpieczne i nigdy, wychodząc do pracy, nie mamy pewności, czy wrócimy do domu. Więc po prostu żyję, cieszę się tym i robię tyle, ile tylko mogę, bo jutra może nie być.

Jest w *Przesunąć horyzont* rozdział – twoja księga umarłych bliskich. Między innymi Rafał Łukaszewicz, himalaista Artur Hajzer, Jerzy Błaszczyk – płetwonurek i informatyk, tata Marysi.

Bardzo zależało mi, żeby w książce zaznaczyć obecność i nieobecność ważnych dla mnie osób i pokazać kontekst. Poza tym trudno zrozumieć niektóre moje wybory bez osadzenia tego w kontekście wydarzeń w moim życiu. I mam na myśli nie tylko śmierć bliskich mi osób, ale też śmierci ludzi, których napotkałam gdzieś na swojej drodze. Zawodowo też często zajmuję się trudnymi tematami: konflikty zbrojne, katastrofy – o tym często opowiadam w programie. Tymczasem my wypchnęliśmy ten temat z naszej codzienności, nie umiemy o śmierci rozmawiać, nie chcemy o niej słyszeć, jakby to miało sprawić, że nas ominie. A ja z kolei mam tak, że im bardziej się czegoś boję, tym bardziej potrzebuję o tym mówić, czytać, dowiadywać się.

Oswajasz w ten sposób?

Może trochę udaję, że dzięki temu będę bardziej gotowa?

Odbyłaś kiedyś w ramach cyklu *Dalej* rozmowę z dziennikarzem Wojtkiem Bojanowskim. Bardzo się wtedy otworzył i opowiedział o stracie dziecka.

Na męskie emocje z tym związane też nie robimy wiele miejsca. A śmierć dziecka to już największe tabu, kto ma odwagę o tym słuchać? To tak przerażająca wizja, że wolimy ją od siebie odsunąć jak najdalej, ale przez to ci, którym się to przydarzyło, są z tym sami, potwornie samotni.

Kiedy skończyłam czytać twoją książkę, myślałam o momencie, w którym jesteś teraz, i o twojej działalności społecznej, aktywistycznej – przez Fundację UNAWEZA, działania zainicjowane przez ciebie w ramach projektu MŁODE GŁOWY – jak bardzo jest ona skupiona na stadzie, watasze, czyli systemie. Wcześniej, w twojej drodze podróżniczki, było dużo indywidualnego, samodzielnego radzenia sobie ze światem. A jak mierzysz się z tym, że niewiele w zasadzie jesteśmy w stanie zmienić? Opowiedziałaś mi o wyjeździe do Republiki Środkowoafrykańskiej, gdzie zrealizowaliście odcinek o tysiącach dzieci wykorzystywanych jako żołnierze. Słuchasz przerażających relacji o gwałtach i dekapitacjach, a potem wracasz na północ, do naszej bezpiecznej części świata i spotykasz się z barierą obojętności. I nawet w mediach nie ma na to zbyt dużo miejsca, bo „wszystkie kamery wyjechały już na inną wojnę" – jak pisała Wisława Szymborska.

Ogarnia mnie czasem złość i ogromna, paraliżująca wręcz bezsilność. Kiedy przyjeżdżam i opowiadam o tysiącach wcielanych do armii dzieci czy brutalnych gwałtach na bezbronnych kobietach w Afryce, Azji czy Europie, bo przecież wraz z Hanią Jewsiewicką zrealizowałyśmy też film o przemocy seksualnej, której dopuszczają się Rosjanie wobec ukraińskich kobiet, to często odbijam się od ściany: „Ludzie są już zmęczeni wojną, chcą w telewizji czegoś lżejszego". Mam całe pudełka pełne strasznych historii, które zbieram w głowie. Bywa, że otwierają się we mnie w najbardziej niespodziewanym momencie. Jednocześnie to właśnie zderzenie i paradoks podziału na bezpieczny i niebezpieczny świat, które się ze sobą nie stykają, dają mi siłę do działania. Pamiętam spotkanie w Republice Środkowoafrykańskiej z kobietą, dla której doświadczenie przemocy seksualnej było codziennością, która podziękowała mi ze łzami w oczach – nie dlatego, że magicznie odmieniłam jej los, ale za to, że po raz pierwszy ktoś w ogóle zapytał ją, jak ona się z tym wszystkim czuje, i po prostu jej wysłuchał.

Została dostrzeżona.

A jej i podobne historie usłyszą widzowie i może też dostrzegą, uznają, że to, co dzieje się „gdzieś tam daleko" nas również dotyczy. Bo to ludzie stamtąd próbują dostać się tu, szukają bezpieczeństwa dla siebie, swoich dzieci.

I nie powiemy im potem *Niech toną*, jak zatytułował swój reportaż o przeprawiających się przez Morze Śródziemne migrantach wspomniany już Wojtek Bojanowski.

Wielu dokumentalistów traktuje to, co robię, z przymrużeniem oka, uznając mnie za jakiegoś hybrydowego

telewizyjnego „kundla" czy „pop-podróżniczkę". Trudno, jakoś z tą łatką mogę żyć, o ile dzięki emisji programu w niedzielne przedpołudnie te historie trafiają do setek tysięcy zwykłych rodzin potem dyskutujących o nich przy stole i otwierają ich głowy na tematy, o których same być może nie wiedziały albo nie chciały rozmawiać. Realizowanie serialu dokumentalnego emitowanego w prime timie w mainstreamowej telewizji jest w tym przypadku ważne, bo ile można rozmawiać o trudnych tematach w bańkach ludzi zainteresowanych, wyłącznie na festiwalach i spotkaniach dla intelektualistów. Wierzę, że potrzebujemy zaangażować w to wszystkich, także tych, którzy nie czytają książek reporterskich i nie śledzą na co dzień doniesień z krańców świata.

Ale ta obojętność nie dotyczy tylko globalnego Południa. System, który zawodzi, dotyka nas tu i teraz, w Polsce. MŁODE GŁOWY to reakcja na zapaść w psychiatrii dziecięcej i psychoedukacji.

Ten pomysł wziął się z bardzo bliskiego mi, osobistego środowiska – gdy obserwowałam dorastanie mojej córki i jej rówieśników, uderzyło mnie to, jak system pozostawia dzieci, rodziców, a także nauczycieli i szkoły, bez żadnego przygotowania w obliczu kryzysów psychicznych, w tym suicydalnych. Szukałam wtedy konkretnego wsparcia: jak zareagować, jak najlepiej pomóc i zobaczyłam, jak bardzo ten temat jest zamiatany pod dywan. Przez szkoły, które nie mają narzędzi, żeby reagować, ale i przez rodziców, bo rodzic, który dostaje informację, że jego dziecko przeżywa trudne chwile albo wręcz ma myśli samobójcze, czasem widzi w tym swoją porażkę, reaguje wyparciem czy stosuje strategię unikową, która wynika po prostu z bezsilności, z nieumiejętności zaopiekowania tego tematu. Poczułam, że tak nie może być. Ale jestem realistką, wiedziałam, że teraz nie zbudujemy nie wiadomo ilu szpitali psychiatrycznych i że nie wyszkolimy nagle więcej lekarzy specjalistów psychiatrii dziecięcej, których jest obecnie mniej niż 600 na ponad 37-milionowy kraj. Zaczęliśmy więc budować wsparcie oddolnie.

Jak?

Promujemy koncepcję Pierwszej Pomocy dla Zdrowia Psychicznego, a czuwają nad tym nasi eksperci. Idea Helppp opiera się na strategii PPP: „Popatrz", czyli bądź świadomy symptomów, uważnie obserwuj rzeczywistość; „Posłuchaj", czyli zareaguj z empatią; i „Połącz", to znaczy zaproponuj konkretną pomoc w znalezieniu wsparcia. Pokazujemy, że czasem zaledwie minuta rozmowy może dosłownie uratować komuś życie. Jesteśmy w polskich szkołach z naszym całorocznym, darmowym Programem Profilaktycznym MŁODE GŁOWY i dotarliśmy już do ponad miliona uczniów i uczennic, szkolimy nauczycieli, mamy webinary dla rodziców. A przede wszystkim dajemy młodym głos i walczymy z potwornie krzywdzącą, generacyjną łatką „pokolenia płatków śniegu".

Czyli przekonaniem, że dziś młodzież jest delikatna, nadwrażliwa i wszystko ją dotyka. Mówiła też o tym na naszych łamach wasza ekspertka, Joanna Flis.

Młodzi są inni niż my i to nas uwiera. Stworzyliśmy im świat, który pędzi za szybko, pełen presji, porównań, ale w nich wierzę. Potrzebują pewne rzeczy zrobić po swojemu, co nie znaczy, że gorzej niż my. I zrzucamy wszystko na zły „system", a przecież każdy z nas jest też jego częścią, więc nie oglądajmy się wyłącznie na ministerstwa, tylko zacznijmy od siebie – bądźmy uważni, reagujmy. Czy jestem w stanie uzdrowić cały świat? Nie. Ale jeśli dzięki naszym wysiłkom statystyki podejmowanych prób samobójczych choć minimalnie spadną, będę czuła, że było warto.

Wróćmy jeszcze do wątku przemocy domowej i seksualnej wobec kobiet. W Polsce wciąż toczy się walka o uznanie i obalenie mitów wokół sprawców i ofiar. Zmierzenie się z tym, co pokazał choćby Wojciech Smarzowski w filmie *Dom dobry*, było dla wielu widzów wstrząsające – słyszałam deklaracje, że filmu nie obejrzą, bo „boją się tego tematu". Ty przez lata poruszałaś go choćby w odcinkach o życiu kobiet w Boliwii (niesamowita Carmen Rojas walcząca w tradycyjnych strojach) czy opowiadając historię Josiny Machel (adoptowanej córki Nelsona Mandeli), która została tak dotkliwie pobita przez partnera, że straciła oko.

Smarzowski zrealizował dzieło absolutnie genialne i na tyle przerażająco realistyczne, że pod wpływem tych obrazów lawinowo wzrosły świadomość i liczba zgłoszeń przypadków przemocy psychicznej, finansowej czy fizycznej, z jakimi zgłaszały się kobiety tkwiące w przemocowych związkach.

Zarówno historia Josiny z wielkiego, bogatego świata Mozambiku, jak i ucieczka boliwijskiej zapaśniczki udowadniają, że to problem, przed którym nie uchroni żaden status społeczny. Szalenie niebezpieczni w strukturze domowego terroru są również ci, którzy stoją z boku – nazywamy ich „enablerami". Kiedy kobieta dostaje cios, a jej sąsiedzi, bliscy czy współpracownicy nie reagują i udają, że nic się nie dzieje, ofiara jest systematycznie wpychana w przekonanie, że być może naprawdę zasłużyła na to, co ją spotyka.

Skoro nikt nie reaguje, to może tak naprawdę nic się nie stało.

Niestety ludzie, którzy nigdy tego nie zaznali, wciąż potrafią z łatwością oceniać: „powinna odejść", „gdzie ona

miała oczy". Szczerze mówiąc sama, a przecież często jestem postrzegana jako symbol niezależności, siły, kiedy doświadczyłam w swoim życiu przemocy seksualnej ze strony osoby o ogromnym autorytecie, po prostu zastygłam, byłam sparaliżowana. Zamroziło mnie do tego stopnia, że nie potrafiłam „adekwatnie" i „modelowo" zareagować, nie umiałam też przez wiele lat uznać sama przed sobą, że padłam ofiarą nadużycia. Mechanizmy, w jakie wpadamy w obliczu doznawanej traumy i przewagi siły oprawcy, bywają absurdalnie złożone. Gdyby chociaż jedna postronna osoba zauważyła i potwierdziła wtedy, że to, co się stało, było złe – może mi byłoby łatwiej to uznać, zamiast mówić sobie, że przesadzam, że może mi się wydawało, a tak w ogóle nic takiego się nie wydarzyło. Mózg robi wiele, żeby nas ochronić i te reakcje bywają – dla kogoś, kto tego nie doświadczył – zupełnie nieracjonalne.

Wiemy też, że uznanie i dostrzeżenie cudzej krzywdy pomaga człowiekowi wyrobić w sobie gotowość – by opowiedzieć o swoim doświadczeniu, by odejść. Przed laty Luis Alarcon Arias, wówczas prezes Stowarzyszenia „Niebieska Linia", mówił mi w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów": „Badania WHO pokazują, że kobieta próbuje średnio siedem-osiem razy uruchomić podjęcie interwencji czy zgłosić się po pomoc, zanim wzmocni się na tyle, żeby naprawdę z niej skorzystać". I to na nas, otoczeniu, spoczywa odpowiedzialność, by te próby podejmować. To jest odpowiedzialność stada.
Widzę, że ty też cierpisz na syndrom ratowniczki.

Pochodzę z domu z problemem alkoholowym, latami rzucałam się na ratunek całemu światu, na tematy, od których wielu stroni. Chcę wiedzieć o tym, gdzie dzieje się zło, aż po jakieś graniczne unurzanie się. Syndrom ratowniczki był moją ucieczką: bo czym są moje troski wobec rozmiaru ludzkiego cierpienia?
Mam bardzo podobnie. Nie potrafię pojechać do Rwandy, nie czytając uprzednio wszystkich brutalnych raportów, reportaży czy dokumentów na temat ludobójstwa, podziału na ludzi lepszych i gorszych oraz odczłowieczania ofiar, mechanizmu, który swoją drogą działa dziś z równą siłą. Też potrzebuję się w tym, jak to ujęłaś, unurzać, żeby w pełni zrozumieć. A jednak syndrom ratowniczki jest okrutną i niszczącą nas pułapką. Potwornie znieczulamy się na nasz ból, powtarzając sobie mantrę: „Spójrz na Kabulę, spójrz na kobiety na drugim końcu globu – one to dopiero mają prawdziwe problemy!". Pozbawiamy się w ten sposób prawa do własnego smutku i cierpienia. Mnie samej uznanie swoich granic, zgoda na bycie niedoskonałą, a przede wszystkim pochylenie się nad samą sobą zajęły dekady. Niedługo kończę 52 lata i wciąż się tego uczę.

Osoba, która jest twarzą projektów skierowanych ku innym, jest zaangażowana w przekazywanie ważnych – często bardzo trudnych – opowieści i prowadzi fundację skupioną między innymi na pomocy nastolatkom mierzącym się z ogromnymi problemami, daje dużo. A czy sama umie brać? Kto ratuje Martynę, która ratuje cały świat?
Bycie liderką w tych różnych projektach, a taką osobą się właśnie czuję, wymaga ode mnie dużego zaangażowania, bo te pomysły wychodzą ze mnie, powstają w mojej głowie. Potem wprawiają je w ruch świetne osoby – zasilają mnie energia i ogromne talenty ludzi, z którymi pracuję. Taką mam naturę, że to, co wymyślę, zaczynam od razu wcielać w życie i zapraszać do tego innych. Pewnie gdybym miała powiedzieć, co jest moim największym talentem, wymieniłabym chyba właśnie to: znajdować i łączyć ludzi wokół jakiejś idei. Ale z tym wiąże się też ogromna odpowiedzialność za innych, skoro to właśnie ja ich do czegoś zapraszam. Nie możesz też więc z tego pociągu potem tak nagle wyskoczyć, bo masz świadomość, że za tobą stoi mnóstwo ludzi, którzy ci zaufali i oczekują twojego zaangażowania. I oczywiście, że są takie momenty, kiedy masz prawo czuć się samotna, bo nie masz komu powiedzieć, że jest ciężko. Kiedy ktoś ci ufa i czeka, że będziesz dla niego przewodniczką, to czasem nie daje to dobrej przestrzeni, żeby zdjąć zbroję i opowiedzieć o własnych bolączkach czy trudzie. Jednak bez wątpienia największe wsparcie mam w ludziach, którzy mnie otaczają. Nawet jeśli nie do końca wszystkim się dzielę. Mam też przyjaciół, z którymi nie pracuję. (*śmiech*) Ale mimo wszystko więcej tych, z którymi łączą mnie relacje zawodowe. I to też ta energia sprawia, że nawet jeśli mi czasem gaśnie zapał, to popatrzę na nich i zdaję sobie sprawę, ile już zrobiliśmy i w jakim jesteśmy miejscu. I że mam obok ludzi, którzy też wierzą, że można świat zmieniać na lepsze – bo my w to naprawdę wierzymy. Bardzo więc szybko – na szczęście – potrafię się zmobilizować, nawet jeśli przeżywam trudne momenty. Aczkolwiek tak, mam naturę ratowniczki. Cokolwiek się dzieje, zakładam pelerynę i lecę na ratunek.

Ale wiesz, że nie odpowiedziałaś na pytanie o to, kto ratuje ciebie?
Widocznie nie bez powodu wolałam to zagadać. Ale na pewno ratunkiem i ogromnym wsparciem jest moja prywatna i zawodowa „wataha". Pracuję z nieprawdopodobnie zaangażowanymi, oddanymi ludźmi, z którymi mogę ramię w ramię walczyć o zmiany, i takimi się otaczam. Ale jest też tak, że dzisiaj nawet w najtrudniejszym momencie – kiedy powinnam się rozsypać – jakoś się nie rozsypuję. Może trzyma mnie poczucie odpowiedzialności, a może jeszcze coś innego. Bo jednak nawet gdy jest trudniej, to wstaję każdego dnia i po prostu robię swoje. Wciąż jest przecież tyle do zrobienia.

Zrzucamy wszystko na zły „system", a przecież każdy z nas jest też jego częścią, więc nie oglądajmy się wyłącznie na ministerstwa, tylko zacznijmy od siebie – bądźmy uważni, reagujmy.

FOTOARCHIWUM

Jesteście naszym jedynym prawdziwym łącznikiem z wolnym światem

zdjęcia archiwalne RADIO FREE EUROPE / RADIO LIBERTY RESEARCH INSTITUTE, BLINKEN OSA ARCHIVUM

projekt artystyczny MASHA WYSOCKA

Transkrypcja nagrań
w Radiu Wolna Europa, 1970

Wieża strażnicza stacji Schleissheim, 1955
Opis z archiwum RWE: „Stacja nasłuchowa (monitoringowa) Radia Wolna Europa, Schleissheim. Cztery wieże strażnicze i wysokie ogrodzenie chronią stację nasłuchową Radia Wolna Europa w Schleissheim, w której znajduje się czuły sprzęt odbierający audycje na falach krótkich z całego świata. (Zdjęcie z kampanii *Crusade for Freedom*)".

MASHA WYSOCKA, belgijsko-hiszpańska artystka. Urodziła się w polsko-żydowskiej rodzinie w ZSRR. Obecnie mieszka i pracuje między Brukselą, Barceloną i Budapesztem. Ukończyła studia fotograficzne w London College of Communication na University of the Arts London.

ZAŁOŻONE W CZASIE zimnej wojny Radio Wolna Europa (RWE) było głównym narzędziem amerykańskiej propagandy w Europie Środkowo-Wschodniej, skierowanej przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Praca z archiwami pozwala podważać oficjalne, historyczne narracje.

You are our only true link with the free world" („Jesteście naszym jedynym prawdziwym łącznikiem z wolnym światem") – to zdanie, które stało się tytułem mojego projektu, pochodzi z listu rzekomo wysłanego z komunistycznej Polski do RWE w latach 50. XX wieku. W projekcie wykorzystuję archiwum tej międzynarodowej rozgłośni, która powstała w 1949 roku i do 1972 roku była finansowana przez Centralną Agencję Wywiadowczą (CIA), a później otrzymywała coroczne dotacje od Kongresu USA. Obecnie RWE grozi zamknięcie na skutek cięć finansowych wprowadzanych przez prezydenta Donalda Trumpa.

Radio Wolna Europa było najbardziej udanym narzędziem propagandy Stanów Zjednoczonych w Europie Środkowo-Wschodniej. Dzisiaj, gdy ten kraj coraz bardziej oddala się politycznie od naszego kontynentu, chcę w nowy sposób przeanalizować fotografie i inne materiały archiwalne, ze szczególnym uwzględnieniem tych stworzonych na potrzeby słynnej kampanii zbierania funduszy na RWE *Crusade for Europe* (1950–1960).

Fotografie podczas zimnej wojny odgrywały kluczową rolę. Dział Spraw Publicznych RWE używał ich zarówno do celów propagandowych (na przykład portrety znanych aktorów czy astronautów odwiedzających studio RWE), jak i do dokumentowania wydarzeń (zdjęcia z akcji wypuszczania balonów z ulotkami). Bezpośrednimi świadkami tych wydarzeń mogli być tylko nieliczni ze względu na tajność działań radia i fakt, że niektóre z nich odbywały się na trudno dostępnych obszarach przygranicznych. Zdjęcia dają więc wgląd w operacje specjalne koordynowane przez amerykańskiego nadawcę w Europie.

Projekt ten jest bezpośrednią kontynuacją mojej artystycznej pracy (*Truth is Stranger than Fiction*, 2021–2024) na zbiorach archiwalnych Blinken OSA Archivum – mieszczącej się w Budapeszcie instytucji, która zajmuje się badaniami nad zimną wojną. Interesuje mnie bowiem podważanie struktur władzy, przyglądanie się roli archiwów i wypełnianie luk historycznych.

Nagranie programu specjalnego z okazji wyborów na prezydenta USA, 1964

Sześciu mężczyzn za stołem konferencyjnym, 1965

Sortownia poczty, 1965

Munich -- Security measures at the RFE/RL headquarters [redacted] sharply stepped up since [redacted] bomb explosion [redacted] four million [redacted] floodlights illuminate [redacted] grounds [redacted] guards with dogs [redacted] circuit television cameras [redacted] by [redacted] Radio contact [redacted] among the circulating [redacted] devices [redacted] to make unauthorized entry by [redacted] main entrance difficult.

Bezpieczeństwo w Radiu Wolna Europa, 1982 – interwencja artystyczna polegająca na zaczernieniu części tekstu

Opis z archiwum RWE: „Monachium – Środki bezpieczeństwa w siedzibie RWE/RS w Monachium zostały zaostrzone po wybuchu bomby wiosną 1981 roku, który spowodował szkody na sumę ponad 4 milionów marek. Obecnie ogrodzony teren oświetlają nocą reflektory, podczas gdy strażnicy z psami patrolują obszar, a kamery telewizji przemysłowej monitorują martwe punkty przysłonięte przez skrzydła budynku. Strażnicy w czasie patrolu utrzymują stały kontakt radiowy, zainstalowano także inne urządzenia techniczne, aby utrudnić nieautoryzowane przedostanie się jakimkolwiek innym wejściem niż główne”.

Lot balonów rozrzucających ulotki, Frohnau, 1970

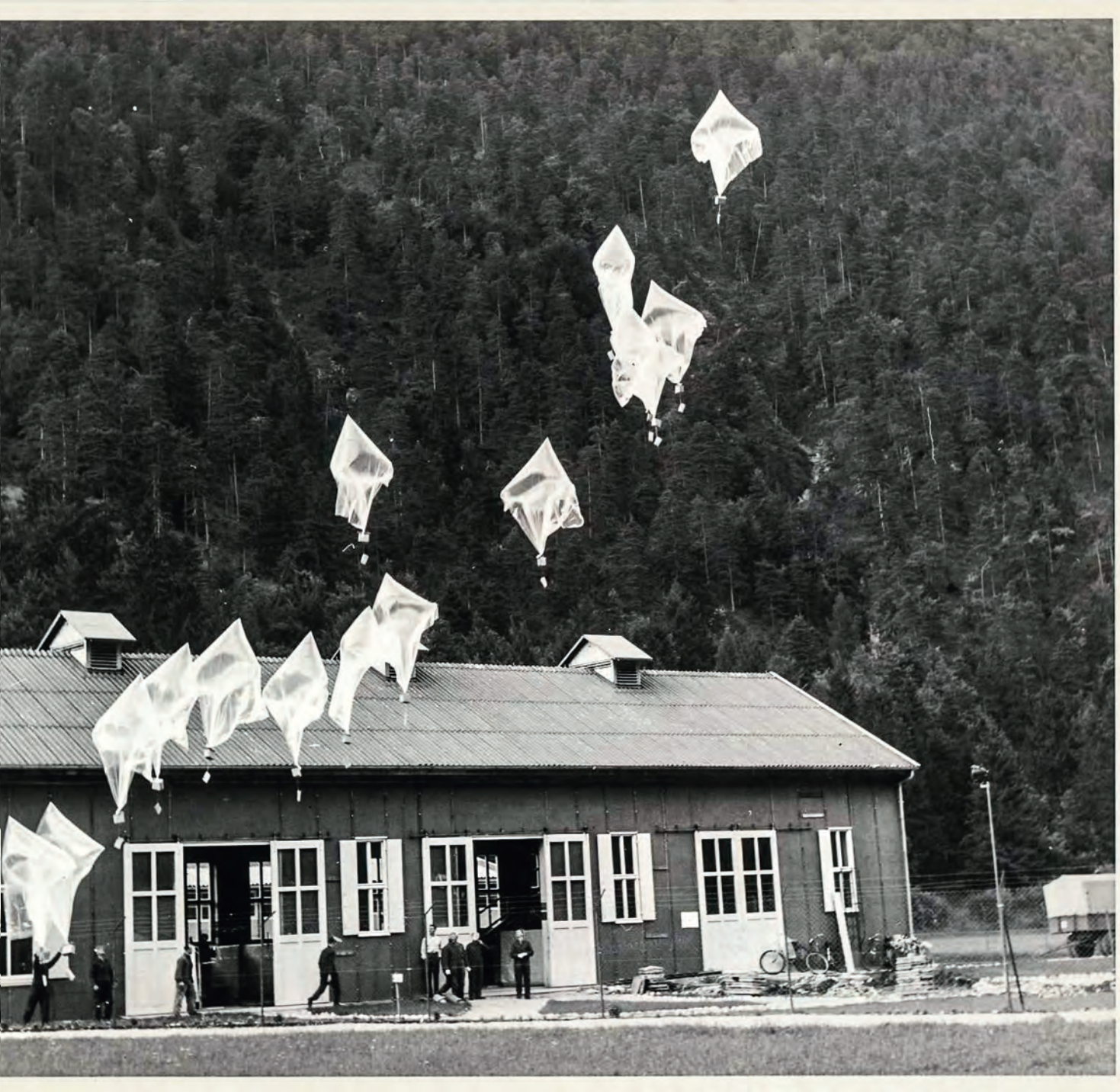

—
Amerykański żołnierz trzymający Lenę, gołębia wolności, 1954

W 1954 roku gołąb pocztowy o imieniu Lena brał udział w wyścigu między dwoma niemieckimi miastami. Podczas lotu z Norymbergi do swojego gołębnika w jednej z zachodnioniemieckich wsi Lena zgubiła drogę i wylądowała w Pilznie w komunistycznej Czechosłowacji, gdzie odnalazł ją czeski hodowca gołębi. Niewymieniony z nazwiska mężczyzna rozpoznał niemiecką obrączkę Leny i postanowił wysłać własną wiadomość – skierowaną do Radia Wolna Europa w Monachium z apelem o „kontynuację walki z komunistyczną agresją" i utworzenie Zjednoczonych Stanów Europy, podpisaną „Niezłomne Pilzno". Dwa dni później Lena dotarła do Monachium. Choć zajęła ostatnie miejsce w wyścigu, wiadomość, którą przyniosła zza żelaznej kurtyny, natychmiast uczyniła z niej celebrytkę, a jej historię RWE od razu wyemitowało do Europy Wschodniej.
Znana jako „Gołąb, który przebił żelazną kurtynę" lub po prostu „Skacząca Lena" (*Leaping Lena*), stała się maskotką kampanii *Crusade for Freedom* w 1955 roku. Przewieziona do Nowego Jorku Lena została honorową „obywatelką" Stanów Zjednoczonych.
(na podstawie materiałów z Blinken OSA Archivum)

APTECZKA Kulturalny niezbędnik złożony z najważniejszych książek, reprodukcji obrazów, filmów i płyt, ale też wspomnień o miejscach, formujących doświadczeń. Moich rozmówców i rozmówczynie pytam o to, co przynosi im spokój, napędza do działania i ratuje w momentach kryzysu. Z czego składa się kulturalna apteczka duńskiej wokalistki i kompozytorki AGNES OBEL?

Podziękuję za nieśmiertelność

AGNES OBEL, duńska wokalistka, autorka tekstów piosenek, multiinstrumentalistka i producentka. Ma na koncie pięć albumów studyjnych. Jej ostatni krążek, *The Meaning of Flowers*, ukazał się 18 września nakładem Deutsche Grammophon. Mieszka i tworzy w Berlinie.

Najważniejszym przedmiotem w mojej apteczce jest notes. Bez niego nie ruszam się z domu. Nawyk prowadzenia zapisków wytworzył się u mnie już w dzieciństwie. Nigdy jednak nie miałam w zwyczaju pisać o tym, jak minął mi dzień ani kto w klasy złamał mi serce. Wolałam dokumentować swoje szkolne odkrycia, zgłębiać naukowe koncepcje i historyczne wydarzenia, które mnie akurat fascynowały (na przykład jak działa bomba atomowa). Do zeszytów wklejałam też zdjęcia, wycinki z gazet i wiersze. Z czasem pojawiły się w nich również teksty piosenek i pomysły na płyty. Gdy zapełniam dziś kolejny notes, staje się on częścią mojego prywatnego archiwum. Wraz z upływem lat zdałam sobie sprawę, że poprzez zebrane w tych zapiskach inspiracje próbowałam też coś przetworzyć: zrozumieć rzeczywistość wokół mnie albo emocje, z którymi mierzyłam się w danym momencie.

Może dlatego tak ważna jest dla mnie poezja. To właśnie czytając wiersze, które znalazły się w moich notesach, widzę, jak bardzo się zmieniłam przez te wszystkie lata. Raz interesowała mnie wyłącznie poezja irlandzka, a potem przez kolejny rok miałam obsesję na punkcie Safony. Po urodzeniu córki zaczytywałam się w wierszach Enheduanny, akadyjskiej arcykapłanki i pierwszej znanej z imienia poetki na świecie. W *Hymnie do Inanny* sławi ona sumeryjską boginię porodu, miłości, pieśni i wojny. Inanna jest dla starożytnej twórczyni przede wszystkim ucieleśnieniem witalnej siły, która przez nas przepływa. Mam wrażenie, że dziś patrzymy na życie naszych przodków głównie przez pryzmat różnic między nami. Odkładamy na bok stare teksty, szczycąc się tym, jak bardzo rozwinęliśmy się przez wieki. Jednocześnie zapominamy o tym, ile ludzkich doświadczeń jest tak uniwersalnych, że funkcjonują poza kulturą i językiem. Jednym z nich są właśnie narodziny. Przecież 4 tysiące lat temu poród był dla kobiety równie intensywnym doświadczeniem, co dziś. To właśnie ta myśl – że wszyscy jesteśmy ze sobą w jakiś sposób połączeni – towarzyszyła mi podczas pracy nad moim najnowszym albumem *The Meaning of Flowers*.

Pomocne w tym procesie okazały się również notatki, które sporządziłam podczas ciąży. Zastanawiałam się wtedy nad tym, co dzieje się z moim ciałem oraz jakie zmiany zachodzą w głowie. Zawsze interesowała mnie neuronauka, tym razem jednak sama doświadczyłam przejściowych zmian w neuroplastyczności mojego mózgu. Wszystko, co wcześniej wydawało mi się sprawą najwyższej wagi, teraz stało się zupełnie bez znaczenia – liczyło się tylko, że za chwilę zostanę matką. Zmieniły się wtedy zarówno moje życiowe priorytety, jak i to, co interesowało mnie w kulturze.

Jedną z najważniejszych lektur w tamtym okresie stała się dla mnie *Kondycja ludzka* Hannah Arendt, w której przedstawiła ona swoją koncepcję natalności. W przeciwieństwie do wielu zachodnich myślicieli (z Heglem na czele) jej filozofia opierała się na nadziei związanej z nowym początkiem, a nie na dowartościowaniu strachu przed śmiercią. Narodziny były dla niej aktem politycznym, który służył jako punkt wyjścia do myślenia o postępie. Rozważania Arendt uzupełniłabym tylko o bezwarunkową miłość matki do dziecka, jaka pojawia się po narodzinach. Bo bez miłości żadna zmiana nie byłaby możliwa. Na *The Meaning of Flowers* chciałam opowiedzieć o tym uczuciu za pomocą muzyki.

Macierzyństwo wpłynęło też na moje podejście do tworzenia. Po urodzeniu córki zaczęłam dostrzegać, ile czasu i energii zmarnowałam na dążenie do perfekcji, która tak naprawdę jest tylko iluzją. Każda próba napisania idealnej piosenki ma w sobie bowiem coś odurzającego. Przez krótką chwilę można poczuć się niemal nieśmiertelnym. O tym właśnie jest *Faustian Deal*, utwór zamykający album. Dziś wierzę, że o wiele zdrowszą siłą napędzającą proces twórczy jest ciekawość. O tym też przypomina mi moja córka. Wybieram ją zamiast nieśmiertelności.

Rozmawiał i przełożył Mateusz Roesler

MATEUSZ ROESLER, kulturoznawca, dziennikarz, badacz komunikacji. Absolwent Gender Studies IBL PAN. W „Piśmie" odpowiada za koordynację projektów i współprace strategiczne. Autor podcastu *Trzaski i szmery*. Nawiązał długofalowe partnerstwo z żółwiem Herbertem. Instagram: @mm_roesler.

rysunki ANNA GŁĄBICKA-MRÓZ

REPORTAŻ

Wielki kryzys miłości romantycznej

tekst FAITH HILL
przełożyła KATARZYNA MOJKOWSKA

DLACZEGO TAK NIEWIELU młodych ludzi znajduje miłość? A skoro ludzie radzą sobie w życiu bez miłości romantycznej, to czym ją zastępują?

Miałam przytulać nieznajomego przez trzy minuty, jednak już po jakichś 90 sekundach zaczęłam się zastanawiać, czy nie lepiej by było umrzeć w samotności. Znajdowałam się w skąpanym w świetle świec manhattańskim lofcie, na wydarzeniu o nazwie The Feels – „warsztacie dla świadomych singli" mającym w zamyśle stanowić odwrotność bezosobowego doświadczenia typowego dla aplikacji randkowych. Uczestnicy schowali telefony, po czym dobrali się w pary, by spróbować kilku ćwiczeń „świadomości somatycznej" polegających między innymi na patrzeniu sobie w oczy, przytulaniu się i trzymaniu dłoni na sercu partnera.

Uprzedzono nas, że dyskomfort jest częścią procesu. Prowadzący przypomniał wcześniej, że dopóki wszystko odbywa się na zasadach świadomej zgody i szacunku, odrobina skrępowania może otworzyć drzwi do wrażliwości. Uczestnicy za ów proces – reklamowany jako „poprawiający relacje", oparty na naukach Carla Gustava Junga, Buddy i „nieskończonej mądrości" ciała – zapłacili po 100 dolarów, mieli więc powody, by się z tym zgodzić. Wielu z nas zresztą, raczej z konieczności niż z wyboru, zjadło już zęby na wychodzeniu z własnej strefy komfortu. Od lat umawialiśmy się z obcymi ludźmi, wystawialiśmy się na ocenę, wyszukiwaliśmy tematy do rozmowy, zamartwialiśmy się, co na siebie włożyć, płukaliśmy w biurze gardła płynem do ust – ale wciąż nie udawało nam się znaleźć tego czegoś – a raczej tego kogoś – kogo pragnęliśmy. Przybyliśmy tu gotowi do działania.

Sam fakt istnienia The Feels, organizatora warsztatów w całych Stanach Zjednoczonych, sugeruje, że żyjemy w czasach miłosnej obfitości. Na podobne wydarzenia randkowe w Nowym Jorku mogłabym chodzić każdego wieczoru w tygodniu. Mogłabym też skorzystać z usług swatki, odbyć sesję z coachem randkowania albo subskrybować jeden z licznych newsletterów, które starają się reaktywować zwyczaj zamieszczania anonsów towarzyskich. Nawet nie mieszkając w dużym mieście, wciąż miałabym dostęp do zatrzęsienia aplikacji randkowych, nie tylko Tindera i Hinge: istnieją platformy dla rolników, miłośników gier komputerowych, samodzielnych rodziców, entuzjastów konopi indyjskich czy osób na diecie bezglutenowej. Aktualnie korzystam naprzemiennie z czterech aplikacji; kiedy piszę ten tekst, w jednej z nich prowadzę 317 rozmów i mam 455 polubień do sprawdzenia.

A jednak, mimo obfitości dostępnych opcji, przeżywamy wielki kryzys miłości romantycznej. „Miłość romantyczna" to, oczywiście, pojęcie o szerokim znaczeniu. Obejmuje zarówno seksualny dreszczyk emocji, jak i wzajemne oddanie w długim związku czy rytuał zalotów wraz z tym aktem nadziei, jakim jest pierwsza randka. Jednak wszystkie te jej przejawy stają się w USA coraz mniej powszechne, szczególnie wśród młodych.

Według Johna Burna-Murdocha, zajmującego się analizą danych dziennikarza „Financial Timesa", od 1980 do 2022 roku dramatycznie spadł odsetek osób w wieku 25–34 lat pozostających w związkach małżeńskich lub mieszkających ze sobą – o blisko 10 punktów procentowych wśród absolwentów college'u i ponad 20 punktów procentowych w gronie osób bez wyższego wykształcenia. Maleje też liczba młodych dorosłych będących w stałych związkach; w 2019 roku, w badaniu ośrodka Pew Research Center, 42 procent pełnoletnich singli poniżej czterdziestki stwierdziło, że nigdy nie byli w stałym związku. W przeprowadzonej w 2025 roku ankiecie firmy YouGov

ilustracja KATARZYNA BELCZYK

FAITH HILL, dziennikarka miesięcznika „The Atlantic". Pisze o relacjach, rodzinie i politykach kulturalnych.

69 procent respondentów singli zaznaczyło, że na randki umawiają się „rzadko" lub „nigdy". Ludzie rzadziej też chodzą ze sobą do łóżka. Między rokiem 2000 a 2018 liczba osób w wieku od 25 do 34 lat zgłaszających, że w poprzednim roku nie uprawiały seksu, wzrosła prawie dwukrotnie.

To nie tak, że ludzie przestali się interesować miłością. Większość żyjących w pojedynkę młodych dorosłych twierdzi, że pragnie związku na całe życie. Jednak z rozmaitych powodów rzadziej udaje im się znaleźć partnera. Allie Hoffman, była prezeska firmy z branży mediów cyfrowych, która w 2022 roku wprowadziła na rynek The Feels, zaobserwowała „zbiorowe poczucie beznadziei" panujące wśród poszukiwaczy uczucia. Rozszerzyła więc zakres swojej oferty. Uczestnicy „Poziomu 2" The Feels, którego cena sięga 215 dolarów, mają szansę na połączenie w pary z osobami „na podobnym etapie drogi do świadomości". Koszt udziału w weekendowym wyjeździe dla singli zaczyna się od 1300 dolarów; trzy dopasowania do innych uczestników na podstawie kwestionariusza i rozmowy telefonicznej plus sześć sesji z coachem w przeciągu trzech miesięcy wyceniono łącznie na 4750 dolarów. W dobie kryzysu miłości romantycznej niektórzy się poddają, a inni podwajają wysiłki.

I oto właśnie podwajałam swoje wysiłki, pocąc się w ramionach obcego mężczyzny. Nie mogłam się zdecydować, na ile blisko stanąć. (Zbyt blisko – nie ma jak oddychać, za daleko – całe przedsięwzięcie traci sens). Od lat należę do pewnego grupowego czatu z plus minus tymi samymi przyjaciółmi singlami. Nasz „Klub Samotnych Serc", jak go nazwaliśmy, stał się azylem, w którym omawiamy dziwne randki, narzekamy, kiedy ktoś nas „zghostuje" [zapadnie się pod ziemię bez słowa – przyp. tłum.], oraz dzielimy się linkami do kont tiktokerów, którzy omawiają swoje dziwne randki i narzekają, kiedy ktoś ich zghostuje. Dostałam już tyle wersji SMS-a: „Z mojej strony nie zaiskrzyło", że zaczęłam odpowiadać na nie pojedynczym emoji – 🍋. Jednak podczas The Feels starałam się zachować otwartość i optymizm. Wbijałam wzrok w czyjeś oczy przez wlekące się w nieskończoność trzy minuty, zastanawiając się, czy mrugam tyle, ile normalny człowiek. Wzruszałam się, czując pod dłonią bicie czyjegoś serca, podobnie jak robiłaby to każda osoba posiadająca puls.

Przytulenie stanowiło ostatnią rundę, po niej czekał nas powrót do prawdziwego życia. Porozmawialiśmy trochę, ale poczucie intymności się ulotniło. Jeden mężczyzna wyznał mi, że dysponuje wysokim poziomem inteligencji emocjonalnej i dostrzega to samo u mnie – zaproponował, żebyśmy kiedyś gdzieś razem wyjechali, wręczył mi wizytówkę i zniknął. Podałam numer telefonu kilku osobom, między innymi facetowi, który już następnego ranka przysłał mi zdjęcie swojej twarzy, a także innemu, który tyle do mnie wypisywał (nawet po tym, jak go uprzejmie spławiłam), że musiałam go zablokować. Z jeszcze innym poszłam na jedną randkę, ale nie byłam zainteresowana następną. Wrażenie obfitości po raz kolejny okazało się ułudą.

Kryzys miłości romantycznej wynika z pewnych szerszych tendencji: pogarszającej się relacji między płciami, zmian w gospodarce, nierówności w postępie społecznym oraz technologii, która nas zarazem łączy, jak i izoluje.

Nie chcę sugerować, że człowiek potrzebuje miłości romantycznej, by czuć się spełniony. Prawdę mówiąc, nie wierzę, że bycie w związku jest z natury lepsze od życia w pojedynkę. Jako społeczeństwo od dekad zmierzaliśmy w tym kierunku: ku sytuacji, w której małżeństwo nie jest już koniecznym warunkiem społecznego i finansowego przetrwania, gdzie indziej znajdujemy sens życia i poczucie wspólnoty, istnieje wiele różnych sposobów na to, by wieść udane życie.

Jednak kiedy już dotarliśmy do tego momentu, rzeczywistość okazała się znacznie mniej różowa. Marzenie o większej równości w związkach partnerskich – zrodzonych raczej z miłości niż z konieczności, raczej z wolności niż konwenansu – dla wielu z nas skończyło się po prostu brakiem jakiegokolwiek związku i poczuciem, że relacja jest wiecznie poza naszym zasięgiem. Zwłaszcza osobom dobiegającym czterdziestki towarzyszy często specyficzne poczucie nieuchronnie zbliżającej się straty. Jak powiedział mi Geoff MacDonald, psycholog z Uniwersytetu w Toronto, to właśnie w tym wieku przeciętnej osobie żyjącej w pojedynkę najtrudniej jest bez partnera. (Jak gdyby ogłoszono komunikat, że teraz wszyscy mają sobie znaleźć tratwę ratunkową – dodał). To okres głębokiej niepewności co do kierunku, w jakim zmierza nasze życie – ludzie starają się wówczas określić swoje priorytety, rozstrzygnąć, jak powinni zaplanować przyszłość, za którymi marzeniami warto podążać, a które trzeba poświęcić. W przypadku kobiet pragnących mieć biologiczne potomstwo to również moment, gdy kończy im się czas.

Pewna 39-latka pracująca w branży filmowej wyznała mi, że ma poczucie, jakby stała „nad przepaścią". Rozważała posiadanie dzieci i zdawała sobie sprawę z tykania swojego zegara biologicznego. Świetnie spędziła czas na weekendowym wyjeździe z The Feels i chociaż nie nawiązała trwałej romantycznej więzi, zyskała nowych znajomych; piszą do siebie na grupowym czacie na WhatsAppie o swoich randkowych wzlotach i upadkach. Jej życie jest pełne. Jednak i tak powiedziała mi: – Świat płonie. Naprawdę chciałabym móc przejść przez to z drugą osobą.

Pragnęłam tego dla niej i dla samej siebie. A przynajmniej chciałam zrozumieć, czemu nie znajdujemy tego, czego szukamy. Zrobiłam więc to, na czym się znam: reportaż. Przeprowadziłam dziesiątki wywiadów z naukowcami i singlami z całego kraju, wytrzymałam na licznych interesujących, lecz bezowocnych wydarzeniach dla randkowiczów, a także odważnie wybrałam się na kilka prawdziwych randek. Jak się dowiedziałam, kryzys miłości romantycznej wynika z pewnych szerszych tendencji: pogarszającej się relacji między płciami, zmian w gospodarce, nierówności w postępie społecznym oraz technologii, która nas zarazem łączy, jak i izoluje. Miliony pojedynczych złamanych serc piszą dziś nową wersję opowiadanej od setek lat *love story*.

—

ŻEBY BYŁO JASNE: nie odczuwam nostalgii za minionym stanem rzeczy. Przez ogromną część ludzkiej historii miłość romantyczna

była zaledwie skutkiem ubocznym. Małżeństwo stanowiło zazwyczaj praktyczny układ: sposób na połączenie rodzin i skonsolidowanie zasobów. W erze przemysłowej młodzi ludzie zaczęli przeprowadzać się za pracą do miast, cieszyć się nowo odkrytą niezależnością i czasem wolnym; konkury przeniosły się z salonu w domu rodzinnym do sal tanecznych. Dla kobiet nie istniały jednak inne niż małżeństwo sposoby na uzyskanie niezależności finansowej – czy dostępu do seksu. Fakt, że na początku XX wieku moja prababka zaszła w ciążę przed ślubem, był w rodzinie takim źródłem wstydu, że nigdy się o tym swobodnie nie mówiło, a nad moją matką, która dorastała na przełomie lat 50. i 60., wciąż unosiło się mroczne widmo tego skandalu.

Były to czasy szczytowej popularności małżeństw, blisko 90 procent kobiet w USA wychodziło wówczas za mąż przed 25. rokiem życia. Nawet w okresie boomu drugiej fali feminizmu od kobiety chcącej wziąć kredyt mieszkaniowy czy złożyć wniosek o kartę kredytową banki wciąż mogły wymagać zgody męża lub krewnego płci męskiej. W 1965 roku Sąd Najwyższy orzekł, że rząd nie może ograniczać dostępu do antykoncepcji parom małżeńskim – jednak osobom niepozostającym w związkach takiego prawa już nie zapewniono. Kilka lat później moja matka, mieszkająca już wówczas z chłopakiem, na wizytę lekarską – szła poprosić o pigułki – włożyła sztuczną plastikową obrączkę z automatu z gumami do żucia.

Z początkiem lat 70., dzięki powszechniejszemu dostępowi do antykoncepcji i aborcji, liczba małżeństw zawieranych pod presją ciąży zaczęła stopniowo maleć, więcej kobiet rozpoczęło naukę w college'ach i podjęło pracę. Życie w pojedynkę i związki queerowe przestały być tak silnie stygmatyzowane. Model rodziny nuklearnej, do którego niegdyś wszyscy dążyli, stracił nieco ze swojej mocy przyciągania. Jak powiedział mi Philip N. Cohen, socjolog z Uniwersytetu Marylandu, spadek liczby małżeństw oznaczał zarazem wzrost wolności wyboru – szczególnie w przypadku kobiet. – Model rodziny z lat 50. nie przetrwał nawet jednego pokolenia – wyjaśnił. – Rodzice nie potrafili przekonać własnych dzieci, że to właściwy sposób na życie. Więc szybko zakończyło się to fiaskiem.

Sama pojawiłam się na świecie w 1995 roku, był to pod wieloma względami szczęśliwy moment. Dorastając w XXI wieku, marzyłam nie o tym, kogo poślubię, tylko jak wspaniałą ścieżkę kariery wybiorę. (W podstawówce zrobiłam sobie wizytówki o treści: PSYCHOLISZKA: MASZ PROBLEM? ZADZWOŃ DO MNIE! i rozdałam je na placu zabaw). Kiedy moja babcia owdowiała po pięćdziesiątce, jej przyjaciele – same pary – przestali do niej dzwonić; nie wypadało spędzać czasu z samotną kobietą. Gdy moja matka rozwiodła się po pięćdziesiątce, przyjaciele wprawdzie jej nie porzucili, ale zawsze miała świadomość swojego statusu „samotnej" w zamkniętym kręgu towarzyskim składającym się z samych małżeństw. Dziś mam 31 lat i większość moich

znajomych to single; całkiem sporo z nich nigdy nie było w związku. Ostatnie walentynki spędziłam na plaży w Meksyku z moimi dwiema najlepszymi przyjaciółkami.

A jednak dla wielu ludzi bycie singlem jest czymś zarazem zupełnie normalnym i absolutnie niepożądanym. Wprawdzie według Cohena nawet osoba niezadowolona z życia w pojedynkę stanowi znak postępu – przynajmniej nie została zmuszona do zawarcia związku z kimś, kogo nie chciała. Tyle że to jak powiedzieć komuś z dziurą w zębie i pustką na koncie, by był wdzięczny, że istnieje nowoczesna stomatologia – niby prawda, ale nieco irytująca.

Moi rozmówcy zazwyczaj czuli, że powinni znaleźć czas na zawieranie romantycznych znajomości. Kiedy jednak w takim razie mieliby spotykać się ze znajomymi, podróżować czy robić postępy w karierze? Randkowanie zawsze wymagało pewnego wysiłku, ale dawniej normą było znajdowanie miłości w życiu codziennym – w biurze, kościele, na prywatce. Ludzie nie musieli wybierać, z czego mają zrezygnować. We współczesnym życiu, za sprawą wielu jego specyficznych aspektów, mamy mniej okazji, by w naturalny sposób poznać kogoś osobiście. Więcej osób kryje się w domach, pracuje zdalnie, filmy ogląda w serwisach streamingowych, a jedzenie zamawia pod drzwi; wielu z nas przywykło do SMS-owego flirtu z ludźmi, którzy już nas „polubili", zatem podchodzenie do obcych wiąże się ze stresem. Jesteśmy więc zależni od aplikacji, nawet jeśli ich nie znosimy. Jak powiedziała mi Sarah Boyle, mieszkająca w Chicago 29-letnia obrończyni z urzędu, randkowanie stało się kolejnym obowiązkiem, który trzeba gdzieś wcisnąć, „jak rozmowę o pracę": „Och, muszę jeszcze wpisać do kalendarza tę randkę z nieznajomym z internetu, którą zaplanowałam na za trzy tygodnie".

Innymi słowy, szukanie miłości jest dziś kosztowne – płaci się za nie zdrowiem psychicznym, gotówką i własnym czasem, na co nie każdego stać. Badanie z 2025 roku – czuję się w obowiązku poinformować, że nazwano je *Making (Enough For) Love* [w wolnym tłumaczeniu *Uprawiając (zawód na tyle dobrze płatny, by starczyło na) miłość* – przyp. tłum.] – wykazało, że im wyższy dochód, tym większa szansa, że dana osoba wejdzie w związek albo przynajmniej będzie czuć się na niego gotowa. Można by tu zaprotestować, że przecież dobieranie się w pary jest tak naprawdę świadomym posunięciem finansowym; w rzeczy samej, niegdyś powszechnym zjawiskiem było zawieranie małżeństw, by następnie połączyć zasoby i wspólnie pracować na stabilizację. Socjolodzy twierdzą jednak, że dziś wielu ludzi postrzega małżeństwo jako nagrodę – zwieńczenie życiowej drogi, na które są gotowi dopiero, gdy spłacą długi, osiądą w stabilnej pracy czy odłożą pieniądze na dom lub dzieci. Jak powiedziała mi Kristen Harknett, socjolożka z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, w ciągu ostatnich 50 lat bezpieczne zatrudnienie i stabilne godziny pracy stopniowo stawały się coraz większą rzadkością. Znaczy to, że tradycyjne kamienie milowe są coraz trudniejsze do osiągnięcia – a uzależnianie własnej sytuacji

finansowej od zasobów drugiego człowieka wydaje się pociągać za sobą raczej obciążenia niż potencjalne korzyści.

Jakby tego było mało, według stanfordzkiego socjologa Michaela J. Rosenfelda COVID-19 wywołał „pandemiczny kryzys randkowania". Między 2017 a 2022 rokiem liczba dorosłych singli w USA wzrosła o około 5 procent (to ponad 13 milionów ludzi), głównie dlatego, że młodzi nie spotykali się ze sobą tak często jak wcześniej. Amerykanie, tonąc w bagnie niepewności, stracili wiarę w to, że dawne źródła stabilności – gospodarka, małżeństwo, druga osoba – zapewnią im w życiu miękkie lądowanie. A brak zaufania i równowagi nie sprzyja miłości romantycznej.

Rozmawiałam z wieloma naukowcami o liczbach i teoriach, chciałam jednak poznać także prawdziwe emocje – nie tylko członków mojego Klubu Samotnych Serc. Stworzyłam więc nieformalną ankietę i rozesłałam ją żyjącym samotnie osobom, pytając w niej, w jaki sposób (jeśli w ogóle) podchodzą do randkowania, na ile są nastawione na znalezienie drugiej połówki, jak godzą to z innymi celami życiowymi i czy mają nadzieję na znalezienie miłości. Odezwali się do mnie mężczyźni, kobiety i osoby niebinarne, ludzie zarówno queerowi, jak i hetero, w wieku od 23 do 49 lat, mieszkający w takich miejscach, jak Oklahoma City, Atlanta, Pittsburgh, Bowling Green w Ohio i Portland w Oregonie, o różnym pochodzeniu rasowym i klasowym. I dowiedziałam się, że mnóstwo z nich odczuwa zmęczenie.

Randkowanie „jest tylko nieprzerwaną serią ciosów w tę resztkę pewności siebie, jaka mi jeszcze została – napisał Keith Causin, 42-letni heteroseksualny mężczyzna z Queens. – To trochę niszczy duszę". „Ludzie są coraz odporniejsi na zobowiązania i to jest zaraźliwe – oceniła 27-letnia osoba queerowa z New Jersey. – Życie w pojedynkę i tęsknota są bezpieczniejsze niż ryzykowanie, że ktoś cię zrani emocjonalnie. Myślę, że romans z samym sobą, traktowanie siebie z życzliwością, robienie fajnych rzeczy samemu, na przykład chodzenie na samotne randki i sprawianie sobie przyjemności, przynosi lepsze rezultaty".

„Należę do pokolenia dziewczynek Disneya, którym od urodzenia wmawiano, że kiedyś pojawi się książę na białym koniu, w co niestety nadal wierzę" – wyznała 26-latka z Los Angeles, która przez całe dorosłe życie była singielką, chociaż od dawna wytrwale chodzi na randki.

Olivia Medina, kolejna 26-latka z Los Angeles, opowiadała, jak to na początku 2020 roku ekscytowała się kiełkującą relacją z pewną osobą z grupy uniwersyteckiej. Po czym przez cały ostatni rok studiów musiała uczyć się zdalnie. Nim świat wrócił do względnej normalności, zmieniły jej się priorytety. – Zbudowałam sobie zupełnie nową hierarchię tego, co dla mnie ważne – powiedziała Medina. – I randkowanie znalazło się bardzo nisko na liście, ponieważ przyzwyczaiłam się do spędzania czasu z przyjaciółmi i robienia rzeczy, które lubię – dla samej siebie.

Cechy, które kobiety dziś cenią – wrażliwość, otwartość, komunikatywność – nie należą do tych wpajanych chłopcom od dziecka. Jednak dawne standardy wciąż obowiązują, na przykład panowie powinni płacić rachunki w knajpach.

Kiedy potrzeba relacji romantycznej jest niewielka, a jej cena wysoka, niektórzy po prostu rezygnują. Inni oczekują związku na tyle zgodnego z ich marzeniami, by zdołał zrekompensować trudy poszukiwań. Kolejne osoby, jedna po drugiej, tłumaczyły mi, że w ich życiu niczego nie brakuje i znalazłyby miejsce w swojej codzienności jedynie dla kogoś, kto naprawdę zawróciłby im w głowie. Tak wysokie oczekiwania stanowią w historii absolutną nowość. Tyle że trudno znaleźć kogoś, kto im sprosta.

—

JOANNA DAVIDSON, antropolożka z Uniwersytetu w Bostonie, mieszkając w wiosce w Gwinei Bissau, zwróciła uwagę na szczególny rodzaj zaniedbanych budynków. Dowiedziała się, że to *kungomaku* – konstrukcje, do których zgodnie ze zwyczajem ludu Jola, dominującej w regionie grupy etnicznej, kobieta musi przeprowadzić się po śmierci męża i zburzeniu jego domu. Wdowy korzystały z cudzych pól ryżowych albo żebrały o jedzenie, mimo to coraz mniej z nich było skłonnych wstąpić w kolejny związek. Pojawiało się za to coraz więcej *kungomaku*. „Mąż wymierza kary, a ty siedzisz i cierpisz – wyznała jej pewna kobieta. – Kiedy umrze, czemu miałabyś dać się karać następnemu?".

Gdy Davidson opisała swoje doświadczenia podczas konferencji Amerykańskiego Stowarzyszenia Antropologicznego w Waszyngtonie, na sali zapanowało poruszenie – wszyscy badacze rozpoznawali ten schemat. Każdy z obecnych potrafiłby na podstawie własnych badań terenowych zobrazować głębię niezadowolenia kobiet. Davidson wraz Diną Hannaford, antropolożką z Uniwersytetu w Houston, zaprosiły więc koleżanki i kolegów do nadsyłania artykułów naukowych, które ostatecznie złożyły się na wydaną w 2022 roku książkę *Opting Out: Women Messing with Marriage around the World* (*Wypisując się. Kobiety z całego świata, które zadzierają z instytucją małżeństwa*). Skrzynki odbiorcze naukowczyń pękały w szwach od studiów przypadków zarówno z biednych, jak i bogatych państw.

Davidson i Hannaford dowiedziały się, że w Botswanie wiele dzieci wychowuje się w sieciach społecznych samodzielnych kobiet i ich rodzin. (W 2024 roku jedynie 4500 Botswańczyków z 2,5 milionowej populacji zawarło związki małżeńskie). Usłyszały o kobietach z Korei Południowej, które zwlekały z zamążpójściem, by opiekować się starszymi członkami rodziny – po czym, przyglądając się otaczającym je mężczyznom, uznawały, że niczego nie żałują. Hannaford napisała o kobietach z Senegalu, które poślubiają mężczyzn mieszkających za granicą lub zostają trzecią bądź czwartą żoną w nadziei, że pozwoli im to uniknąć publicznej hańby staropanieństwa, a zarazem – codziennego trudu i nawału pracy emocjonalnej i seksualnej, który czekałby je w typowym związku małżeńskim. Antropolożki zwróciły uwagę, że dziewięć na dziesięć osób, jak świat długi i szeroki, żyje w kraju, w którym spada współczynnik małżeństw. Konkretne trudności zmieniają się zależnie od lokalizacji, ale na całej kuli ziemskiej kobiety mają dosyć. We wprowadzeniu

do książki Davidson i Hannaford napisały: „Przez cały ten tom przewija się przekonanie, że mężczyźni są na ogół źródłem rozczarowań".

Można to nazwać „problemem z zaopatrzeniem". Niektórzy badacze uważają, że wielki kryzys relacji romantycznych jest w znacznym stopniu spowodowany niedoborem „mężczyzn zdatnych do małżeństwa". Ale – aby oddać sprawiedliwość panom – coraz trudniej dziś osiągnąć sukces rozumiany według dawnych standardów. Stabilne, dobrze płatne stanowiska dla pracowników fizycznych zniknęły w Stanach Zjednoczonych niemal całkowicie. Do tego mniej mężczyzn niż kobiet zdobywa wyższe wykształcenie, które w zasadzie stało się dziś warunkiem koniecznym stabilizacji finansowej. Procent Amerykanów w wieku od 25 do 54 lat, którzy ani nie pracują, ani nie poszukują zatrudnienia, w ciągu ostatnich 70 lat wzrósł czterokrotnie. Zanika grupa będąca w stanie samodzielnie utrzymać rodzinę lub zapewnić partnerce jakiekolwiek poczucie bezpieczeństwa. Coraz więcej absolwentek college'u poślubia mężczyzn niemających wyższego wykształcenia, wyłuskując spośród nich tych najlepiej zarabiających. To z kolei sprawia, że przed niewykształconymi kobietami rysują się jeszcze gorsze perspektywy – a liczba zawieranych przez nie małżeństw leci na łeb na szyję, szczególnie w miejscach, gdzie ich potencjalni partnerzy zmagają się z wyższą stopą bezrobocia i częściej trafiają do więzień.

Tymczasem wielu mężczyzn cierpi z powodu niedowartościowania. Nie żeby pieniądze były jedyną rzeczą, jaką są w stanie zaoferować – w końcu mniej kobiet potrzebuje dziś żywiciela rodziny. Naukowcy jednak powiedzieli mi, że cechy, które współczesne kobiety cenią bardziej niż kiedykolwiek wcześniej – wrażliwość, otwartość, komunikatywność – nie należą raczej do tych wpajanych chłopcom od dziecka. Mężczyźni starają się wprawdzie sprostać nowoczesnym oczekiwaniom, jednak dawne standardy wciąż mają się dobrze. Panowie powinni płacić rachunki w knajpach, ale jednocześnie traktować kobiety jak równe sobie; inicjować flirt, ale nigdy nie zachowywać się obleśnie czy napastliwie; cechować się zarówno tężyzną fizyczną i męskością, jak i empatią oraz troskliwością. Arthur, 46-latek z New Jersey, napisał w ankiecie, że zdarzyło mu się randkować z kobietami, które uznawały, że jest zbyt miły. Jedna z nim zerwała, bo jej zdaniem biła od niego „energia tatusia". („Nie mam stuprocentowej pewności, co to znaczy – powiedział mi Arthur – ale raczej nic seksownego"). Druga stwierdziła, że podoba jej się, jaki jest miły i wspierający, jednak wolałaby, żeby był bardziej zdecydowany, żeby – tak to zrozumiał – to on „nosił spodnie" w związku. Arthur nie był pewien, jak miałby przejawiać obie te cechy jednocześnie.

Inni mężczyźni, z którymi rozmawiałam, mieli poczucie, że w kwestiach romantycznych wszystko sprzysięgło się przeciwko nim, szczególnie w aplikacjach randkowych. Odnosili wrażenie, że kobiety toną w „matchach" [„dopasowaniach" – przyp. tłum.], podczas gdy oni wysyłają polubienia w próżnię. – Czuję się, jakby odrzucały mnie cztery miliony kobiet jednocześnie – wyznał mi Causin, mężczyzna z Queens. Moi rozmówcy opisywali przedstawicieli swojej płci jako zdemoralizowanych kretynów, a kobiety jako odnoszące sukcesy *girlbosses* – zwyciężczynie, które ustalają reguły, a zarazem same stanowią nagrodę. Te, które pragną romansu, ale go nie potrzebują.

Brzmi to jednak tak, jakby kobiety były ogółem o wiele potężniejsze i bardziej wyzwolone, niż są w rzeczywistości. Może i wyższy ich procent idzie na studia, ale wciąż zarabiają średnio mniej od mężczyzn z podobnym wykształceniem. W typowej heteroseksualnej parze małżeńskiej lub mieszkającej razem kobieta wciąż wykonuje o wiele więcej prac domowych – nawet kiedy to ona utrzymuje rodzinę.

Do Kris Swiatocho, duszpasterki chrześcijańskich singli, odzywa się wiele młodych kobiet, które są tak umęczone poszukiwaniem miłości, że tracą już nadzieję. Opowiadają jej różne wersje wciąż tej samej historii: „Spotykam mnóstwo facetów, którzy mają 27 lat i nadal mieszkają z rodzicami. A do tego są gamerami. Interesują ich tylko gry". Allie Hoffman zauważyła, że wielu młodszych mężczyzn na spotkaniach The Feels sprawia wrażenie „relacyjnie niedorozwiniętych" – szczególnie dotyczy to przedstawicieli generacji Z, którzy dorastali przed

Program Kreatywna Europa

europejskie wsparcie dla sektora kultury i kreatywnego

Współfinansowane przez Unię Europejską

ekranami. Pragną bliskości, ale w zderzeniu z oczekiwaniami kobiet czują się czasem nieprzygotowani i przytłoczeni.

Kobiety, z którymi przeprowadzałam wywiady, wydawały się nie tyle wybredne, ile raczej pesymistycznie nastawione i wypalone za sprawą fatalnych doświadczeń. Jedna z nich wybrała się samolotem w odwiedziny do faceta, który przez większość jej pobytu był pijany, w szorstkiej rozmowie z sąsiadem nazywał ją „dupą", a następnie, gdy tylko wróciła do domu, wysłał jej wiadomość, że „nigdy nie będą razem na poważnie". Inna zakochała się w swoim współpracowniku, z którym dwa do czterech razy tygodniowo chodziła na kolację – po czym dowiedziała się, że jest on w poważnym związku z kimś innym. Mnóstwo historii miało mniej dramatyczny przebieg: były to opowieści o nieporozumieniach i cichym rozczarowaniu mężczyznami, którzy – jak się zdaje – nie potrafili wyrazić ani nawet zdecydować, czego chcą.

Większość kobiet – jak sądzę – wie, że dobrzy mężczyźni istnieją. Nie winię ich jednak za to, że stają się coraz bardziej cyniczne w ocenie szans na znalezienie jednego z nich. Postęp feministyczny ostatniego półwiecza spotkał się z gwałtowną, zajadłą kontrreakcją w postaci mizoginii. Według ankiety Ipsos przeprowadzonej w 2025 roku w 30 krajach, w tym w Stanach Zjednoczonych, blisko 60 procent mężczyzn z generacji Z sądzi, że ich kraj „posunął się tak daleko w promowaniu równości kobiet, że teraz dyskryminujemy mężczyzn". Jessica Calarco, socjolożka z Uniwersytetu Wisconsin w Madison, mówi, że wielu braci jej studentek ogląda filmiki guru manosfery, influencera Andrew Tate'a, który uważa, że kobiety są własnością mężów. Tate został oskarżony o gwałt, napaść i handel ludźmi (zaprzecza tym zarzutom). Jeśli dziewczyny obserwują takie postawy we własnej rodzinie, czemu miałyby zaufać nieznajomemu z aplikacji?

Hannah Tessler, absolwentka studiów doktoranckich, pracowniczka naukowa Uniwersytetu Michigan, badała czynniki, które wpływają na to, czy single cenią romantyczne relacje partnerskie. Z wywiadów dowiedziała się, że większość młodych respondentów płci męskiej nie zastanawiała się zbytnio nad tym, jak podzieliliby prace domowe, gdyby zawarli związek małżeński czy doczekali się dzieci z partnerką; tak naprawdę nie spodziewali się, by musieli z czegokolwiek rezygnować. Tymczasem młode kobiety brały to wszystko pod uwagę. Niektóre chciały związku jedynie pod warunkiem, że panowałaby w nim prawdziwa równość. „Nie chcę wchodzić w rolę czyjejś opiekunki, matki, pokojówki, seksrobota, niani, terapeutki i tym podobne." – podsumowała Tessler. Inne kobiety były skłonne robić każdą z tych rzeczy, o ile tylko oznaczałoby to posiadanie rodziny.

Gigi Gayle, 44-latka z Chicago, brała pod uwagę tego rodzaju kompromisy. Z pozoru nie wygląda na kogoś, kto szukałby bardziej tradycyjnego układu. Skończyła studia, ma firmę marketingową działającą w branży klubów nocnych i jest współwłaścicielką centrum pomocy psychologicznej. Zmęczyła się jednak związkami, w których zasuwała na pełen etat i dokładała połowę do rachunków – a mężczyźni chcieli, by w dodatku gotowała, sprzątała i odgrywała, jak to ujęła, rolę „terapeutki", czyli „doradzała im i podnosiła ich na duchu". Teraz postanowiła więc spróbować być „bardziej uległą". Chce żywiciela, kogoś, kto sprawi, że poczuje się otoczona opieką. Najpierw będzie jednak musiała go znaleźć – na razie kiepsko jej to idzie.

Historia Gayle przypomniała mi coś, o czym słyszałam wcześniej. Carrie Rappaport-Zaken, terapeutka z Manhattanu, mówiła, że wiele z jej klientek singielek zaczytywało się *The Rules* (*Zasadami*), poradnikiem randkowania z 1995 roku (który nawet wówczas był uważany za anachroniczny), ponieważ polecają go influencerki randkowania. „Nie przytłaczaj go swoimi zwycięstwami zawodowymi – radzi książka. – Spróbuj pozwolić błyszczeć jemu". Rappaport-Zaken nie ukrywa irytacji faktem, że wszystkie te mądre, odnoszące sukcesy kobiety próbują sprawiać wrażenie łagodnych i pozbawionych wymagań, licząc, że będą się za nimi uganiać faceci – w dodatku pod dyktando poradnika tak starego, że przestrzega czytelniczki przed dzwonieniem do mężczyzny na telefon stacjonarny. Terapeutka rozumie jednak, dlaczego taka strategia jest kusząca. Mnóstwo jej klientek próbowało odważnie sięgać po to, czego chcą, po czym przekonywały się, że takie zachowanie odstrasza płeć przeciwną.

Wciąż natrafiałam na tę samą, podszytą znużeniem nostalgię: za randkami w ciemno i nieoczekiwanymi spotkaniami rodem z komedii romantycznych, za stabilną pracą i tradycyjnymi rolami płciowymi. Niektórzy moi rozmówcy otwarcie przyznawali, że woleliby, aby reguł było więcej, a wybór mniejszy. Skoro teraźniejszość wydaje się wroga

Buduj swoją cyfrową odporność.

Zapisz się na praktyczny kurs weryfikacji informacji organizowany przez „Pismo".

miłości romantycznej, a przyszłość niepewna i przerażająca, to czy można mieć pretensje do ludzi, że zwracają się ku przeszłości?

—

W ciągu kilku miesięcy od The Feels wzięłam udział w pięciu innych wydarzeniach randkowych w różnych częściach Brooklynu i Manhattanu. Spotkałam niezliczonych wyczerpanych weteranów i weteranki z kręgów nowojorskich singli, którzy regularnie pojawiali się na podobnych imprezach lub bywali na jednej wybranej. Ucięłam sobie pogawędkę z mężczyzną, który był na tak wielu spotkaniach tego rodzaju, że musiał narzucić sobie zasadę: pięć miesięcy przerwy po każdym, żeby nie postradać zmysłów. Przyjaciel, z którym podzieliłam się później swoimi obserwacjami, powiedział, że przypomniało mu to sytuację, gdy szukał mieszkania i za każdym razem spotykał tych samych oglądających.

Jedna z takich imprez odbywała się w kiepsko oświetlonym barze w Tribece, wtłoczona tuż obok *happy hour* dla ekspertów z branży nieruchomości i zagospodarowania przestrzennego. Gościom rozdano świecące w ciemności kolorowe bransoletki. – Fioletowi rozmawiają z fioletowymi! Czerwoni rozmawiają z żółtymi! – nawoływała mistrzyni ceremonii, po czym podsuwała nam jak dzieciom pytania zapoznawcze w rodzaju: „Który z celebrytów ci się podoba?" albo „Jak wyglądałaby twoja wymarzona randka?". Poszłam też na dwie imprezy – dla osób heteroseksualnych w Financial District i (lepiej ubranych) queerowych w Bushwick – podczas których przybyli reklamowali swoich przyjaciół singli reszcie zebranych, wykorzystując do tego PowerPointa. Na jeszcze innym wydarzeniu, tym razem w Williamsburgu, o wiele odważniejsi ode mnie uczestnicy zachwalali sami siebie. Pewna gitarzystka cicho zaśpiewała własną piosenkę na swój temat, inna dziewczyna przedstawiła zaś skecz o sobie jako o „amerykańskiej brzyduli", którą jedynie obcokrajowcy uważają za atrakcyjną. Prowadzący zażartował, że wszyscy jesteśmy zbyt seksowni, by potrzebować takiego spotkania, więc musimy mieć okropne charaktery.

Na imprezie z autoprezentacją usiadłam obok mężczyzny, który odczytał tasiemcową listę cech dyskwalifikujących potencjalną partnerkę (między innymi fryzura na chłopaka i niewysportowana sylwetka), po czym z dumą nazwał siebie nieoceniającym. Podczas wieczoru *speed datingu* (randek błyskawicznych) w stylizowanym na klasyczny diner barze w Bushwicku zajęłam miejsce w przypisanym mi boksie, a potem naprzeciwko mnie siadali kolejni mężczyźni. Miałam jedynie trzy minuty dla każdego z nich – pamiętałam jednak z The Feels, że trzy minuty potrafią się dłużyć. Jeden z mężczyzn przedstawił mi swoją teorię na temat kryzysu miłości romantycznej – według niego „problem leży w tym, że gdy kobiety rozmawiają między sobą o mężczyznach, zaczynają ich nienawidzić". Kiedy delikatnie zaprotestowałam, zmienił temat: – Jakie jest twoje ulubione zwierzę? – zapytał.

Aplikacje randkowe pozwalają ciągle się starać, przesuwać w prawo i pisać wiadomości, iść na drinka, po czym znów przesuwać. Liczba potencjalnych dopasowań jest ogromna, podobnie jak ilość czasu potrzebnego do sprawdzenia każdego z nich – bez żadnej gwarancji powodzenia.

Ciężko wyczuć moment, gdy czas już zsiąść z karuzeli randkowania. Niektórzy ponoszone koszty postrzegają jako inwestycję we własną przyszłość. Aplikacje randkowe pozwalają ciągle się starać, przesuwać w prawo i pisać wiadomości, iść na drinka, po czym znów przesuwać. Liczba potencjalnych dopasowań jest ogromna, podobnie jak ilość czasu potrzebnego do sprawdzenia każdego z nich – bez żadnej gwarancji powodzenia. Im bardziej się starasz, tym bardziej chcesz, żeby ci się udało, a zarazem tracisz pewność, że drugiej stronie będzie zależało równie mocno.

Są i tacy, którzy nie chcą już więcej tracić; kasują aplikacje i mają nadzieję, że miłość znajdzie ich sama. Margot Bracke, doktorantka na Wydziale Socjologii Uniwersytetu w Antwerpii, zadecydowała, że nie będzie już pytać uczestników badań, czy „aktywnie" szukają partnera; lepiej trafia do nich pytanie, czy są „otwarci" na związek. Jej koleżanka Elise't Hoen powiedziała mi, że wielu z nich po prostu pogodziło się z tym, że są sami.

Do tej ostatniej kategorii należy Treasure Saunders, 39-latka, która spędziła całe lata w kolejnych poważnych związkach. Jednocześnie pracowała na pełen etat, zajmowała się domem i opiekowała trojgiem dzieci. Nieustannie odnosiła wrażenie, że traci poczucie siebie. Zadecydowała, że ma tego dosyć, potrzebowała jednak „mężowskiej pensji" – z tym że bez męża. Zdobyła więc techniczne, inżynierskie wykształcenie umożliwiające pracę przy infrastrukturze transportowej („Masa betonu i stali"). Następnie wykorzystała te pieniądze, by zrealizować długofalowy cel: kupiła działkę z czterema budynkami, z których większość wynajmuje. Z początku czuła się samotna bez partnera. Zaczęła jednak spędzać czas w pobliskiej siedzibie związku zawodowego pracowników branży budowlanej i bliżej poznała 130 kolegów ze stowarzyszenia – praktycznie samych mężczyzn. – Noszę wielkie swetry, brudne dżinsy i buciory, a moje włosy są zawsze w nieładzie – mówi. – Można powiedzieć, że od razu się wpasowałam. Przyjaciółki są dla niej tak cenne, że w pewnym sensie jest w nich zakochana. Zapraszają się nawzajem do sushi barów, wspólnie podróżują. – Jestem w relacji romantycznej z moimi przyjaciółkami – wyznała mi, kwitując to salwą śmiechu. – A mężczyzn wykorzystuję do seksu.

Saunders utrzymuje, że w idealnym świecie nie byłaby singielką. Ale tak wygląda jej rzeczywistość. Podobne uczucia przebijały z innych rozmów. Arthur nie walczy z zarzutami o „energię tatusia"; postanowił skupić się na byciu dobrym facetem, dobrym pracownikiem i dobrym wujkiem. Przyznał, że randkowanie stawało się dla niego coraz trudniejsze. Tyle razy został odrzucony, że otwierając się przed nowymi osobami, miał wrażenie, jakby sam prosił się o skrzywdzenie. Pożegnał się więc z wizją wymarzonej partnerki. – Miałem poczucie, jakbym stracił rodzica – wyznał mi. – Ale to jak ze wszystkim, cóż – idzie się dalej. Zabrał się za swoją formę fizyczną, naukę nowych języków

i spędzanie czasu z 80- i 90-letnimi krewnymi. Uważa – ma nadzieję – że staje się lepszym człowiekiem.

Hoffman, założycielka The Feels, miała kiedyś konkretną wizję własnej przyszłości: bratnia dusza, nowojorska kamieniczka, dwoje dzieci. – Wszystko sobie obmyśliłam – powiedziała – a potem nic z tego się nie spełniło. Przed czterdziestką zdała sobie sprawę, że jej wymarzone życie było mrzonką; pewność mogła mieć tylko co do rzeczy, które ma przed sobą. Mówiąc mi to podczas spotkania na Zoomie, zaczęła wymieniać rzeczy znajdujące się dookoła – pomarańcza, butelka wody – by podkreślić, jak dosłownie traktuje to zdanie. Jej celem było wówczas „totalne oddanie się rzeczywistości". Podczas The Feels prosi uczestników, by wspólnie oddali się chwili, skupili na ciele i oddechu. Jeśli pójdzie za tym uczucie, to super. Jednak często powtarza, że w tych wydarzeniach nie chodzi wyłącznie o związek – chodzi o bliskość, „bycie w ciele", szansę na „wyrażenie emocji".

Hofmann przyznaje, że do tej filozofii trudno przekonać kobiety, które pragną dzieci – szczególnie te około 40-letnie. Na wydarzeniach The Feels to one są grupą, która już na wejściu emanuje najbardziej namacalnym niepokojem. Ponieważ tak wielu mężczyzn umawia się z młodszymi – wyjaśniła mi – kobietom w tym przedziale wiekowym pozostaje jedynie „ułamek ułamka" potencjalnych partnerów, „tak mało, że aż boli". Również podczas przeprowadzanych przeze mnie wywiadów tęsknota za dzieckiem stanowiła wielką linię podziału. Osoby nastawione na rodzicielstwo są zazwyczaj najbardziej zestresowane.

Muszę tu wyznać, że sama należę dziś do tych niewyluzowanych. Niecałe dwa lata temu, po blisko dekadzie poszukiwań, poznałam na weselu kogoś, kto sprawił, że kwestie sercowe nagle wydały mi się zaskakująco łatwe. Dzieliło nas dziewięć godzin podróży pociągiem, ale z czasem przyzwyczaiłam się do kanapek z mozzarellą i pomidorem z Amtraku [amerykański przewoźnik kolejowy – przyp. tłum.]. Po ośmiu miesiącach wyznaliśmy sobie miłość, co wydawało się w dobrym sensie staromodne, zwłaszcza w zestawieniu z moimi dotychczasowymi niezdefiniowanymi, pozbawionymi komunikacji pseudozwiązkami. Jednak on nie chce mieć dzieci, a ja wyraźnie czuję, że ich chcę. I oto jestem – po trzydziestce, w otwartym związku na odległość i w pewnym sensie z powrotem na karuzeli. Prosto po pracy biegnę na spotkania z nieznajomymi w barach na Brooklynie, gotowa na kolejny ogromnie sympatyczny wieczór, który ostatecznie donikąd mnie nie zaprowadzi.

Oczywiście, ludziom nieustannie zdarza się mieć dzieci mimo braku partnera. W 2024 roku matkami 40 procent wszystkich dzieci urodzonych w Stanach Zjednoczonych były kobiety niezamężne – to osiem razy więcej niż w roku 1960. Rośnie również liczba mężczyzn, którzy decydują się na samodzielne ojcostwo. Do Batyi Novick, terapeutki pracującej z parami mającymi trudności reprodukcyjne, przychodzi coraz więcej osób pragnących porozmawiać o zamrożeniu komórek jajowych czy metodzie in vitro; tyle słyszy o ich życiu sercowym albo jego braku, że została *de facto* doradczynią randkowania. Rodzicielstwo w pojedynkę rzadko jest jednak planem A. Wychowywanie dziecka bez wspólnika to przedsięwzięcie trudne, kosztowne i często samotne.

W ciągu 10 lat poziom szczęścia dorosłych niepozostających w związkach małżeńskich gwałtownie spadł, znacznie bardziej niż w przypadku osób, które wzięły ślub. W tym sensie pozostawanie singlem staje się trudniejsze, nawet gdy nie wiąże się ze stygmatyzacją.

Wiele osób szuka więc kreatywnych planów B. W 2011 roku Ivan Fatovic założył stronę internetową o nazwie Modamily, przeznaczoną dla osób poszukujących partnera lub partnerki – niekoniecznie w sensie romantycznym – do wspólnego rodzicielstwa. Fatovic miał 35 lat, gdy zorientował się, że może istnieć popyt na taką usługę; jego przyjaciółki zaczęły niepokoić się tykaniem zegarów biologicznych, a z ich randek nic nie wynikało. „Może osoba, z którą masz dzieci – uznał – nie będzie tą samą, z którą się zestarzejesz". Modamily ma dziś ponad 120 tysięcy użytkowników i – jak twierdzi Fatovic – przyczyniło się do narodzin ponad tysiąca dzieci.

Dzięki Fatovicowi nawiązałam kontakt z rodzicami dwójki dzieci powołanych na świat dzięki metodzie in vitro – Zacharym Sahuque i Amandą Lohse, teraz rozważającymi skorzystanie z zamrożonych zarodków, by mieć trzecie. Gdy w 2019 roku poznali się na portalu Modamily, byli singlami i gorąco pragnęli zostać rodzicami. Lohse miała 40 lat i przygotowywała się do samodzielnego rodzicielstwa, uznała jednak, że da portalowi szansę. Przez kilka miesięcy prześwietlali się nawzajem, rozmawiali o Bogu i etyce, a także o metodach wychowawczych, po czym zdecydowali, że mogą nieźle się dogadywać jako rodzice. Oboje mieli za sobą bolesne doświadczenia sercowe i uznali, że ten sposób powołania dzieci na świat może okazać się bardziej przejrzysty – unikną gwałtownych namiętności i późniejszego rozczarowania, gdy uczucia zbledną. Sahuque miał nadzieję na coś, co wielu z nas uważa za drugi w kolejności z możliwie najlepszych scenariuszy: „Będziemy jak szczęśliwie rozwiedziona para".

W tym sensie ich marzenie się spełniło. Zostali bliskimi przyjaciółmi. Wraz z dwoma synkami jeżdżą razem na wakacje, spędzają wspólnie święta i od czasu do czasu jedzą rodzinną kolację. Sahuque czuje wdzięczność za to, jak bardzo Lohse jest oddana dzieciom; ona jest szczęśliwa, że w ogóle ma współrodzica, a w szczególności tak ciepłego mężczyznę, który nigdy nie dopuścił do tego, że ich sytuacja wydałaby się niezręczna. Słuchając ich, zaczęłam sobie wyobrażać, że ja również mogłabym sobie kogoś znaleźć na Modamily.

Szybko jednak poczułam ucisk w dołku, bo dotarło do mnie, że choć układ Zacharego i Amandy jest niekonwencjonalny, to wciąż pozostaje w zgodzie z tradycyjnym podziałem na role płciowe. Cała czwórka mieszka na terenie należącego do mężczyzny ponad 22-hektarowego rancza w Price w Teksasie, ale dzieci i ich matka zajmują domek na kółkach. On ciągle wyjeżdża w sprawach zawodowych, a ona łączy opiekę nad synkami z pracą nauczycielki na pełnym etacie. Odkąd zostali rodzicami, jemu zdarza się

chodzić na randki, ale ona rzadko ma na to czas. I wprawdzie kobiety, z którymi spotykał się Sahuque, wydawały się oczarowane ich niecodziennym układem rodzicielskim, to Lohse przyznała, że mężczyźni, z którymi ona się umawiała, zdawali się postrzegać go jako zagrożenie. – Mężczyźni aktywnie zaangażowani w życie dzieci pociągają kobiety – powiedziała. – Jednak dla mężczyzn kobieta z dwojgiem maluchów jest raczej ciężarem niż atutem. Miałam wrażenie, jakbym przebiła się przez kolejne drzwi tylko po to, by znaleźć się w tym samym pokoju.

—

Żyjemy w dziwnym okresie przejściowym. Kobiety uzyskały wystarczającą sprawczość, by pracować poza domem, ale wielu z nich wciąż brakuje równości w czterech ścianach. Mężczyźni mogliby skorzystać na nowym zestawie norm płciowych, jednak kultura amerykańska w znacznej mierze hołduje dawnym regułom. Ludzie mogą poradzić sobie w życiu bez miłości romantycznej, ale czym ją zastępują? Gdy antropolożka Dinah Hannaford zobaczyła kobiety całego świata na różne sposoby „wypisujące się" z małżeństwa, przepełnił ją niepokój, że amerykańskich singli zachęca się do poszukiwania sensu w sukcesach zawodowych, kulturze *wellness* i samorealizacji – celach indywidualnych, a nie grupowych. Jak odkryła Yifeng Wan, badaczka z Uniwersytetu w Wirginii, mniej więcej w ciągu ostatniej dekady poziom szczęścia dorosłych niepozostających w związkach małżeńskich – niezależnie od ich wykształcenia – gwałtownie spadł; znacznie bardziej niż w przypadku osób, które wzięły ślub. W tym sensie pozostawanie singlem staje się trudniejsze, nawet gdy nie wiąże się już z silną stygmatyzacją. Być może przyczyna leży w tym, że grupy wyznaniowe, organizacje obywatelskie i inne wspólnoty przestały odgrywać centralną rolę w życiu Amerykanów. Tego rodzaju sieci społeczne stanowiły bufor chroniący przed izolacją i zmianami ekonomicznymi – bolączkami współczesnego życia, które sprawiają, że choć związek jest dziś cenniejszy, to trudniej znaleźć miłość.

Jak powiedziała mi antropolożka Joanna Davidson, jedną z kwestii czyniących nas ludźmi jest nasza umiejętność wyobrażenia sobie alternatywnych wersji przyszłości. Jednak, by tego dokonać, musimy najpierw szczerze przyjrzeć się temu, co jest teraz. Kobiety, o których wraz z Hannaford pisały w *Opting Out*, nie planowały rewolucji przeciwko małżeństwu. Większość z nich wciąż ceniła sobie miłość romantyczną; jak pisały autorki książki, kobiety te nie postrzegały życia w pojedynkę jako „jednoznacznie wyzwalającego". Po prostu dokonywały wyborów w ramach zastanych ograniczeń. Tak w pewnym sensie brzmiało *credo* Allie Hoffman: „totalne oddanie się rzeczywistości". Jednak gdy wystarczająca liczba ludzi oddala się od tradycji – chociażby po to, by ruszyć naprzód ze swoim życiem – zaczynamy mieć do czynienia z ruchem społecznym.

Nie mam pewności, dokąd zaprowadzi nas ten konkretny ruch. Ale jestem pełna nadziei, gdy wracam myślami do mojego pierwszego wywiadu z Kris Swiatocho, duszpasterką singli. (Lubi przypominać członkom swojej kongregacji, że „Jezus był singlem"). Po dwudziestce, jak sama opowiada, zmieniała chłopaków jak rękawiczki; miała długi, piła i imprezowała, starając się wypełnić „studnię" wewnętrznej pustki. W Kościele, do którego przynależeli jej rodzice, nie było żadnych singli w jej wieku. To wtedy dowiedziała się o grupie pod nazwą *Singles Offering Life to Others*, czyli SOLO [Single Ofiarowujący Ludziom Obecność, a dosłownie „single ofiarowujący życie innym" – przyp. tłum.], i znalazła w niej poczucie sensu. Teraz jeździ po kraju i uczy duchownych, którzy w większości są mężami i ojcami, jak włączać w życie wspólnoty rosnącą liczbę singli, potrzebnych by zapełnić kościelne ławy. – Robię to – powiedziała – bo w każdym z tych miejsc widzę samą siebie.

Wydało mi się jednak intrygujące, że choć sama wiedzie tak bogate, pełne życie bez partnera, to jednak członkom swojej kongregacji zaleca, żeby nie poddawali się w kwestiach sercowych. Gdy zapytałam o tę rozbieżność, Swiatocho odrzekła, że wciąż wierzy w piękno związku, nie sądzi jednak, by miała je w najbliższym czasie odnaleźć, i jest zadowolona z tego, co ma przed sobą. Czasem fantazjują z przyjaciółmi singlami – półżartem, półserio – że kupią sobie po domku na kółkach, postawią je gdzieś i założą samowystarczalną wioskę emerytów. Co wieczór zbieraliby się wokół ogniska, gotowali kolację i rozmawiali o tym, jak minął im dzień. To zarazem hołd dla teraźniejszości i trening wyobraźni. Jak dla mnie ta wizja brzmi całkiem romantycznie.

Artykuł pierwotnie ukazał się we wrześniowym wydaniu magazynu „The Atlantic" pod tytułem *The Great Romance Slump* i został przetłumaczony za zgodą magazynu. © 2026 The Atlantic Monthly Group, Inc. Wszystkie prawa zastrzeżone, dystrybucja Tribune Content Agency.

Polska szkoła jest kobietą

tekst ALEKSANDRA KORCZAK

MÓWI SIĘ, ŻE SUKCES ma wielu ojców. Kryzys w oświacie, z którym się obecnie mierzymy – braki kadrowe, postępująca prywatyzacja edukacji, naprędce wprowadzane reformy – ma wiele córek. Wszystkie pracują przy tablicy.

Na co dzień jestem nauczycielką w CLV Publicznym Liceum Ogólnokształcącym imienia Bohaterek Powstania Warszawskiego, jednak edukacją zajmuję się też w różnych kontekstach pozaszkolnych: publikuję, wykładam i prowadzę warsztaty, tworzę treści edukacyjne (takie jak scenariusze lekcji czy karty pracy). Staram się, by działania te miały komponent prorównościowy, włączający, nierzadko po prostu – feministyczny. Bez tej perspektywy nie napisałabym ani mojej książki *Bezradne i romantyczne. Bohaterki lektur dla szkoły podstawowej*, ani niniejszego tekstu. Także i on ma ukazywać rzeczywistość szkolną jako uwikłaną w kwestie płci społeczno-kulturowej, jako wyzwanie feministyczne. Co tu dużo mówić – właśnie feminatyw w nazwie szkoły przykuł moją uwagę, gdy przeglądałam oferty w Mazowieckim Banku Ofert Pracy dla Nauczycieli.

Stosowanie żeńskich nazw rodzajowych to może i powierzchowny, lecz znaczący akt identyfikacji światopoglądowej, która uwrażliwia na dobór form rodzajowych w cudzych wypowiedziach. Gdy słyszę, jak koleżanka z pokoju nauczycielskiego mówi o sobie samej „nauczyciel", nigdy nie wiem – to kwestia przyzwyczajenia, coś zupełnie przezroczystego, bezwiedne osłuchanie z męską formą odbieraną jako generyczną? Czy jednak jeśli zapytam, zagadnę, koleżanka przyzna wprost, że woli tę formę, bo „«nauczycielka» brzmi mniej poważnie"? A przecież gdybym nagle zastosowała w odniesieniu do niej lub do siebie męskie zaimki, wzbudziłoby to wielkie zdziwienie. Podobnie jak konsekwentne używanie wybranego przez nią rodzaju gramatycznego w całym zdaniu – bo skoro „jako «nauczyciel»", to logiczne byłoby dokończenie „jestem «przyzwyczajony»..." i tak dalej. To nie tylko kwestia rozmów prywatnych – również oficjalna dokumentacja nie ułatwia dążenia do symetrii płciowej w szkolnym środowisku językowym. Gdy uzupełniam regulaminy, rubryki i ankiety, natykam się wyłącznie na formy męskie: „nauczyciel", „wychowawca", „dydaktyk", „pedagog", „dyrektor", „pracownik".

Tymczasem według danych Ministerstwa Edukacji Narodowej aż 84 procent osób pracujących w polskiej oświacie stanowią kobiety. To liczba uśredniona, ale można ją uszczegółowić, przyglądając się kolejnym etapom nauczania: w przedszkolach mamy ponad 98 procent kobiet, w szkołach podstawowych 83–86 procent, w ponadpodstawowych, w zależności od ich typu i profilu, 59–72 procent. Na uczelniach wyższych – to już dane Ośrodka Przetwarzania Informacji – Państwowego Instytutu Badawczego (raport *Kobiety w nauce*) – kobiety stanowią 48–49 procent kadry, wśród osób z tytułem profesorskim ich odsetek spada do 30 procent. Liczby są nieubłagane: im starsza młodzież, tym większy udział mężczyzn w procesach dydaktycznych i pedagogicznych.

rysunki GOSIA KULIK

ALEKSANDRA KORCZAK, nauczycielka języka polskiego, etyki i filozofii wyróżniona w Konkursie Nauczyciela Roku, nominowana do nagrody Ireny Sendlerowej „Za naprawianie świata". Członkini Pracowni Badań Literatury dla Dzieci i Młodzieży na Uniwersytecie Warszawskim. Autorka książki *Bezradne i romantyczne. Bohaterki lektur dla szkoły podstawowej* (2025).

Wprost proporcjonalnie wzrastają prestiż wykonywanej pracy i wynagrodzenie za nią. W naszej postfeudalnej kulturze, w obliczu nędzy i głodu, przez setki lat dzieci były po prostu zbędnymi gębami do wykarmienia, ewentualnie tanią siłą roboczą. Dlatego dzisiaj zajmowanie się najmłodszymi w sposób podmiotowy, wychowywanie z nastawieniem na ich potrzeby i relacje, cierpliwe objaśnianie im świata – przez mało kogo jest postrzegane jako zajęcie ambitne, wyzwanie zawodowe, wielka odpowiedzialność, praca na rzecz społeczeństwa i przyszłości.

Nauczycielek najmłodszych dzieci, czyli wychowawczyń w przedszkolach, niektórzy nawet nie nazywają nauczycielkami, tylko protekcjonalnie „ciociami", „przedszkolankami" lub „opiekunkami", mimo że one także muszą mieć wyższe studia kierunkowe i przygotowanie pedagogiczne oraz realizować podstawy programowe. Można zaryzykować nawet stwierdzenie, że biorąc pod uwagę ilość wiedzy potrzebnej do należytego realizowania obowiązków, są one obarczone ponadprzeciętną koniecznością nieustannego dokształcania się. Muszą bacznie obserwować dzieci pod kątem gotowości szkolnej, mieć elementarną wiedzę na temat psychologii rozwojowej i ewentualnych dysfunkcji czy zaburzeń. Mają niebagatelny wpływ na przyszłe zdrowie psychiczne podopiecznych, ich potencjał uczenia się i umiejętności społeczne. Nie wygląda jednak na to, by system cenił odpowiednio wysoko nauczycielki przedszkolne. W przedszkolach pensum (minimalna liczba godzin lekcyjnych, które trzeba zrealizować w ciągu tygodnia) jest najwyższe i wynosi 22–25 „godzin tablicowych" (w szkole podstawowej i średniej to 18 lekcji tygodniowo). Nauczycielki w przedszkolach mimo dłuższego czasu pracy mają tę samą podstawę wynagrodzenia, co osoby zatrudnione w szkołach, a jednak zarabiają… mniej, bo otrzymują znacząco niższe dodatki do pensji. Jak to możliwe?

Otóż wysokość dodatku motywacyjnego (do rozdysponowania przez dyrekcję) czy funkcyjnego (na przykład za wychowawstwo) i innych świadczeń socjalnych ustala gmina lub powiat. Duże miasta mogą przyznać wyższe świadczenia dodatkowe, biedniejsze gminy – oczywiście niższe. Dokładne kwoty różnią się w zależności od organu prowadzącego (w miastach są odmienne nawet dla poszczególnych dzielnic), a rozbieżności bywają niebagatelne. W wielkomiejskim liceum dodatek motywacyjny czy świadczenie socjalne może wynieść ponad 1000 złotych, ale w małej miejscowości kwoty te okazują się niekiedy dwucyfrowe. Ponieważ przedszkola i podstawówki podlegają gminom, a szkoły ponadpodstawowe powiatom lub miastom na prawach powiatu, krajowe dysproporcje w zarobkach wypadają na niekorzyść tych najbardziej sfeminizowanych etapów nauczania.

Co więcej, w przedszkolach czy klasach 1–3, a zatem właśnie tam, gdzie istnieje nadreprezentacja żeńskiego personelu, nie ma możliwości brania nadgodzin. W kształceniu zintegrowanym nie pojawia się konieczność zastępowania nieobecnych nauczycieli konkretnych przedmiotów, podczas gdy w klasach 4–8 czy w szkołach ponadpodstawowych takie zastępstwa są potrzebne nieustannie, w sezonie chorobowym właściwie codziennie. Przedmiotowcy mogą też pracować w kilku szkołach, nauczycielki klas 1–3 są przywiązane do jednego oddziału wychowawczo-dydaktycznego. Idźmy dalej: w starszych klasach szkoły podstawowej, gdzie nadal jest o wiele więcej nauczycielek niż nauczycieli, korzyści płynące z nadgodzin za zastępstwa równoważą się z niepłatnym czasem… wycieczek szkolnych, na które dużo się jeździ w klasach 4–8, a za które osoby sprawujące opiekę nie otrzymują dodatkowej zapłaty. Z kolei w liceach, technikach i szkołach branżowych, gdzie udział mężczyzn w gronie pedagogicznym rośnie, wyjazdów szkolnych jest o wiele mniej. Częściowo w związku ze wzrostem odpowiedzialności prawnej za młodzież, ale głównie z powodu większego przywiązania do konieczności realizowania programu i powtórek przed maturą. Łatwiej za to o zastępstwa czy dodatkowe godziny z puli przeznaczonej na przedmioty egzaminacyjne, co pozwala podnieść wysokość pensji o kilkaset złotych.

W technikach i szkołach branżowych, gdzie mężczyzn wśród nauczycieli jest procentowo najwięcej, realne zarobki bywają najwyższe w całym szkolnictwie! Powodem tego są dodatki przyznawane za trudne warunki pracy (gdy w grę wchodzi obsługa maszyn, laboratoriów i innych specjalistycznych klasopracowni, organ prowadzący przyznaje dodatkowo od 10 procent do nawet 40 procent stawki zasadniczej za prowadzenie zajęć lekcyjnych), a także konieczność przyciągnięcia z rynku prywatnego wysokiej klasy specjalistów, na przykład programistów czy inżynierów, co zmusza dyrektorów i samorządy do oferowania maksymalnych stawek dodatków motywacyjnych.

Rzecz jasna najwyższe wynagrodzenia otrzymują nauczyciele i nauczycielki akademiccy, których zatrudnia się nie na podstawie Karty Nauczyciela (regulującej mechanizmy zatrudniania i warunki pracy w przedszkolach i szkołach), tylko na podstawie Prawa o szkolnictwie wyższym. Nadal nie są to świadczenia tak wysokie jak w sektorach budżetowych zdominowanych przez mężczyzn (chociażby Komenda Główna Policji podaje, że odsetek kobiet sięga 20–22 procent wśród kadry mundurowej, a ta zarabia od 5700 zł netto w górę, nie licząc dodatków; po ich uwzględnieniu to już nawet więcej, niż dostaje adiunkt na uczelni), wciąż jednak są znacząco wyższe niż wynagrodzenie przeciętnej nauczycielki. Bo podstawa naszego wynagrodzenia bez dodatków wynosi jedynie 4000, 4100 albo 4700 złotych netto – odpowiednio do stopnia awansu zawodowego. Każdy, kto

ma choćby podstawowe rozeznanie w charakterze wynagrodzeń nauczycielskich, orientuje się, że na wszystkich etapach nauczania płaca zależy od stopnia awansu. Specyfika systemu awansów nauczycielskich powoduje wtórne rozwarstwienie płacowe na niekorzyść kobiet, do awansowania na kolejny z trzech stopni nie wystarczą bowiem sukcesy wychowawcze czy dydaktyczne – premiowane jest coś zupełnie innego. O konsekwencjach konstrukcji drabiny zawodowej w oświacie opowiem na własnym przykładzie.

Piszę te słowa, będąc nadal nauczycielką mianowaną – to drugi z trzech dostępnych stopni awansu w szkole. Przygodę z nauczaniem zaczęłam już niemal 12 lat temu i poświęciłam jej – bez pobierania wynagrodzeń za nadgodziny – ogrom czasu i energii. Wychowałam finalistów i finalistki olimpiad, wybitne klasy maturalne (średni wynik z rozszerzonej matury z języka polskiego to 90 procent, a na poziomie podstawowym ponad 80 procent), zorganizowałam kilkadziesiąt wyjść i wycieczek, reżyserowałam spektakle, inicjowałam wieczorki filmowe, dodatkowe spotkania przygotowujące do egzaminów zewnętrznych, otrzymałam liczne nagrody edukacyjne, uzyskałam certyfikat egzaminatorki maturalnej, ba! – zdążyłam obronić rozprawę doktorską, prowadzić zajęcia na Uniwersytecie Warszawskim i zdobyć tytuł naukowy. Wygłaszałam wykłady, tworzyłam materiały edukacyjne, scenariusze lekcji, organizowałam warsztaty dla innych nauczycielek. Mimo to podstawa mojego wynagrodzenia jest nadal tylko o 100 złotych wyższa niż osoby, która dopiero zaczyna pracę w szkole. Dlaczego?

Między innymi dlatego, że przez pewien czas byłam w ciąży i na urlopie macierzyńskim. Na wolnym rynku liczą się kompetencje i osiągnięcia osoby ubiegającej się o dane stanowisko, ale w oświacie trzeba odstukać swoje na liczniku lat przepracowanych nieprzerwanie w szkole. Każdy urlop dłuższy niż 30 dni – z wyjątkiem urlopu wypoczynkowego – przesuwa perspektywę awansu w czasie, czyli wydłuża staż pracy o czas nieobecności, również z powodu ciążowego L4, urlopu macierzyńskiego czy rodzicielskiego. Niczego nie zmienia fakt, że niektóre nauczycielki decydujące się na powiększenie rodziny, mimo relatywnie krótszego czasu aktywnej pracy przy tablicy, zdążyły udokumentować w teczce zawodowej więcej osiągnięć niż niektórzy ich bezdzietni koledzy czy koleżanki. A to i tak postęp w stosunku do przepisów sprzed sierpnia 2022 roku, zgodnie z którymi każda przerwa w pracy dłuższa niż rok całkowicie unieważniała wcześniej przepracowany okres. Trzeba było staż do awansu zaczynać od nowa! Nawet jeśli podczas tej przerwy nauczycielka prowadziłaby zajęcia dydaktyczne na uczelni, współtworzyła podstawy programowe, pisała podręczniki. Po każdej przerwie, również po urlopie rodzicielskim, trzeba było resetować licznik. Wskutek tego mam w pokoju nauczycielskim starsze od siebie koleżanki, niezwykle doświadczone pedagożki, które nadal są nauczycielkami mianowanymi, bo zostawały mamami, czasem więcej niż jednego malucha.

Bywa więc, że nauczycielki odkładają decyzję o ciąży, bo chcą najpierw awansować na kolejny stopień i zabezpieczyć się ekonomicznie. Jednak nie tylko dlatego zwlekają. Specyfika pracy w szkole – chroniczny stres, ponadprzeciętnie wysokie ryzyko zachorowania na covid czy grypę, konieczność dyżurowania na korytarzach, gdzie dzieci biegają i grają w piłkę – oczywiście nie sprzyja chodzeniu do pracy, gdy się jest w ciąży. Z drugiej strony organizacja roku szkolnego nie dopuszcza nagłych zwolnień, takich jak ciążowe L4. Łaskawy los zechciał, że moja macierzyńska przerwa od pracy nie wypadła w środku roku szkolnego, a po niej wracam do szkoły równo 1 września. Nie wszystkie moje koleżanki miały tyle logistycznego szczęścia, musiały się więc mierzyć z niemałym wyzwaniem: jak powiedzieć o tym, że w środku roku szkolnego będzie trzeba przerwać pracę. Nauczycielka, która zachodzi w ciążę, szczególnie jeśli ma wychowawstwo albo naucza przedmiotów egzaminacyjnych, musi się przygotować na niezadowolenie dyrekcji, rozżalenie rodziców, pretensje młodzieży czy smutek i zaniepokojenie młodszych dzieci. Jeśli jest emocjonalnie zaangażowana w swoją pracę, to naraża się także na wyrzuty sumienia i poczucie winy. Są szkoły, w których lekcje danego przedmiotu nie odbywają się całymi miesiącami, bo placówka nie jest w stanie znaleźć nikogo gotowego do wzięcia z marszu, w trakcie trwającego roku szkolnego, kilku klas, w których trzeba przejąć nauczanie.

Braki kadrowe w polskim szkolnictwie szacuje się na około 20 tysięcy stanowisk, a 60 tysięcy nauczających to osoby w wieku emerytalnym, które mogą w każdej chwili odejść.

Tymczasem w tej chwili – piszę te słowa w drugiej połowie wakacji, tuż przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego – braki kadrowe w polskim szkolnictwie szacuje się na około 20 tysięcy stanowisk, a 60 tysięcy nauczających to osoby w wieku emerytalnym, które mogą w każdej chwili odejść. Większość tych, którzy są zatrudnieni, ma już przydzielone stałe nadgodziny. Ze względu na braki kadrowe w ostatnich latach normą stała się praca na półtora etatu, niełatwo więc rozdzielić między siebie *ad hoc* przydział godzinowy nagle nieobecnej koleżanki, ułożyć nowy plan lekcji (niektórzy z nas pracują w więcej niż jednej szkole). Niepokoje są największe, gdy chodzi o przedmiot wskazywany przez Centralną Komisję Egzaminacyjną jako obowiązkowy (matematyka, język polski, język obcy) albo tak zwany przedmiot kierunkowy dla profilu, czyli na przykład fizyka w klasie matematyczno-fizycznej. Tutaj już można mówić o wielkim stresie dla nauczycielki, która „opuszcza" podopiecznych, by zająć się własnym zdrowiem i dobrostanem w ciąży.

Co ciekawe, to jedna z przyczyn sprawiających, że dawniej postrzegano nauczycielstwo jako zajęcie

nieodpowiednie dla kobiet. Widok ciążowego brzucha miał jakoby dekoncentrować i demoralizować młodzież, dlatego w regulaminach placówek zaznaczano, że nie zatrudnia się mężatek. Na nauczycielskich grupkach i fanpejdżach do tej pory można znaleźć memy przywołujące tak zwaną śląską ustawę celibatową, zgodnie z którą „Stosunek służbowy tymczasowych i stałych nauczycielek szkół powszechnych rozwiązuje się z mocy samego prawa, z końcem tego miesiąca, w którym nauczycielka zawarła związek małżeński". Mowa o drugiej połowie XIX i początkach XX wieku, czyli o czasach, gdy kadry pedagogiczne stanowili w przeważającej mierze mężczyźni, a jednocześnie... pracę tę poważano znacznie bardziej i odpowiednio lepiej ją wynagradzano.

Im bardziej umasowiona była oświata, im więcej w niej nauczycielek, tym niższe stawały się wynagrodzenia. Zbadano już i opisano zależność historyczną, zgodnie z którą feminizacja profesji idzie w parze ze spadkiem płac oraz prestiżu (tak zwane zjawisko różowych kołnierzyków). Analogicznie, choć odwrotnie, było choćby z programowaniem. Dopóki zajmowały się nim panie sekretarki, była to praca niskopłatna, wraz z maskulinizacją profesji postępowało zwiększanie wynagrodzeń w tym sektorze zatrudnień (pisze o tym choćby Karolina Wasielewska w książce *Cyfrodziewczyny. Pionierki polskiej informatyki*).

—

ZBYT NISKIE PŁACE dla danej grupy zawodowej w stosunku do niemałych oczekiwań wobec niej to typowy powód protestów. Strajki szkolne nie są jednak zwyczajnymi protestami, bo nam, pracownicom oświaty, niezwykle trudno upominać się o swoje. Zgodnie z patriarchalnymi stereotypami „wymagający" mogą być mężczyźni, kobiety są co najwyżej „roszczeniowe". Protestujących nauczycielek nigdy nikt nie potraktował tak poważnie jak agitujących o swoje górników czy rolników. Wręcz przeciwnie, masowo nas ośmieszano, a potem, jeszcze przez wiele lat po strajku, obwiniano za braki edukacyjne całego pokolenia. Do dzisiaj pamiętam, jak trudnym doświadczeniem z czasu strajku było dla mnie czytanie zalewającego sieć hejtu wymierzonego w nauczycieli i nauczycielki. Pamiętam też słowa ówczesnego ministra edukacji i nauki Przemysława Czarnka, że dostosowania wymagań egzaminacyjnych podczas matur w 2020 roku to zarówno efekt wymuszającego naukę zdalną lockdownu, jak i protestów belferskich sprzed roku, wskutek których – według ministra – uczniowie i uczennice zostali trwale „poszkodowani". Zarzut tym bardziej chybiony, że ostatni wielki strajk nauczycielski, czyli ten z 2019 roku, odbywał się w kwietniu, gdy i tak liczne godziny lekcyjne przepadały ze względu na planowe ferie wielkanocne, a w większości placówek także i za sprawą egzaminów końcowych: klas ósmych i ostatnich roczników gimnazjów. Realnie przez strajk „przepadło" tylko kilka, najwyżej kilkanaście dni opieki i lekcji (w zależności od typu placówki). Mimo że my, kobiety, stanowimy przeważającą większość w polskiej oświacie, podczas strajku w naszym imieniu przemawiali mężczyźni, przewodniczący nauczycielskich związków zawodowych. Dlaczego? Bo mężczyzn w oświacie jest mniej, ale jeśli już są, to docenia się ich stanowiskami kierowniczymi i dyrektorskimi – a oni chętnie po nie sięgają.

Chcę, byśmy się zgadzali, że empatyczna postawa i praca z emocjami są społecznie ważne i jako takie muszą być należycie wynagradzane.

Jak już wspominałam, w środowisku edukacyjnym wciąż dobrze się mają rozmaite stereotypy i wzorce płciowe, dawno opisane w dyskursie feministycznym; częstsze wiązanie ról przywódczych z męskością to tylko jeden z przykładów. Dziewczęta i młode kobiety wskutek odmiennej ścieżki socjalizacji płciowej stosunkowo częściej bywają dotknięte „syndromem oszustki" (ang. *impostor syndrome*), czyli chronicznym przekonaniem o własnej niepełnowartościowości, braku kompetencji, podrzędności wobec współpracowników czy współbadaczy. To my częściej borykamy się z wieczną niepewnością co do własnych osiągnięć: czy są zasłużone? Czy rzeczywiście dobrze wykonuję moją pracę? Czy tylko udaję – przed sobą oraz innymi – kompetentną? (Stąd „oszustka" w nazwie tego zaburzenia poznawczego).

Częstość występowania syndromu oszustki u kobiet może stanowić odpowiedź na pytanie, czemu tysiące zbyt nisko opłacanych pracownic pozostają w szkole: obawiają się, że gdzie indziej sobie nie poradzą, nie wierzą w siebie ani we własną niezależność zawodową, ale też uzależniają się od pozytywnych wzmocnień dających chwilowe poczucie dumy i sprawczości. Kto obserwuje odmienne modele wychowawcze dla chłopców i dziewcząt, ten musi dopuścić możliwość, że to my, kobiety, jesteśmy bardziej narażone na pracę dla emocjonalnych potwierdzeń: tak, poświęcam się, bo jestem potrzebna. Tak, to, co robię, jest ważne. Takim potwierdzeniem mogą być wyniki egzaminów końcowych i konkursów, wdzięczność dzieci i rodziców, naręcza kwiatów i podziękowania na koniec roku szkolnego. Nieprzypadkowo Żeromski bohaterką swojego słynnego opowiadania *Siłaczka* uczynił kobietę. To my, Stasie Bozowskie polskiej szkoły, *potrzebujemy czuć się potrzebnymi*, a szkoła nasz głód karmi. Również i ja padłam ofiarą tej potrzeby, co doprowadziło mnie na skraj wypalenia zawodowego i zmusiło do wzięcia całorocznego urlopu dla poratowania zdrowia.

Jednocześnie, jeśli spojrzeć na to z boku, nasza satysfakcja z pracy słusznie przecież karmi ducha. Nie bez przyczyny nadal pracuję w szkole. Praca z dorastającymi ludźmi to w sensie etycznym wielki przywilej i chluba. Lubię myśleć o niej w kontekście etyki troski opisanej przez Carol Gilligan (*Innym głosem. Teoria*

psychologiczna a rozwój kobiet). Ta psycholożka i filozofka pisze, że, owszem, chłopców i dziewczęta wychowuje się inaczej, chłopców dowartościowując i wzmacniając ich pewność siebie oraz zachowania ofensywne, karząc za łzy i „nadmiarową" empatię, a dziewczęta kierując w stronę emocjonalności i zajmowania się cudzymi potrzebami przy jednoczesnym lekceważeniu własnych. Czy to utrwala nierówności społeczne w kolejnych pokoleniach? Tak. Ale czy wobec tego dziewczynki należy wychowywać tak samo jak chłopców? Gilligan twierdzi, że nie. A ja się z nią zgadzam.

Nie chcę, by praktykę nauczycielską postrzegano jako pracę urzędniczą, by powtarzano, że „szkoła nie jest od wychowywania", by szydzono z polskich siłaczek troszczących się o szczęście niedorosłych ludzi, z którymi pracują. Chcę, byśmy się zgadzali, że empatyczna postawa i praca z emocjami są społecznie ważne i jako takie muszą być należycie wynagradzane. To zresztą kolejny feministyczny postulat sformułowany przez Rose Hackman, która opisała psychospołeczny fenomen nieodpłatnej pracy emocjonalnej kobiet w książce *Praca emocjonalna. Jak niewidzialna praca kształtuje nasze życie i jak poznać się na własnej sile* [rozmawiała z nią Katarzyna Kazimierowska, „Pismo" nr 12/2025 – przyp. red.]. Według Hackman dobrobyt ludzkości zbudowany jest na normalizacji darmowego obciążenia kobiet staraniami o dobre samopoczucie innych: dzieci, ojców, mężów, przełożonych. W tym ujęciu pracą emocjonalną jest krzątanina wokół domowników, ustępowanie innym, uśmiechanie się, pocieszanie, chwalenie, przebaczanie, wysłuchiwanie, zapominanie o sobie samej. Tak, środowisko szkolne to mikrospołeczność, w której tworzą się więzi, pracuje się na relacjach, liczą się umiejętności komunikacyjne, myślenie i dbanie o innych, cierpliwość, empatia. A ja chciałabym, by te wszystkie cechy wraz z zadaniami, które w patriarchacie scedowano na kobiety, nareszcie dowartościowano i doceniono. I by zaczęto ich wymagać również od mężczyzn.

—

TYMCZASEM MOJE OBSERWACJE pokazują, że nauczycielki padają ofiarą podwójnych standardów. Surowy i wymagający nauczyciel będzie postrzegany jako „rzeczowy" i „konkretny", będą o nim mówić, że „może i nie ma podejścia do dzieci, ale ma wiedzę", tymczasem o surowej i wymagającej nauczycielce powiedzą „oschła", „kosa", „baba". Jej strategia dydaktyczna roztrzaskuje się o kobiece klisze charakterologiczne; przecież nauczycielka ma być, jak to kobieta, łagodna, wyrozumiała, cierpliwa, troskliwa, uśmiechnięta, zadbana… A najlepiej, żeby też była matką. W *Kłamczusze* Małgorzaty Musierowicz, nieobowiązkowej lekturze szkolnej, Tosia, młoda mama, gdy przychodzi na rozpoczęcie roku klas pierwszych, wyraża w myślach nadzieję, że przyszła wychowawczyni Romci i Tomcia ma własne dzieci. Doświadczenie macierzyństwa miałoby dowodzić, że okaże się ona dobrą, czułą pedagożką.

Jednocześnie jednak, jeśli uczniowie i uczennice przysparzają wyzwań wychowawczych, co oczywiście jest całkowitą normą w pracy z dziećmi i młodzieżą, nauczycielki uchodzące za bardziej empatyczne słyszą, że „pozwoliły sobie wejść na głowę" i że dana klasa potrzebuje „męskiej dyscypliny" czy też „mężczyzny wychowawcy". Przykrym faktem jest, że w patriarchalnej rzeczywistości mężczyznom łatwiej o autorytet i posłuch. Jak to sformułowała komentatorka na facebookowym fanpejdżu „Pokój nauczycielski": „Z panem nauczycielem nasi uczniowie bardziej się liczą". Inne pedagożki piszą: „Mężczyznom nauczycielom bardzo pobłażają kobiety-dyrektorki" albo „Z mojego doświadczenia wynika, że tym kilku mężczyznom w pokoju nauczycielskim więcej się odpuszcza, więcej im uchodzi na sucho (chodzi o zadania typu sprawozdanie, wnioski, inne zadania poza samym uczeniem). Często nie muszą, bo my, koleżanki, zrobimy coś za nich". Mnie również zdarzało

się, szczególnie gdy byłam młodsza, potwierdzać swoją wartość poprzez branie na siebie dodatkowych obowiązków, wiele z nich opisałam już powyżej. Nie byłam zresztą w tych działaniach odosobniona; postać początkującej nauczycielki, ambitnej i zaangażowanej, która chce się wykazać, by dostać wyższy dodatek motywacyjny czy po prostu zapracować na dobrą opinię, to jedna z powszechnie znanych figur w życiu szkolnym, niczym określony typ roli w komedii dell'arte. Nie przypominam sobie jednak ani jednego kolegi nauczyciela, który w podobny sposób dążyłby do potwierdzenia swojej wartości w oczach innych albo któremu zarzucano by bierność i niedostateczne zaangażowanie w życie szkoły. Z moich osobistych obserwacji wyłania się obraz szkoły jako instytucji, w której kobieta musi zasłużyć na autorytet. Mężczyznom nauczycielom więcej się wybacza, nie powierza się im dodatkowych zadań – ewaluacji, organizacji wycieczek, konkursów – podczas gdy kobiety nauczycielki wykonują dziesiątki dodatkowych, mrówczych prac. Internetowe komentarze odsłaniają ponadto obraz nierówności w zakresie wykonywania pracy psychoemocjonalnej: od nauczających mężczyzn nie oczekuje się indywidualnych rozmów po lekcjach, niekończącej się wymiany maili z rodzicami albo poświęcania niepłatnych nadgodzin na towarzyszenie podopiecznym podczas spotkań ze szkolną pedagożką czy psycholożką (na przykład gdy uczeń czy uczennica mierzy się z depresją, zagrożeniem, niedostosowaniem społecznym, problemami w domu). W końcu „chłop to chłop, a wy, kobiety, lepiej się sprawdzicie w rozmowach z uczniami" – jak powiedziano w pracy jednej z komentujących nauczycielek. Szkoła okazuje się kolejną różową strefą gospodarki – obszarem, za który odpowiedzialność nadal zwyczajowo spoczywa na barkach kobiet, tak jak w rodzicielstwie czy w prowadzeniu domu.

W majowym wydaniu „Pisma" psycholożka Joanna Flis opowiadała o pułapce psychoterapeutycznej, w którą wpadło całe pokolenie młodych ludzi wybierających unikowe strategie radzenia sobie z wyzwaniami. Konsekwencje takiego wycofania to przedłużające się pozostawanie w strefie komfortu, zaniżanie oczekiwań wobec siebie, przedwczesne poddawanie się i wykorzystywanie diagnoz terapeutycznych jako pretekstu do całkowitego odpuszczenia pracy nad sobą. Okres popularyzacji wiedzy o depresji i neuroróżnorodności przypadł na lata mojej pracy w szkole. Zawsze mi zależało na kreowaniu przyjaznej, inkluzywnej, akceptującej i bezpiecznej atmosfery pracy. Mimo to nie raz i nie dwa zdarzało mi się odczuć, że oczekiwania rodziców i młodzieży co do współpracy z nami, pracownicami szkoły, niekiedy dziwnie przypominają dyscyplinowanie i próbę narzucania nam archaicznych, tradycyjnych norm płciowych. Idealna nauczycielka, jako kobieta, ma być nieskończenie wyrozumiała, zawsze ciepła, zawsze czule słuchająca, ma ustępować, wręcz rezygnować z wyznaczania granic. W takim układzie niska ocena przestaje być informacją zwrotną pomocną w procesie przyswajania wiedzy, staje się dowodem braku serca. Zaciera się granica pomiędzy słusznym oczekiwaniem, by w szkołach było więcej empatii, wyrozumiałości i przyjaznej komunikacji (sama apeluję o to w swoich publikacjach), a postulatami całkowitego odpuszczania. Tytuł wspomnianego wywiadu z Joanną Flis brzmi *Przestraszone dzieci przestraszonych rodziców*. Z perspektywy czasu jestem przekonana, że wielu rodziców niepotrzebnie zarażało dzieci lękiem przed szkołą wywiedzionym z własnych młodzieńczych traum. W placówkach, w których pracowałam, zdarzało się, że rozczarowanie niewystarczająco „czułą" szkołą – czasem uzasadnione, czasem nie – skutkowało zabraniem dziecka z placówki i rozpoczęciem edukacji domowej. Niekiedy z dobrym skutkiem, niekiedy – z opłakanym.

Likwidacja gimnazjów pogłębia nierówności między dziećmi z miast a tymi ze środowisk wiejskich, szczególnie w zakresie zdolności matematycznych.

—

WEDŁUG MIĘDZYNARODOWYCH badań TALIS tylko dziesięć procent polskich nauczycielek i nauczycieli czuje, że społeczeństwo ich docenia, a według raportu *Młodzi nauczyciele odchodzą ze szkoły* autorstwa zespołu profesorek Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Warszawskiego jedna z głównych motywacji porzucania pracy nauczycielskiej to kryzys relacji z rodzicami, poczucie braku szacunku z ich strony. Jeśli założyć, że brak zaufania do nauczycielek wynika choć w części ze stereotypów płciowych, to widać w nim skutek dwóch

przeciwstawnych, lecz nieznoszących się patriarchalnych uprzedzeń. Po pierwsze: że kobieta zawsze jawi się jako mniej profesjonalna, mniej kompetentna, mniej racjonalna i dysponująca mniejszą wiedzą niż mężczyzna oraz po drugie: że nauczycielki jako osoby egzekwujące wyniki, stawiające wymagania i granice nie są – w belferskiej roli nie mogą być – wystarczająco kobiece, miłe i ugodowe. Co więcej, jest to brak zaufania oddolny i odgórny zarazem. Nieufni bywają bowiem zarówno rodzice ze swoimi dziećmi, jak i systemowi decydenci zarządzający polską oświatą. Mało kto wie, że (ostatecznie odrzucona) ustawa o utworzeniu stanowiska Rzecznika Praw Uczniowskich przewidywała między innymi narzucenie szkołom katalogu dozwolonych kar, tak jakby incydenty wychowawcze i nieporozumienia w placówkach edukacyjnych wynikały wyłącznie ze złej woli lub z braku kompetencji osób tam pracujących, a nigdy z powodu przeludnienia szkół i oddziałów, przepracowania nauczycielek łatających zastępstwa i niemających czasu na prawdziwe i pełne oddziaływanie pedagogiczne czy z braku dostępności zaplecza psychologiczno-pedagogicznego w szkołach. W kontekście reform – czy też, jak mówią dzisiaj nauczyciele i nauczycielki, deform – polskiego systemu edukacji można mówić o syndromie Kasandry opisanym przez Rebeccę Solnit w książce *Mężczyźni objaśniają mi świat*.

Z syndromem Kasandry mamy do czynienia wtedy, gdy ktoś mało poważany, jakaś mniejszościowa (w znaczeniu: o relatywnie niewielkim wpływie opiniotwórczym) grupa podnosi larum, ostrzega, ale jest ignorowana. Nauczycielki praktyczki w Polsce co kilka lat zgodnym chórem protestują przeciwko pochopnym zmianom systemowym, które przekładają się na wieloletnią dezorganizację naszej pracy, marnowanie zasobów ludzkich i publicznych pieniędzy. Jako przykład posłużyć może zarówno utworzenie, jak i likwidacja gimnazjów. W obu przypadkach mowa o działaniu pochopnym i chaotycznym, oprotestowanym przez rzesze zwykłych, szarych nauczycielek. Wielu dzisiejszych dorosłych z własnego okresu dorastania fatalnie zapamiętało świeżo utworzone gimnazja – i nic dziwnego, bo reforma stojąca za ich tworzeniem była procedowana zdecydowanie zbyt szybko.

Sama chodziłam do gimnazjum, w którym z całą pewnością nauczyłam się mniej, niż bym mogła, i w którym doświadczałam problemów rówieśniczych. Jednak te same placówki, po latach wysiłków nauczycielek, poznawania potrzeb i możliwości podopiecznych, dopracowywania programów nauczania i metod pracy, stały za spektakularnymi sukcesami polskiej młodzieży w testach PISA (Program Międzynarodowej Oceny Umiejętności Uczniów). Ja sama, już jako dorosła, uczyłam w gimnazjum w ostatnich latach jego funkcjonowania,

mnwr.pl

31.07 – 30.12.2026

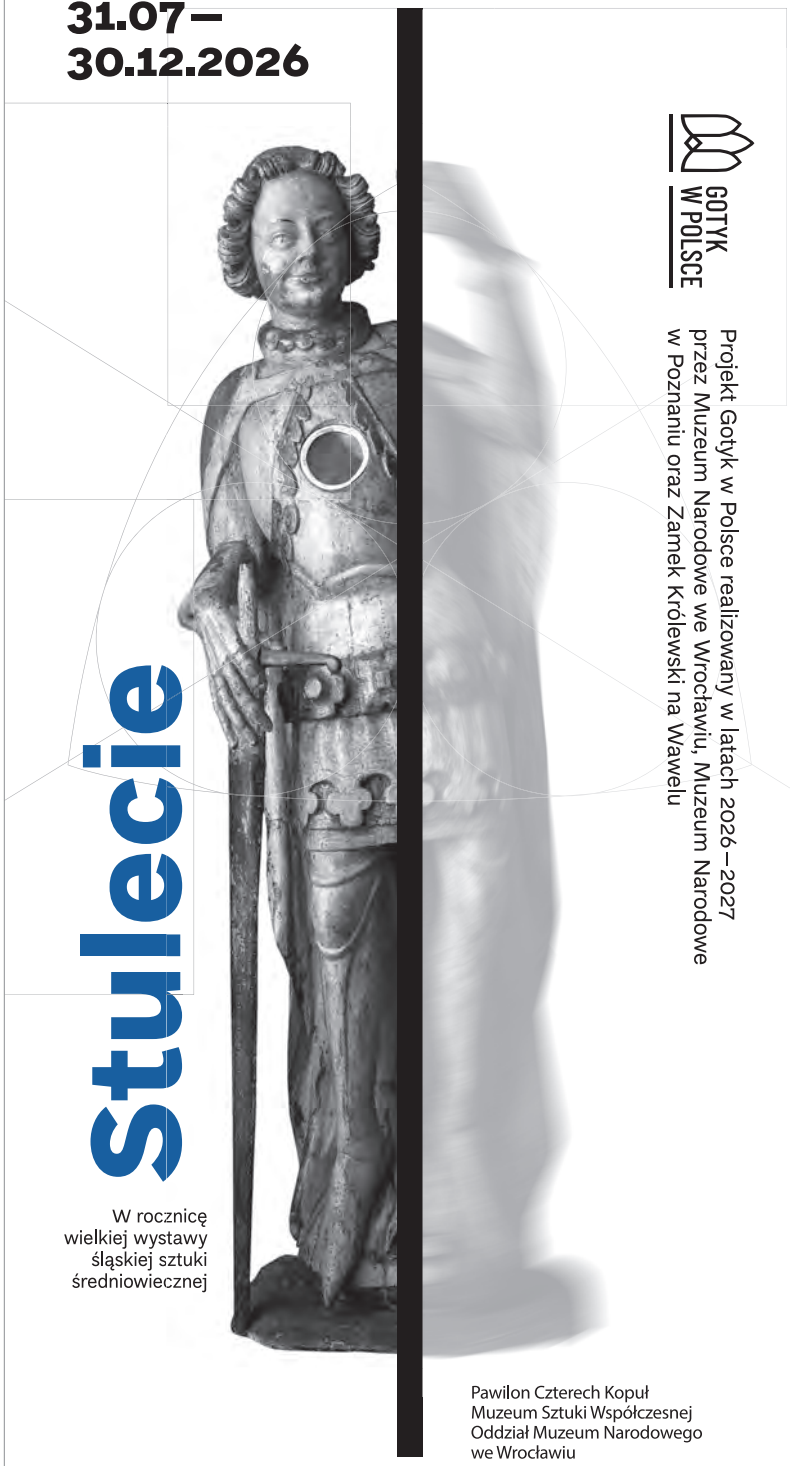

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Muzeum Narodowe we Wrocławiu jest instytucją kultury prowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Patronat honorowy

Marta Cienkowska
Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

w zwykłej, rejonowej placówce jakich wiele, i z tamtejszą młodzieżą pracowało mi się świetnie. Likwidacja gimnazjów – równie pośpieszna i chaotyczna jak reforma stojąca za ich utworzeniem – zaowocowała widowiskowym pogorszeniem wyników polskich dzieci zdających w rankingach PISA. Po spędzeniu kilku lat na nauce podporządkowanej naprędce wdrażanym nowym podstawom programowym poradzili sobie oni gorzej we wszystkich badanych obszarach (matematyka, czytanie i interpretacja tekstów, rozumowanie w naukach przyrodniczych). Inne badania dowiodły, że likwidacja gimnazjów pogłębia nierówności między polskimi dziećmi z miast a tymi ze środowisk wiejskich, szczególnie w zakresie zdolności matematycznych.

Do dziś pamiętam, jak pod koniec wakacji weszłam do szkolnej biblioteki i zobaczyłam stosy podręczników gimnazjalnych, ledwo rok wcześniej zakupionych z dotacji. Tak, tak, to był czas, gdy rodzice nie płacili za podręczniki, tylko dostawali je od szkoły. Były jeszcze względnie nowe. Pamiętam te tony makulatury przeznaczone do utylizacji. Pamiętam też, jak niedługo później przeglądałam nowy podręcznik do klasy 7. Zawierał w ogromnym stopniu te same informacje, tabele, czytanki. Były to po prostu materiały ścieśnione z trzech lat nauki w gimnazjum do dwóch w klasach 7–8, z uwzględnieniem reorganizacji listy lektur. Protestowałyśmy przeciwko tej reformie – i posługuję się tu formą niemęskoosobową, bo w moich wspomnieniach protestu (i w ogóle w ogromnej większości wspomnień nauczycielskich) widzę szkolne towarzyszki, widzę kobiety. Mężczyźni zawsze funkcjonowali gdzieś osobno, poza moim horyzontem codzienności, poza naszym pokojem nauczycielskim: dyrektorzy, wuefiści, katecheci. Protestowałyśmy przeciwko tej reformie, ale mężczyźni akademicy odpowiedzialni za jej kształt, a nigdy niepracujący w szkole – w przypadku języka polskiego profesorowie Andrzej Waśko i Dariusz Chemperek – zdecydowali za nas.

Tymczasem my nie mówiłyśmy o zmianach w programach nauczania. My wołałyśmy – i wołamy – o zmniejszenie liczby uczniów w klasach, o godne płace w oświacie. Bez tego szkolnictwo upadnie. Bez tego upada. Nauczycielski syndrom Kasandry, wieszczenie zguby polskiej oświaty, strajkowanie nie tylko przeciwko likwidacji gimnazjów, ale też w sprawie podwyżek, nasze wieszczby, które przez tak wielu były ośmieszane jako histeryzowanie, zaczynają się ziszczać. Postępuje prywatyzacja oświaty, coraz dotkliwiej odczuwa się brak chętnych do pracy w szkole. „Głos Nauczycielski", organ prasowy Związku Nauczycielstwa Polskiego, donosi, że nasz zawód z roku na rok spada coraz niżej w *Rankingu prestiżowych i społecznie poważanych zawodów* według SW Research. Jeśli już ktoś traktuje poważnie nauczycielskie głosy, to tylko męskie. Owszem, wśród najbardziej rozpoznawalnych postaci z naszego środowiska jest Aneta Korycińska (Baba od polskiego) i kilka innych doskonałych dydaktyczek. Jednak jeśli chodzi nie o edukowanie czy doskonalenie warsztatu metodycznego online, ale o opiniotwórcze wypowiedzi czy krytyczne komentarze dotyczące systemu edukacji, udostępnienia i zaproszenia do mediów – prym wiodą panowie. Niektórych z nich, na przykład Pawła Łęckiego czy Przemka Staronia, znam zresztą osobiście i cenię, warto jednak dodać, że Przemek, choć jest osobą szalenie inspirującą i oczytaną, nigdy nie pracował w zwykłej, systemowej szkole, o którą się go w wywiadach pyta. Czemu to nie dziwi?

Mam w repertuarze pewien komplement zarezerwowany dla szczególnie zdolnych, charyzmatycznych, ambitnych podopiecznych. Gdy ktoś błyśnie na lekcji, zdarza mi się z pełnym uznaniem powiedzieć: „Wiesz, byłbyś świetnym nauczycielem". Albo: „Byłabyś naprawdę dobrą nauczycielką". Młode osoby, z którymi pracuję, z uprzejmością, ale i rozbawieniem kiwają wtedy głowami. Wiedzą, że traktuję to jako wielkie wyróżnienie, że według mnie to zawód dla najlepszych spośród najlepszych. Z szacunku do mnie nie parskają śmiechem. Mało kto jednak na serio rozważa pracę w szkole. Wiem na pewno jedynie o trzech takich osobach spośród setek moich wychowanków i wychowanek, dziś już studentkach – bo wszystkie trzy to dziewczyny. Życzę im, by nie musiały nigdy pracować pedagogicznie ponad swoje siły i aby były niezależne ekonomicznie. Jeden znany mi dyrektor szkoły zwykł żartować: „Nadgodzin nie biorą te nauczycielki, które mają bogatych mężów".

Jeśli was też nie bawi ten żart, to zgodzicie się ze mną, że polska szkoła to nie tylko problem klasowy, ale i feministyczny. To właśnie tutaj kolejne pokolenia uczą się świata i życia w społeczeństwie: jak traktować ludzi dokoła, czego od nich oczekiwać, kogo się ceni, a na kogo patrzy z góry. Dopóki nie zmieni się pozycja społeczna i zawodowa polskich nauczycielek, dopóty dzieci i młodzież będą się uczyć nierówności. A jeśli taka zmiana nastąpi, to kto wie – może i mężczyźni zaszczycą progi pokojów nauczycielskich?

Podczas **Festiwalu Conrada** w Krakowie **Aleksandra Korczak** poprowadzi warsztaty dla młodzieży o *Królewnie Śnieżce* Braci Grimm.

GDAŃSK
MIASTO LITERATURY UNESCO
ROK Z TYTUŁEM

GDAŃSK | instytucja kultury miasta Gdańska

DOM LITERATURY W GDAŃSKU

GDAŃSK MIASTO LITERATURY

unesco
Member of the Creative Cities Network

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ:

Cezarego Żechowskiego, psychiatry i psychoterapeuty dzieci i młodzieży

tekst JOANNA RUSZCZYK

EMPATYCZNA ROZMOWA CO prawda nie może zdziałać cudów – bo w medycynie o nich nie ma mowy – za to może leczyć. Właśnie na dialogu oparta jest metoda, którą Cezary Żechowski wprowadził na kierowany przez siebie oddział psychiatryczny.

Jakby pani chciała coś powiedzieć, włączyć się, to śmiało – doktor nauk medycznych Cezary Żechowski zaprasza mnie do uczestniczenia w zebraniu, na którym pracownicy Klinicznego Oddziału Dziennego Rehabilitacji Psychiatrycznej dla Dzieci i Młodzieży w Szpitalu Wolskim omawiają, co wydarzyło się poprzedniego dnia. Jestem w lekkim szoku, nie mam przecież pojęcia o pacjentach ani psychologicznego wykształcenia – a to odprawa zespołu.

Spotkanie jest poruszające. Słucham relacji o tym, że jeden z nastoletnich pacjentów szpitala zdemolował salę, po czym siedział w niej zrozpaczony. Mówił, że by wyskoczył z okna, gdyby nie było zabezpieczeń. Po 40 minutach rozmowy uspokoił się, udało się „przetworzyć" kryzys – tak określa to Cezary Żechowski. Teraz zespół zastanawia się nad przyczyną zaistniałej sytuacji. Czy było nią niedawne rozstanie? Albo śmierć idola? Może choremu pomogłoby odprawienie mszy za duszę zmarłego, chłopiec jest religijny. Zespół omawia, kto by mógł przyjść w weekend na nabożeństwo, kto porozmawia z księdzem – chociaż idolowi bliżej było do satanisty niż katolika.

CEZARY ŻECHOWSKI, psychiatra oraz psychoterapeuta dzieci, młodzieży, osób dorosłych i rodzin. Kieruje Środowiskowym Centrum Zdrowia Psychicznego dla Dzieci i Młodzieży w Szpitalu Wolskim w Warszawie, ordynator oddziału rehabilitacji psychiatrycznej dla młodzieży.

Jestem zaskoczona tym śmiałym pomysłem, ale jeszcze bardziej atmosferą spotkania. Każdy może swobodnie powiedzieć, co myśli. Głos doktora Żechowskiego – doświadczonego psychiatry oraz psychoterapeuty dzieci i młodzieży, autora wielu publikacji i wreszcie ordynatora oddziału – jest traktowany na równi z innymi. Również z opiniami trójki stażystów, którzy próbują diagnozować pacjentów i rzucają nazwami chorób. Żechowski spokojnie komentuje, że może lepiej mówić o bólu i spędzić z pacjentem czas, niż od razu podawać leki. Ale nie stawia się w pozycji wszechwiedzącego autorytetu. Przy omawianiu kolejnej pacjentki pyta sam siebie i zespół: „Co w niej siedzi?". Mam poczucie, jakby to było rodzinne spotkanie i troskliwe omawianie trudnych momentów z życia. Kiedy ktoś z zespołu opowiada o kryzysie innej chorej i poprawie jej stanu po leżeniu pod kołdrą obciążeniową, Żechowski się cieszy. „Niesamowite!" – stwierdza z entuzjazmem.

Potem, kiedy lepiej poznam jego metody pracy, zrozumiem ten gest zaproszenia mnie na zebranie. Ale też spotkam się z głosami krytyki, że to było przekroczenie granic, a nawet złamanie etyki zawodowej. Kiedy zapytam o to samego Żechowskiego, odpowie, że przecież na zebraniu poszczególne przypadki były omawiane anonimowo.

– Rozbity jestem tym rysunkiem, trochę mnie to załamało – mówi już po zebraniu o wulgarnej pracy kolejnego pacjenta oddziału. To narysowany na cienkim papierze czy chusteczce penis. Doktor zamyśla się, patrzy w podłogę. Omawiane wcześniej zachowania chorych chyba go zasmuciły. Widać, że wczuwa się w ich

rysunki ARTUR BLUSIEWICZ

JOANNA RUSZCZYK, dziennikarka i popularyzatorka sztuki. Współpracuje m.in. z magazynami „Newsweek", „Twórczość", „Szum". Ukończyła filologię polską na UMCS w Lublinie i Kuratorskie Studia Muzealnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Współautorka książki *Lokomotywa / IDEOLO*.

położenie. Pytam, czy dużo „korzysta" w pracy z empatii. – Moim zdaniem to jest podstawa, ale nie chcę też wyjść na jakiegoś wyjątkowo empatycznego. Każdy z nas, w mniejszym lub większym stopniu, ma dyspozycję, żeby przełączyć umysł na funkcjonowanie empatyczne. Możemy z empatii korzystać lub nie. Możemy się jej uczyć i ją obserwować, ćwiczyć. Empatia sama w sobie nie jest ani dobra, ani zła, ważne, co z nią robimy. Czy używamy jej, żeby komuś pomagać, czy, na przykład, aby kimś manipulować – tłumaczy.

Zastanawiam się, gdzie jest granica empatii w tym zawodzie. – Przebywamy z osobami, które doznają traum, cierpienia. I my też to czujemy. Nie ma rady. Czasami pytamy samych siebie, czy zrobiliśmy wszystko, obciążamy się najrozmaitszymi winami, błędami, które mogliśmy popełnić, choć czasami nawet nie wiemy, czy naprawdę miały miejsce. To jest bardzo trudne – odpowiada lekarz.

Wyjaśnia, że są nurty psychoterapii, które pracują bardziej poznawczo i dystansują się od emocji, skupiając na wzorcach myślenia i rozwiązywaniu problemów. Są też takie, które włączają emocje i starają się je zrozumieć. Zawsze jednak ostatecznie jest to spotkanie z drugim człowiekiem. – Może być ono obudowane różnymi teoriami, każdy nurt ma swoje zasady, ale i tak kończy się na tym, że jest to spotkanie człowieka z człowiekiem i ten ból w jakiś sposób przenika – mówi. Zaznacza, że jest to chyba najbardziej odczuwalne w państwowym systemie ochrony zdrowia, bo to pierwsza linia pomocy. Front.

—

PO ZEBRANIU Żechowski oprowadza mnie po Środowiskowym Centrum Zdrowia Psychicznego dla Dzieci i Młodzieży, którym kieruje. Najpierw po dwóch oddziałach dziennych – dla dzieci starszych i dla młodszych. Trafiają tu pacjenci z myślami samobójczymi, zaburzeniami żywienia, w stanach psychotycznych, straumatyzowani. Starsze dzieci mają właśnie warsztaty, na oddziale dla młodszych jedna z sal jest oświetlona dyskotekowo, odbywa się coś w stylu zabawy w karaoke. Atmosfera jest tu bardziej jak w przedszkolu niż w szpitalu.

Następnie idziemy do wejścia H. Tutaj działa Zespół Leczenia Środowiskowego koordynowany przez terapeutkę środowiskową Annę Czerniawską. Po drodze Żechowski dostrzegł stare krzesła ustawione przy śmietniku. Podchodzimy. Fajne! Bierzemy po jednym i wracamy, taszczymy krzesła na ostatnie piętro. „Co za otwarty, wyluzowany człowiek" – myślę.

– Pojawiamy się na policji, w prokuraturze, zeznajemy w sprawach zagrażających życiu, w sprawach przemocy – mówi o zadaniach zespołu Czerniawska. – Można zadzwonić do nas na infolinię pod numer 22 389 48 74, przeprowadzimy wstępny wywiad i potem albo zapraszamy rodzinę do Centrum na spotkanie, albo organizujemy inną pomoc, która jest potrzebna. Jeśli u młodej osoby pojawiają się myśli samobójcze, jest zagrożenie życia, musimy działać od razu: znaleźć psychiatrę, oddział dzienny, najlepiej w szpitalu ze szkołą. Teraz na przykład jedziemy do miejsca zamieszkania dziecka, które w ogóle nie wychodzi z domu, a nawet ze swojego pokoju. Od września. Sytuacja jest poważna – opowiada poruszona.

Zespół Leczenia Środowiskowego udziela pomocy w środowisku pacjenta: w domu albo w szkole. Dzięki temu nie zawsze konieczna jest hospitalizacja, odizolowanie od rodziny oraz przerwanie nauki. Zespół współpracuje z ośrodkami opieki społecznej, różnymi fundacjami wsparciowymi, w jego składzie są kurator sądowy i interwent kryzysowy.

Po rozmowie z Czerniawską idziemy dalej, do Poradni Zdrowia Psychicznego w pawilonie 11. Po drodze mijamy dwóch mężczyzn pchających z hukiem metalową trumnę. „Jesteśmy na trasie do szpitalnej chłodni, gdzie przechowuje się zwłoki?" – zastanawiam się i myślę sobie, że dla pacjentów oddziału psychiatrycznego takie sąsiedztwo byłoby trochę niefortunne. Psychiatra jakby czytał w moich myślach, bo komentuje: – Rozmawiam ze szpitalem, żeby jeździły tu meleksy, już są na to pieniądze. Dla osób w kryzysie psychicznym, czasem z myślami samobójczymi, taki widok może być trudny.

Jak Żechowski trafił do Szpitala Wolskiego? – Zadzwonił do mnie Tomek Szafrański [doktor nauk medycznych Tomasz Szafrański, psychiatra – przyp. red.] z Wolskiego Centrum Zdrowia Psychicznego dla Dorosłych i zapytał, czy znam psychiatrę dziecięcego, który by chciał pracować na Woli, bo zamierzają otworzyć oddział dla dzieci. Powiedziałem, że znam: mogę nim być ja – wspomina. Najpierw powstał oddział dzienny, potem pojawił się pomysł udziału w europejskim projekcie środowiskowego wsparcia dla dzieci i młodzieży POWER, w ramach którego utworzono Zespół Leczenia Środowiskowego, Ośrodek Środowiskowej Opieki Psychologicznej i Psychoterapeutycznej oraz Zespół ds. Profilaktyki. Na końcu została otwarta Poradnia Zdrowia Psychicznego – tak właśnie powstało Środowiskowe Centrum Zdrowia Psychicznego dla Dzieci i Młodzieży (w 2018 roku wprowadzono sieć centrów zdrowia psychicznego dla dorosłych opartą na środowiskowym modelu leczenia, która ma być bazą zmian systemowych w psychiatrii, w 2025 roku Ministerstwo Zdrowia przedłużyło program pilotażowy do końca 2026 roku).

Po pięciu latach projekt unijny POWER się zakończył. Funkcjonowanie Centrum jako całości zostało zagrożone: nie było pieniędzy z NFZ na kontynuowanie pracy tak złożonej instytucji, na etaty. Żechowski, jako kierownik, zaczął wtedy rozmowy z warszawskim ratuszem. Teraz Centrum jest finansowane z dwóch źródeł, przez

NFZ i samorząd. – Czarek robił wycieczki do władz miasta, zarządu szpitala i przekonywał, że praca z pacjentem wygląda inaczej, niż widzi się ją od strony administracyjnej. Nie możemy leczyć jak największej liczby dzieci, żeby nabijać punkty do rozliczeń świadczeń w NFZ. My przeprowadzamy proces leczenia, czasem wystarczy kilka spotkań, ale niekiedy to trwa kilka miesięcy i dłużej. NFZ nie przewiduje na przykład wsparcia terapeuty środowiskowego aż przez osiem miesięcy – mówi mi później Czerniawska. Podkreśla, że to dzięki Żechowskiemu Centrum przetrwało. – To bardzo waleczny człowiek. Nie pozwolił, żeby nasza praca została przerwana, bo to by się wiązało z opuszczeniem pacjentów w trakcie procesu. Mają zająć sobie kolejkę, gdzie będą czekać pół roku?! – oburza się. Celem Centrum jest, żeby pomoc w przypadkach kryzysowych była szybka i w miarę możliwości kompleksowa, zapewniając wsparcie psychologiczne, psychiatryczne, środowiskowe i psychoterapeutyczne, łączące różne nurty terapii: integracyjny, poznawczo-behawioralny, psychodynamiczny, systemowy i terapii schematów.

Kiedy spotykam się z Żechowskim w szpitalu, pierwsze, co słyszę od niego, to że łatwa dostępność pomocy to podstawa, tymczasem obecnie dzieci i młodzież wciąż muszą na nią długo czekać. – W kolejkach dzieją się straszne rzeczy, młodzi ludzie podejmują próby samobójcze – mówi przejęty. W połowie stycznia 2025 roku kolejka na oddział dla dzieci starszych w Centrum liczyła 64 osoby. W Poradni Zdrowia Psychicznego wolne terminy zaczynały się w marcu, kwietniu 2028 roku. Pacjenci zakwalifikowani jako pilni czekają na pierwszą konsultację miesiąc. – To się udało zmienić. Wprowadziliśmy także szybsze formy pomocy, diagnozę, żeby skrócić kolejki, bo to jest naprawdę dramat, kiedy ludzie czekają, a my oferujemy wsparcie tylko wąskiej grupie. Z tego wziął się konflikt: duża grupa terapeutów i terapeutek uważała, że to powinna być głównie długoterminowa pomoc, a ja się uparłem, że trzeba to równoważyć – tłumaczy Żechowski. – Jesteśmy coraz bardziej skuteczni. Wydobywamy dzieci z trudnych sytuacji, z samotności. To rośnie – dodaje o pomocy, którą oferuje Centrum.

—

W 2020 ROKU Żechowski zaczął wprowadzać w Centrum metodę otwartego dialogu, której próbkę dostałam na zebraniu szpitalnego zespołu. Odprawy są konstruowane właśnie w duchu otwartodialogowości. – To jest zwykła rozmowa, nic nadzwyczajnego, ale każdy jej uczestnik ma możliwość opowiedzenia o tym, co jest dla niego istotne – tłumaczy mi doktor, kiedy dopytuję, czym jest ten „otwarty dialog", który zaciera hierarchię i autorytet specjalistów. – To metoda pracy. Adaptując ją, wcale nie trzeba rezygnować ze swojej tożsamości terapeuty, za to można rozszerzyć warsztat, pole doświadczenia, postawę wobec innych ludzi.

„Zwykła rozmowa?" – dopytuję, choć Żechowski podkreśla, że otwarty dialog trudno opisać. Wymienia jednak siedem zasad tej metody. Pierwsza – natychmiastowe wsparcie, interwencyjne, żeby pomoc przyszła na samym początku kryzysu. Druga – włączenie sieci społecznej. Trzecia – elastyczność, która oznacza, że leczenie ma być dopasowane do aktualnej sytuacji pacjenta i jego rodziny. Czwarta – odpowiedzialność wynikająca z wewnętrznej postawy zaangażowania zespołu w pomoc osobie w kryzysie. Numer pięć to ciągłość psychologiczna, czyli nieprzerywanie wsparcia przez cały czas kryzysu oraz taka organizacja spotkań z różnymi specjalistami, by możliwe było stworzenie jednego procesu leczniczego. Punkt szósty – tolerancja niepewności, nieplanowanie z góry sposobu leczenia. Wreszcie zasada siódma – dialogiczność, zgodnie z którą każdy głos jest równie ważny i powinien zostać usłyszany. – Istotą otwartego dialogu jest to, że staramy się usłyszeć, co każda osoba chce powiedzieć, traktujemy to poważnie, chcemy spojrzeć na świat jej oczami, nie przez teorie i naszą wiedzę – mówi Żechowski.

Nie możemy leczyć jak najwięcej dzieci, żeby nabijać punkty do rozliczeń świadczeń w NFZ.

Na sesję otwartego dialogu zapraszane są bliskie, ważne dla człowieka w kryzysie osoby. To najczęściej rodzina, przyjaciele czy lekarz rodzinny. Spotkanie zaczyna się od pytania terapeutów o obraz aktualnej sytuacji: o to, co dla każdej z osób byłoby w tych okolicznościach najważniejsze. Specjaliści mają rozdzielone role. Jedni są w bliskim kontakcie z rodziną, rozmawiają, dbają o to, żeby każdy uczestnik zabrał głos. Drudzy są bardziej wycofani – to zespół reflektujący, który słucha i kilka razy w ciągu sesji dzieli się swoimi myślami i odczuciami, co tworzy jeszcze inną perspektywę zarówno dla rodziny, jak i zespołu pracującego bliżej niej. Ważne jest, żeby wszystko, co zostało powiedziane na sesji, doczekało się odpowiedzi, każdy ma prawo komentować cudze opinie. Nie chodzi jednak o to, żeby specjaliści interpretowali to, co usłyszeli, odwołując się do swojej wiedzy, ale o dzielenie się wrażeniami, odczuciami, punktem widzenia.

Z doświadczeń Żechowskiego wynika, że w czasie takich sesji osoby nieśmiałe, zamknięte, które dotąd w rodzinie odzywały się mało albo wcale, stają się śmielsze, zaczynają mówić, zdarza się, że jakieś sprawy zostają wypowiedziane po raz pierwszy. Kiedy już wybrzmią wypowiedzi poszczególnych osób – często są to różne oglądy jednej sytuacji – każdy z uczestników zastanawia się nad tym, co usłyszał, co umożliwia spojrzenie na sytuację z czyjejś perspektywy. Chodzi o budowanie wspólnej przestrzeni, w której wszystkie osoby czują się bezpiecznie i potrafią mówić o trudnych, traumatycznych doświadczeniach. Następnie zespół pyta, który

z tematów rodzina mogłaby wybrać, który jest najbliższy wszystkim. Tak z wiązki monologów rodzi się wspólny temat, wspólne rozumienie i doświadczenie, z którego może powstać nowy język do opowiedzenia historii dotąd niewypowiedzianych. Zaczyna się dialog, specjaliści podążają za tym, co i jak mówi rodzina, wykorzystują jej zasoby i sposoby radzenia sobie w kryzysie.

METODA OTWARTEGO DIALOGU pochodzi z Finlandii. Została wypracowana dla osób doświadczających kryzysu psychotycznego, w szpitalu psychiatrycznym Keropudas w Tornio przez doktora Jaakko Seikkulę, psychologa klinicznego, terapeutę rodzin, profesora Uniwersytetu w Jyväskylä we współpracy z doktorką psychiatrii Birgittą Alakare. Na początku doktor Seikkula leczył w tradycyjnym systemie – przeprowadzał wywiad z osobą, która trafiała w kryzysie do szpitala, następnie odbywało się badanie kliniczne w celu postawienia diagnozy i ustalenia indywidualnego planu leczenia. W 1984 roku zaczął zapraszać na spotkania nie tylko pacjentów, lecz także ich bliskich. Metoda otwartych spotkań ewoluowała w otwarty dialog.

Seikkula zainspirował się rosyjskim literaturoznawcą Michaiłem Bachtinem, badaczem polifoniczności powieści Fiodora Dostojewskiego, w których „cała rzeczywistość wydaje się powstawać w dialogach, które toczą między sobą postacie, i nie sposób przewidzieć, jaka nowa rzeczywistość się z nich wyłoni" – pisze fiński naukowiec w *Dialogu sieci społecznych* (przeł. Anna Tanalska-Dulęba). Podkreśla, jak ważny jest język, słowo, rozmowa. Stworzył zespoły złożone z psychologa, terapeutek, pielęgniarek, pracowników socjalnych, które pracowały z pacjentem i jego rodziną. „W przeciwieństwie do terapii tradycyjnej, stanowisko terapeuty nie polega na interwencji. Podczas gdy wiele szkół terapii rodzinnej jest szczególnie zainteresowanych stworzeniem specyficznych form prowadzenia wywiadu, w otwartym dialogu ważniejsze staje się słuchanie i odpowiadanie w dostrojeniu" – czytam w artykule Seikkuli opublikowanym w drugim numerze kwartalnika „Psychoterapia" z 2013 roku (przeł. Iwona Szarkowicz).

Żechowski wprowadzenie metody otwartego dialogu w Centrum postrzega jako przełom w pracy z pacjentami i zespołem. W pierwszej rodzinie – opowiada – w której została zastosowana ta metoda, relacje były przepełnione agresją, przemocą psychiczną i fizyczną. Już po kilku spotkaniach agresja zanikła, narodziło się zaufanie między rodzicami i dzieckiem, pojawiła się bliskość, na przykład przytulanie. Inna nastolatka była straumatyzowana w szkole, a rodzice pozostawali w ogromnym stresie. Żechowski mówi mi o gigantycznej pracy, którą wtedy wykonali: zespół był nawet w szkole, aby porozmawiać z pedagogami i dyrekcją. Teraz dziewczynka świetnie się uczy.

– Otwarty dialog nie daje gotowych rozwiązań, robi jednak coś takiego, że ukryte rzeczy wychodzą na powierzchnię. Wszyscy uczestnicy uczą się, czym jest obecność, dialog, milczenie, reflektowanie. Czasami jest ulga, czasami jest to trudne, czasami poruszające do cna. Absorbujące, angażujące, niekiedy oczyszczające, przyjemne – opowiada Żechowski.

– Wymagające – mówi Czerniawska. Dodaje, że zarówno rodzina, jak i specjaliści na każdej sesji doświadczają czegoś nowego. Metoda otwartego dialogu jest integrująca dla grupy, członkowie uczą się od siebie nawzajem, poznają się. Także specjaliści. „Jeżeli członkowie zespołu potrafią się wzajemnie słuchać, to jest bardziej prawdopodobne, że członkowie rodziny również będą się słuchać wzajemnie" – czytam w *Dialogu sieci społecznych*. I dalej: „Kilkakrotnie w sytuacjach impasu zespół stwierdzał, że dopiero gdy sam się zmienił, mogła się też zmienić rodzina". W *Dialogu*... opisana jest między innymi praca doktora Seikkuli z rodziną 21-letniej Maiji. Jej terapeuta poprosił o konsultację, żeby uniknąć hospitalizacji dziewczyny. Maija miała lęki, że ktoś zabije ją i jej matkę. W trakcie spotkań matka Maiji powiedziała o swoim byłym mężu, że był agresywny, zastanawiała się, czy to może mieć wpływ na stan córki. Od rozwodu rodzina nie miała z nim kontaktu. Matka niechętnie mówiła o „starych sprawach" – ojciec był obecny jako ważny temat, o którym się nie wspomina. W trakcie procesu terapeutycznego udało się o tym porozmawiać i okazało się, że ojciec bywał też wobec córki troskliwy. Rozmowy pozwoliły na wspólne przeżywanie przeszłości, szukanie w tym nowych znaczeń i zbudowanie pogłębionego obrazu rodziny.

W przyjaznym otoczeniu możesz powiedzieć bliskiej osobie to, czego nigdy do tej pory jej nie powiedziałaś, bo ona nigdy cię o to nie zapytała.

– Są osoby, które nie mówią ważnych dla siebie rzeczy, bo straciły już nadzieję, że zostaną usłyszane – mówi Żechowski. Przyznaje, że sam był tak szybkimi efektami zaskoczony. Że to daje nadzieję. Jednocześnie podkreśla, że to dopiero początki tej metody w Centrum.

Podobnie o efektach pracy w otwartym dialogu opowiadała mi w kwietniu 2025 roku Katarzyna Szczerbowska, była rzeczniczka prasowa Biura ds. Pilotażu Narodowego Programu Ochrony Zdrowia Psychicznego i asystentka zdrowienia dla pacjentów z doświadczeniem kryzysu psychicznego. Sama kiedyś przeżyła kryzys psychotyczny. W ramach leczenia odbyła kilka sesji metodą otwartego dialogu, o których mówiła: – W przyjaznym otoczeniu, w obecności osób, które starają się cię wesprzeć, możesz powiedzieć bliskiej osobie to, czego nigdy do tej pory jej nie powiedziałaś, bo ona nigdy cię o to nie zapytała, czy nie przyszło ci to do głowy. Zespół specjalistów poprzez pytania, refleksje może naprowadzić cię na tory, na których byś się w innych okolicznościach nie znalazła – tłumaczyła.

– Rodziny często domagają się kolejnych spotkań, pilnują tego. Wcześniej to my pilnowaliśmy, żeby przyszli na terapię rodzinną – opowiada o przejściu na pracę w otwartym dialogu Żechowski.

Zastanawiam się, czy w dzisiejszych czasach, kiedy co dziewiąty nastolatek deklaruje, że spędza w internecie około ośmiu godzin dziennie – jak donosi raport Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę z 2022 roku *Dzieci się liczą. Raport o zagrożeniach bezpieczeństwa i rozwoju dzieci w Polsce* – metoda, którą Żechowski nazywa „prawdziwym spotkaniem", nie jest tym bardziej ważna. – To ciekawe, nie myślałem, że otwarty dialog jest skrojony pod dzisiejsze potrzeby społeczeństwa, ale chyba tak jest – mówi. I dodaje: – To skuteczna metoda, przynajmniej badania, które do tej pory mamy, to pokazują. Teraz czekamy na wyniki kolejnego.

—

PIERWSZE DANE o skuteczności metody otwartego dialogu u pacjentów z pierwszym epizodem psychotycznym przyniosła analiza pracy profesora Seikkuli w ramach fińskiego narodowego programu API (Integrated Treatment of Acute Psychosis) trwającego w latach 1992–1993 oraz programu ODAP (Open Dialogue Approach in Acute Psychosis) realizowanego w latach 1994–1997. W toku pięcioletniej obserwacji stwierdzono wówczas, że u 82 procent pacjentów zniknęły objawy psychotyczne, a 86 procent z nich wróciło do pełnoetatowej pracy lub nauki, przy czym leki neuroleptyczne przyjmowała tylko jedna trzecia tej grupy – szczegółowy opis tych badań, metod, programów i konkretnych przypadków znajduję w rozdziale ósmym i dziewiątym *Dialogu sieci społecznych*.

Wyniki świetne – ale badanie przeprowadzono na malutkiej grupie, liczącej zaledwie 42 osoby. Z kolei w raporcie *Open Dialogue: A Review of the Evidence* (*Otwarty dialog. Przegląd badań*) autorstwa Abigail M. Freeman i jej współpracowników, w którym przeanalizowano 23 badania otwartego dialogu i który został opublikowany w „Psychiatric Services" w 2018 roku, czytam: „Wyciągnięte wnioski wydają się zbyt pozytywne". I dalej: „Większość uwzględnionych badań miała niewielką skalę (...). Ogólnie rzecz biorąc, otwarty dialog spotkał się z pozytywnym odbiorem ze strony pacjentów, ich sieci wsparcia oraz personelu. Jednocześnie odnotowano również przejawy oporu ze strony praktyków, a także dowody na to, że niektóre rodziny postrzegały formułę tego podejścia jako trudną i dezorientującą" – piszą autorzy raportu [przeł. J.R.].

„Czy wyniki osiągane dzięki podejściu opartemu na otwartym dialogu w przypadkach ostrej psychozy są zbyt zaskakujące, by traktować je poważnie?" – to z kolei słowa Seikkuli cytowane w artykule *Znaczenie Otwartego Dialogu w leczeniu osób chorujących na schizofrenię* zamieszczonym w 2014 roku w piśmie „Postępy Psychiatrii i Neurologii". W *Dialogu sieci społecznych* fiński naukowiec pisze zaś o standaryzacji i rygorystyczności badań współczesnej nauki – podczas gdy metoda otwartego dialogu opiera się na dopasowaniu do potrzeb pacjenta oraz jego sieci społecznej i zależy od wielu czynników. Dla Seikkuli sens mają tylko badania naturalistyczne, czyli te, które są przeprowadzane w środowisku pacjentów.

Żechowski uważa, że takie podejście jest zbyt radykalne, że rygorystyczne badania naukowe też wiele wnoszą. W Wielkiej Brytanii od czerwca 2019 do września 2023 roku przeprowadzono badanie skuteczności metody otwartego dialogu z udziałem – według wcześniejszych zapowiedzi – około 600 osób (*Open Dialogue: Development and Evaluation of a Social Network Intervention for Severe Mental Illness*, ODDESSI). Czy metoda stanowi skuteczną alternatywę dla angielskiej opieki zdrowotnej dla osób doświadczających kryzysu zdrowia psychicznego? – kiedy piszę ten tekst, wyniki ODDESSI nadal czekają na analizę i publikację.

—

JAK ŻECHOWSKI doszedł do otwartego dialogu i dlaczego zainteresował się akurat nim? Zastanawiam się nad tym, jednocześnie myśląc, że ten sposób leczenia do niego pasuje: do jego otwartości, refleksyjności, zaangażowania w pracę, spokojnego głosu, przestrzeni, jaką zostawia mi w rozmowie: momentów ciszy na refleksję, które nie wywołują poczucia niezręczności. Kiedy go pytam o drogę zawodową, mówi: – Popełniałem błędy, nie tylko zawodowe. Wychodziłem z fałszywych przekonań. Panksepp [amerykański badacz, więcej o nim i jego idei za chwilę – przyp. red.] pisał o *seeking*, poszukiwaniu, i ja mam to *seeking* dosyć silne. Lubię pracować z ludźmi, którzy mają żywe umysły, ciągle czegoś poszukują, są ciekawi rzeczywistości, idei. Próbują podważać w konstruktywny sposób pewne rzeczy, nie zatrzymują się przy obronie Trójcy Świętej.

Skończył medycynę, ale wcale nie był do tych studiów przekonany. Rozważał studiowanie filozofii lub reżyserii, humanistyczne zainteresowania w jakiś sposób konkurowały, a może dopełniały się z biologią. Jeszcze przed studiami grał w zespole rockowym, pisał teksty. Dzisiaj też pisze, nie tylko na potrzeby konferencji naukowych czy wykładów, lecz także wiersze – ostatni tom *Wojna z kukułką* wydał w 2017 roku. Dlaczego więc jednak medycyna?

W podcaście *Skądinąd* Tomasza Stawiszyńskiego opowiada, że jego rodzice byli lekarzami i będąc dzieckiem sporo czasu spędził w ich gabinetach, głównie ojca – pediatry. „Do końca nie byłem pewien, czy się nie urwę

z tego medycznego postronka. Ostatecznie się nie urwałem, tylko znalazłem własną drogę do psychiatrii" – mówił. Zainteresował się psychoterapią, w tym modną w latach 90. teorią dezintegracji pozytywnej Kazimierza Dąbrowskiego, Karlem Jaspersem – egzystencjalistą, psychiatrą i filozofem, a także Carlem Gustavem Jungiem, którego teoria – jak mówi Stawiszyńskiemu – „była wtedy rozgrzana" i „otwierająca na kulturę". Z czasem uwagę Żechowskiego przyciągnęły też teksty Zygmunta Freuda. „Freud ściąga na ziemię. (...) Nie mówił o traumie bezpośrednio, ale w gruncie rzeczy obracał się cały czas wokół tego tematu. To mi pokazało, że jest sfera, którą można badać, a trudno do niej znaleźć dostęp. I tak związałem się z psychoanalizą" – wspomina w *Skądinąd*.

W 1994 roku rozpoczął trening psychoanalityczny w Instytucie Psychoanalizy i Psychoterapii, którego członkiem jest do dzisiaj. Przez ponad sześć lat cztery razy w tygodniu leżał na kozetce. Zostawił na niej, jak mówi, wiele swoich lęków. Psychoanaliza dała mu chyba oddech od psychiatrii, która była wtedy „bardzo biologiczna" – tak ją określa, kiedy rozmawiamy.

Jeszcze na ostatnim roku studiów zgłosił się do profesorki doktorki habilitowanej Ireny Namysłowskiej, która kierowała Kliniką Psychiatrii Dzieci i Młodzieży w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. Naukowczyni przywiozła ze Stanów Zjednoczonych nowatorskie metody w terapii rodzin. Na początku nie było w klinice miejsca dla młodego lekarza, w końcu jednak udało mu się tam dostać. „Pani profesor powiedziała, że jej się tutaj coś zwolni, a ona ma takie oko i widzi, że będę dobrym psychiatrą" – mówi Żechowski w podcaście Stawiszyńskiego.

– Byłam zachwycona, bo wydał mi się niezwykle ciekawą, wszechstronną osobą. Z ogromnymi zainteresowaniami, także pozalekarskimi – opowiada mi profesorka Namysłowska, gdy dopytuję ją o ich współpracę. – Interesował się sztuką, teatrem, pisał wiersze. Te wiersze mnie poruszały. Są głębokie, humanistyczne. W ogóle on jest humanistą. Dla mnie to człowiek renesansu, rzadko są tacy ludzie wśród lekarzy, choć na szczęście się zdarzają.

Żechowski zaczął pracę w jej klinice 1 kwietnia 1994 roku. Ona była wówczas terapeutką systemową – skupiała się na wpływie systemu rodzinnego na zachowanie pacjentów, ważny był dla niej ich świat zewnętrzny. Z kolei on był wtedy zainteresowany psychoanalizą i uważał, że najważniejsze jest indywidualne podejście do pacjenta, jego świat wewnętrzny. Te odmienne stanowiska nie przekreśliły jednak ich współpracy. Przeciwnie. Zespół, który zbudowała Namysłowska, patrzył na młodych ludzi kompleksowo, w kontekście trzech systemów, w których funkcjonują: indywidualnego, rodzinnego i środowiskowego, czyli grupy rówieśniczej, szkoły. – Teraz ja bardziej myślę o indywidualnym świecie wewnętrznym pacjentów, a Czarek odwrotnie: że ważne jest środowisko, co pokazuje stworzone przez niego Centrum na Woli. Zatoczyliśmy koło, ja w jedną stronę, on w drugą. Ale zawsze mogliśmy o tym rozmawiać – przyznaje profesorka.

Kiedy pytam, czy Żechowski jest jej uczniem, słyszę w odpowiedzi, że formalnie może tak, ale relacje w klinice nie były oparte na autorytecie. – Tak samo ja się uczyłam od niego. Trudno powiedzieć, kto był czyim uczniem. Pracowaliśmy we wzajemnym poszanowaniu swoich poglądów, a przede wszystkim wzajemnie zaciekawialiśmy się naszym myśleniem – dodaje.

Pracowali razem ponad 15 lat, aż do emerytury Ireny Namysłowskiej. Żechowski odszedł z kliniki 31 grudnia 2010 roku, w tym samym dniu, w którym ona przestała kierować tą placówką. Po rozmowie z naukowczynią myślę, że bohater mojego tekstu miał ogromne szczęście, że trafił na tak otwartą, skromną szefową. A może właśnie dlatego ją wybrał?

—

CZAREK BYŁ JEDNĄ z pierwszych osób, które brały czynny udział w propagowaniu spojrzenia łączącego psychoterapię i psychiatrię z neurobiologią – mówi profesorka Namysłowska. W 2009 roku, wraz z doktorem habilitowanym nauk medycznych Sławomirem Murawcem, Żechowski wydał książkę *Od neurobiologii do psychoterapii* (nie jest dzisiaj dostępna w sprzedaży, a używane egzemplarze można znaleźć w internecie za kilkaset złotych). Na tym jego fascynacja neuronauką się nie skończyła, cały czas jest na czasie z aktualnymi badaniami, literaturą naukową, co zaowocowało stałym udziałem w audycji radiowej *Rachunek myśli* na antenie Dwójki i wydaniem *Rozmów o miłości, współczuciu i gniewie*.

Jeszcze kilka lat temu Żechowski był jedną z nielicznych osób w Polsce, która potrafiła przystępnie mówić o neuropsychoanalizie.

– Jeszcze kilka lat temu Żechowski był jedną z nielicznych osób w Polsce, która potrafiła o neuropsychoanalizie, tak określa się połączenie psychoanalizy z neurobiologią, przystępnie mówić. Popularyzować ją – zapewnia mnie Rafał Milewski, wydawca *Rozmów...* I dodaje: – Pewne tezy czy mechanizmy opisane przez Freuda 120 lat temu, które były przedmiotem szyderstw i nadal do pewnego stopnia są, dzięki odkryciu narzędzi badawczych takich jak neuroobrazowanie mózgu okazały się weryfikowalne empirycznie. Można zobaczyć na ekranie komputera popędowość czy mechanizmy obronne. To jest fascynujące! Z książki dowiemy się na przykład, że popędowi Freuda może odpowiadać pojęcie systemów emocjonalno-motywacyjnych Jaaka Panksepa, wybitnego neurobiologa i psychobiologa – mówi.

Właśnie wokół tej teorii kręcą się *Rozmowy...* „Jaka byłaby sztuka bez emocji, jak w ogóle wyglądałoby nasze

życie bez emocji?" – pyta Panksepp podczas wykładu na TEDx Talks w 2014 roku. Opowiada o swojej drodze naukowej i badaniach: nudził się podczas studiów elektrotechnicznych, więc poszedł do pracy w szpitalu psychiatrycznym. Zobaczył tam dużo ludzkich tragedii, trudnych emocji. Wspomina, że wtedy nikt nie wiedział, gdzie i jak emocje powstają, jak działają, czym w zasadzie są. Zdecydował się zrobić zawodowy zwrot – najpierw w stronę psychologii klinicznej, a potem neuronauki.

Przez lata badał zachowanie zwierząt podczas stymulacji elektrycznej lub chemicznej różnych części ich mózgu. Udało mu się zaobserwować, że w mózgu zwierząt istnieje na przykład coś takiego jak złość. Panksepp opisał siedem podstawowych systemów emocjonalnych, które człowiek dzieli z innymi zwierzętami, a które są zlokalizowane w najstarszej ewolucyjnie części mózgu. Są to: *seeking* (poszukiwanie), *rage* (wściekłość), *fear* (lęk), *lust* (pożądanie), *care* (opieka), *panic/grief* (panika/smutek) i *play* (zabawa). Na każdy z systemów można znaleźć wiele innych określeń, na przykład „panika" generuje smutek i samotność, „zabawa" przynosi dużą radość.

Panksepp opisał te systemy, neuroprzekaźniki i zachowania z nimi powiązane oraz zaburzenia tych systemów, które przejawiają się jako zaburzenia emocjonalne, psychiczne. Otworzył drzwi do dalszych badań, możliwych dzięki rozwinięciu w latach 90. metod neuroobrazowania, czyli obserwacji mózgu w trakcie jego aktywności. Zaczęły pojawiać się prace, które pokazały, że stany subiektywne, jak miłość, nienawiść, żałoba czy smutek, są zlokalizowane w konkretnych obszarach mózgu i można go pod tym kątem badać.

„Okazało się, że czynność mózgu się zmienia i widać, które obszary mózgu są pobudzone, kiedy człowiek na przykład wspomina bliską osobę, która zmarła" – pisze Żechowski w *Rozmowach...* Na przykład wspomniane już *seeking*, czyli poszukiwanie, łączy się z eksplorowaniem środowiska i przyjemnością z tym związaną, jego podstawą są pierwotne potrzeby – zaspokojenie głodu czy pożądania – i działa głównie za sprawą neuronów dopaminowych. Rewersem *seeking* jest gniew, frustracja albo wściekłość – emocje, które pojawiają się w nas, gdy *seeking* nie może być zrealizowane. Kiedy nie uświadomimy sobie gniewu i nie możemy go przetworzyć, to zaczyna nami rządzić, co może prowadzić do destrukcyjnych zachowań w relacjach, takich jak mszczenie się. Z drugiej strony gniew jest czasem bardzo potrzebny, żebyśmy mogli się bronić, stawiać granice. Tak „rozkładając" poszczególne systemy Panksepa, można dojść do tego, czym jest przywiązanie, jak mogą powstawać zaburzenia lękowe, depresja. Pomagają także zrozumieć uzależnienia czy spektrum autyzmu.

PIERWSZA KSIĄŻKA WYDANA PRZEZ

MAGAZYN OPINII Pismo.

PREMIERA JUŻ W LISTOPADZIE!

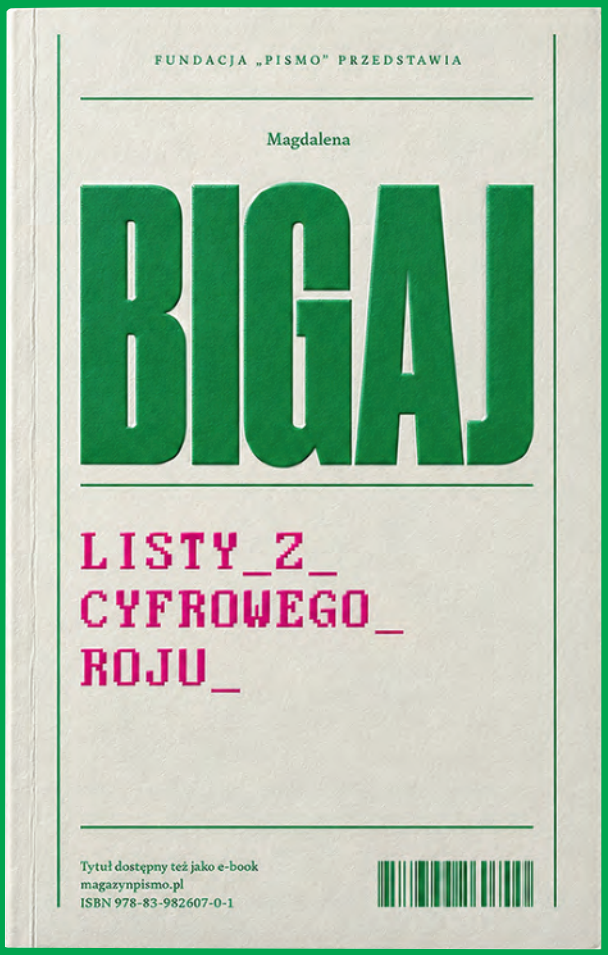

Czytaj, by zrozumieć, jak technologia zmienia Twoje życie.

Zamów swój egzemplarz w przedsprzedaży. Książka dostępna tylko na stronie.

magazynpismo.pl/wydaje

—

WŚRÓD PACJENTÓW Centrum aż mniej więcej 80 procent to właśnie osoby z neuroróżnorodnością – mówi Żechowski podczas naszego obchodu. – Ich potrzeby nie zostają rozpoznane przez szkołę, rówieśników czy rodziców. Mają lęki, depresje. Są wtórnie traumatyzowane: najpierw w środowisku rodzinnym, a potem w szkole. Do tego stopnia, że w pewnym momencie mogą mieć kryzys psychotyczny – mówi. Zwraca moją uwagę na jasne szare ściany jednej z dużych sal i wyjaśnia, że to kolor, który lepiej niż biel działa na dzieci w spektrum autyzmu. Sala ma duże okna, piękny taras, za oknem zieleń. Psychiatra podkreśla, jak ważne jest zapewnienie dzieciom i młodzieży odpowiednich warunków rozwoju społecznego, bez hałasu, z odpowiednią liczbą godzin nauki, właściwą stymulacją sensoryczną lub ruchową. Uważa, że już od żłobka edukacja powinna znać potrzeby neuroróżnorodnych osób i że metody edukacji należy dostosować do ich potrzeb, a nie odwrotnie.

Kiedy zaczynał pracę jako psychiatra dziecięcy, w Polsce nie obowiązywała jeszcze klasyfikacja ICD-10, czyli Międzynarodowa Statystyczna Klasyfikacja Chorób i Problemów Zdrowotnych, a więc w praktyce nie rozpoznawano spektrum autyzmu czy ADHD. „Była grupa dzieci, która zachowywała się dość ekscentrycznie, miała problemy z komunikacją, nawiązywaniem relacji z innymi osobami. (...) Określaliśmy ich zachowanie jako pewien stopień dziwaczności, ekscentryczności, który kojarzył nam się z psychozą. W związku z tym dzieci były identyfikowane jako prepsychotyczne, to znaczy, że w przyszłości mogły rozwinąć schizofrenię. (...) Praktyka była taka, że te tak zwane preschizofreniczne dzieci były leczone najczęściej neuroleptykami z ich wszystkimi objawami ubocznymi. To samo dotyczyło dzieci z ADHD (...). Dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych dotarło do nas, że nieprawidłowo diagnozujemy autystyczne dzieci, że ich potrzeby, wrażliwość są zupełnie inne, niż myśleliśmy do tej pory. To był przełom" – czytam w *Rozmowach*...

O tym przełomie mówi też Czerniawska: – Kiedy trafiłam do przedszkola specjalnego, były w nim dzieci niskofunkcjonujące, które uderzały we własną głowę piąstkami, a my przytrzymywaliśmy je wtedy i nie dawaliśmy tym maluchom nic w zamian. Dzisiaj już wiadomo, że dziecko chce w ten sposób coś wyrazić, staramy się je zabezpieczyć przed uszkodzeniem ciała, ale również próbujemy się dowiedzieć, co chce zakomunikować.

Zmiana nastąpiła w kilku ostatnich latach i wyszła z aktywizmu, tłumaczy mi doktor Żechowski. Osoby ze spektrum zaczęły domagać się swoich praw, a rodzice – ochrony praw swoich dzieci. Ten głos, nawiązujący do nauki, stał się coraz bardziej słyszalny. Okazało się, że mnóstwo osób ma ADHD, jest w spektrum autyzmu. Mogą dostać pomoc, zrozumieć się, nie wstydzić.

– Spotykam na sesjach osoby, którym to ja powinienem płacić! Wychodzę po tych sesjach z bogatszym obrazem świata. Jestem głęboko wdzięczny tym osobom, że do mnie przychodzą. Nigdy bym nie przypuszczał, że można widzieć świat w tak mądry, głęboki sposób – mówi Żechowski. I żartuje: – Oczywiście nie jestem tylko obciążeniem, też się do czegoś przydaję, czasem słyszę: „Bez pana nie mógłbym/mogłabym tak myśleć".

W wykładzie opublikowanym w *Rozmowach*..., a wcześniej, w 2024 roku wygłoszonym dla Sekcji Psychoterapii Dzieci i Młodzieży Polskiego Towarzystwa Psychoterapii Psychoanalitycznej, czytam: „Wydaje mi się, że to [koncepcja neuroróżnorodności – przyp. J.R.] jest kolejna potężna rewolucja, która pokazuje, że istnieją grupy mniejszościowe, trochę inaczej przetwarzające informacje, które wnoszą ogromny wkład w rozwój społeczeństw, ale jednocześnie ze względu na dominację pewnego ideału neuronowego mogą być izolowane, wykluczane i wtórnie traumatyzowane. Czeka nas, zwłaszcza terapeutów, duża praca w kontekście poznania i przyswojenia nowej wiedzy o neuroróżnorodności i powiązania tej wiedzy z przekonaniami terapeutycznymi tak, żebyśmy na przykład nie rozpoznawali narcyzmu tam, gdzie mamy do czynienia ze spektrum".

– Osoby neuroróżnorodne, które mają własne trajektorie rozwojowe, własną wrażliwość, także na bodźce sensoryczne, trochę inaczej przetwarzają informacje – mówi Żechowski. W tym duchu prowadzi cykl seminariów w Ośrodku Psychoterapii Konteksty *Psychoanaliza, neuronauka i sztuka*, podczas których analizował z uczestnikami życiorysy i twórczość artystów, między innymi Paula Cezanne'a. – Wydaje mi się – po błędach, które popełniał w kontaktach społecznych, po tym, jak był nadwrażliwy na bodźce, na dotyk – że bardzo wyraźnie widać, iż Cezanne był osobą ze spektrum. Miał niesamowitą pasję, z jaką badał swoją percepcję. Próbował to pokazać i odsłonił przed nami zupełnie inny świat. Tak stworzył kubizm, abstrakcję. Pchnął do przodu sztukę – dowodzi z zapałem Żechowski. Opowiada mi o badaniach Sue Fletcher-Watson, która zajmuje się aspektami społecznymi, klasowymi autyzmu i wskazuje, że nauka jest nakierowana na badania deficytu, a nie zauważa zasobów osób neuroróżnorodnych.

—

ŻECHOWSKI BUDZI skrajne emocje. Jedni go bardzo szanują, doceniają i podziwiają. Słyszę, że jest oddany pacjentom, niektórzy porównują go nawet do Janusza Korczaka, bo zdecydował się na pracę pozytywistyczną, w publicznej placówce, a ze swoimi kompetencjami mógłby zarabiać krocie w prywatnym gabinecie i mieć

znacznie większy komfort pracy. Usłyszałam też, że jest fighterem, który nieraz zabezpieczał kogoś w kryzysie samobójczym w nocy. Z innej strony: że jest człowiekiem renesansu – interesuje się muzyką, teatrem, literaturą, sztuką. Ale ma też podobno przeciwników, sam mi mówi, że jest krytykowany, a stworzone przez niego Środowiskowe Centrum Zdrowia Psychicznego dla Dzieci i Młodzieży – wręcz atakowane. Podejrzewał u siebie nawet PTSD [zespół stresu pourazowego – przyp. red.]. Jednak kiedy dopytuję, ucina, twierdząc, że to sprawy personalne Centrum, wewnętrzne i nie chce o tym mówić. „Czy krytyka spotyka go, bo jest zbyt progresywny? A może popełnia błędy?" – zastanawiam się. Poznaję Żechowskiego jako bardzo zaangażowanego w pracę, a to oznacza – wymagającego. Może o to chodzi?

– Jeśli ktoś się bierze za leczenie osób z zaburzeniami psychicznymi, to musi mieć aktualną wiedzę na ten temat, a nie fantazjować. Pracowaliśmy w Centrum z terapeutami i terapeutkami, którzy mówili, że nie czują, aby dana osoba miała zaburzenie. Czucie, empatia są ważne, ale zaburzeń psychicznych nie czuć, trzeba mieć wiedzę ze współczesnej psychopatologii i zadawać konkretne pytania, żeby dowiedzieć się, czy pacjent ma określony objaw. To najbardziej podstawowe błędy, kiedy terapeuci opierają się na modelach sprzed wielu lat i nie uwzględniają postępu wiedzy – wskazuje lekarz. Pytam o superwizje, przecież terapeuci podlegają kontroli bardziej doświadczonych specjalistów. W odpowiedzi słyszę, że superwizorzy wnoszą duży, konstruktywny wkład w leczenie pacjentów, ale bywa też, że nie są dobrze wyszkoleni.

Może jest krytykowany właśnie dlatego, że dość odważnie gani środowisko psychoterapeutyczne? Żechowski jakby czytał mi w myślach, bo mówi: – Musimy uważać, żeby psychoterapia nie stała się przechowalnikiem niedemokratycznych norm i praktyk. To byłoby dla niej groźne, gdyby znalazła się w miejscu, w którym był kiedyś Kościół, i zaczęła odtwarzać system mało refleksyjny, z dużą idealizacją psychoterapii jako metody leczenia opartej głównie na autorytecie – tłumaczy. Uważa, że każde podejście psychoterapeutyczne to rodzaj specjalizacji i nie jest w stanie ogarnąć złożoności umysłu człowieka, rzeczywistości psychicznej, społecznej. – Jeżeli jedna szkoła, która uczy w danym nurcie, krytykuje inną szkołę, jest to, moim zdaniem, budowanie murów w środowisku. Ciekawiej byłoby, gdyby szkolenie pokazywało też inne podejścia prowadzące do innych wniosków, pokazujące rzeczywistość, której nie widać w tym podejściu. Lepiej byłoby się inspirować – wskazuje. Uważa, że środowisko psychoterapii jest bardziej wykluczające niż inkluzywne.

W Centrum łączą się różne podejścia. Powstają zespoły interdyscyplinarne. Chodzi o dopełnianie się myślami, wiedzą. Jednak są osoby niepostrzegające tego w kategoriach łączenia albo dopełniania, tylko uważające to za zacieranie granic, które może być niebezpieczne. Każdy z nurtów terapii ma swoje zasady, ramy, a terapeuci – poszczególne towarzystwa, które kontrolują przestrzeganie zasad, stoją na straży etyki zawodowej. Brak porozumienia w środowisku psychoterapeutycznym pokazała sprawa z 2024 roku dotycząca wyboru konsultanta krajowego w dziedzinie psychoterapii, kiedy przedstawiciele różnych nurtów terapeutycznych nie potrafili się dogadać. Wciąż też trwa dyskusja wokół projektu ustawy o zawodzie psychoterapeuty.

Sam Żechowski przyznaje, że boi się tego tekstu i hejtu po nim. Przypuszczam, że może być nierozumiany przez psychiatrów, którzy mają podejście biologiczne, traktują kryzys psychiczny wyłącznie jako chorobę mózgu i aplikują leki. On sam patrzy szeroko, humanistycznie, wręcz egzystencjalnie. – Wydaje mi się, że jesteśmy w czasie gruntownej przemiany kulturowej: psychoterapia, która była konserwatywna, siedziała zawsze z boku, zaczyna się otwierać i wkracza w to wszystko – mówi i dodaje dziarsko: – Zobaczymy!

Musimy uważać, żeby psychoterapia nie stała się przechowalnikiem niedemokratycznych norm i praktyk – mówi Żechowski.

—

MAMY KONTAKT, ale luźny. Czarek jest potwornie zajęty. Mam nadzieję, że pisze wiersze – kończy naszą rozmowę profesorka Namysłowska.

– Przepracowany, bardzo przepracowany – przyznaje ze współczuciem Czerniawska, kiedy mówię, że umówiłam się z doktorem w niedzielę.

Następnym razem rozmawiamy wieczorem, Żechowski jest na konferencji w Estonii. Swoją aktywnością zawodową mógłby obdzielić co najmniej kilka osób. Z drugiej strony zdarza mu się zapomnieć i nie pojawić się na konferencji, na której miał wygłosić wykład. Czasem trzeba się nachodzić – i to dosłownie – aby otrzymać od niego pomoc. – Żeby z Cezarym porozmawiać, najlepiej wyjść z nim na spacer. Dużo spaceruje. Myślę, że to jego forma przemyśliwania – mówi mi jedna osoba z zespołu Centrum.

Rzeczywiście – mnie też doktor odprowadza do bramy szpitala.

W **listopadowym numerze** „Pisma" przeczytasz rozmowę **Agaty Sikory** z Przemysławem Bąblem, autorem książki *Wojna o psychoterapię*.

KOMIKS

Pochmurność

rysunki MAREK TUREK

MAREK TUREK, polski twórca komiksów, autor m.in. tetralogii science fiction *Fastnachtspiel* oraz trylogii *Sothis*. Jego prace publikowano w polskich i zagranicznych magazynach komiksowych, m.in.: „AQQ", „Stripburger" i „Attic Wit".

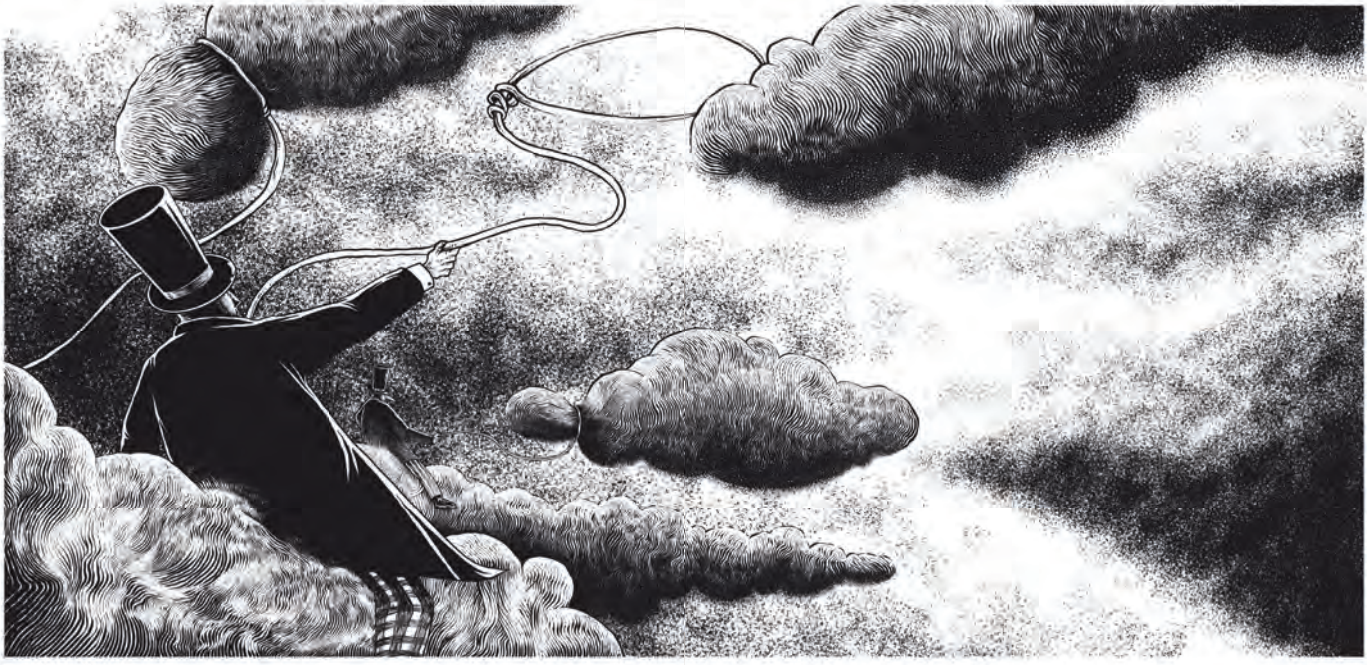

Komiks *Pochmurność* ukaże się w październiku nakładem wydawnictwa Kultura Gniewu.

Szklana skóra

tekst ZYGMUNT BORAWSKI

LUSTRZANE BIUROWCE to symbol późnego kapitalizmu. W Polsce oznaczały bogactwo, przedsiębiorczość i Zachód, do którego chcieliśmy jak najszybciej dołączyć. Dziś ikonicznym budynkom, między innymi warszawskiemu Intraco, grozi wyburzenie w imię chwilowego zysku.

Ryzykuję utratę reputacji, ale muszę się do czegoś przyznać: moją wrażliwość estetyczną po części ukształtowało źródło niemal kompromitujące – serial *Moda na sukces*. Na swoje usprawiedliwienie mam, że nie byłem wiernym widzem – nie dotrwałem do końca ani jednego odcinka, a w tasiemca wdepnąłem z winy osoby trzeciej. W czasach podstawówki moje popołudnia wypełniało odrabianie lekcji pod okiem pani E. Ta zacna kobieta opiekowała się mną i moimi siostrami podczas nieobecności rodziców. Przekonanie, że szkolne obowiązki plasują się wysoko w rankingu ludzkiego cierpienia, nakazywało mi wykorzystywać każdą okazję, by odsunąć podręczniki na bok. Nadarzała się ona codziennie punktualnie o 15:00. Pani E. znad deski do prasowania włączała telewizor i z ciężkim westchnieniem obwieszczała: „Zobaczysz, dzisiaj Ridge ją zostawi".

Marazm popołudnia kazał mi docenić czołówkę serialu. Nieświadomy, kim jest Ridge, z satysfakcją chłonąłem chwytliwy miks obrazu i dźwięku. Mój wzrok przykuwały migawki lustrzanych wieżowców. Symbole sukcesu i drapieżnej przedsiębiorczości. Gładkie, lśniące, szklane, nieprzezroczyste – architektoniczny symbol *Pax Americana*, najbardziej oczywisty znak finansowej i kulturowej dominacji Stanów Zjednoczonych nad resztą świata.

Działo się to w połowie lat 90. Warszawa budowała się w tempie, którego nikt w tym mieście nie widział od dziesięcioleci. Między szarością kamienic i bloków z wielkiej płyty wyrastały gładkie lustrzane elewacje. Wyraźnie widziałem, że następuje zmiana, chociaż jeszcze nie potrafiłem jej nazwać. Blichtr, nowość oraz zniekształcenie rzeczywistości odbitej w szkle bawiły mnie i intrygowały. Były najbliższym i najbardziej namacalnym kawałeczkiem Ameryki, tak przeze mnie podziwianej w filmach.

W książce *Jakby luksusowo. Przewodnik po architekturze Warszawy lat 90*. Aleksandra Stępień-Dąbrowska słusznie zauważa, że w szkle refleksyjnym tamtych lat odbijały się przede wszystkim aspiracje do nowego początku. Porównuje te wieżowce do platynowych kart kredytowych – rzekomej przepustki do zachodniego świata.

Wraz z gmachami rosła ich krytyka. Wtedy się nie domyślałem, że za lśniącymi fasadami wielu obserwatorów odkryło duchową pustkę. Dopiero dwie dekady później poznałem nazwiska związane z architekturą szkła lustrzanego i jego fascynującą genealogię. Styl ten narodził się w Los Angeles – w środowisku przemysłu lotniczego i kosmicznego oraz w galeriach sztuki południowej Kalifornii. Jego historia nadawałaby się na serial telewizyjny.

WIEDZĘ O ARCHITEKTURZE szkła lustrzanego zacząłem na dobre zdobywać dopiero w 2018 roku. Przypadkiem trafiłem w internecie na zapowiedź organizowanego

zdjęcie DOMINIK CUDNY

ZYGMUNT BORAWSKI, architekt i dziennikarz. W latach 2015–2020 redaktor działu architektury i designu w kwartalniku „Przekrój". Wykładowca w Accademia di Architettura di Mendrisio (Szwajcaria). Współautor Placu Centralnego w Warszawie.

przez londyńską uczelnię Architectural Association School of Architecture wykładu Daniela Paula, historyka architektury z Los Angeles. Przez niemal 15 lat badał on późnomodernistyczną architekturę „szklanej skóry" i jako jeden z pierwszych głośno mówił o potrzebie jej ochrony. Dla Los Angeles opracował kryteria identyfikacji znaczących budynków tej klasy – na tych dokumentach do dziś opierają się decyzje konserwatorskie w Kalifornii. Byłem zdeterminowany, by wysłuchać go na żywo.

Lot o szóstej rano, powrotny następnego dnia o tej samej godzinie. Pobudka o trzeciej w nocy, 24 godziny w Londynie, zima wyjątkowo chłodna jak na angielskie warunki. Opłaciło się – mimo sporego zmęczenia z nabożeństwem chłonąłem każde słowo.

Żeby zrozumieć architekturę szkła lustrzanego, trzeba się cofnąć do wczesnych lat 50. i odwiedzić biuro Eero Saarinena w Bloomfield Hills w amerykańskim stanie Michigan. Saarinen był wtedy jednym z najbardziej poszukiwanych architektów korporacyjnych w Stanach Zjednoczonych. Projektował dla takich firm, jak General Motors, IBM czy TWA (Trans World Airlines, nieistniejące już amerykańskie linie lotnicze). Pod jego pieczą wykuwały się talenty, które później stworzą własne, rozpoznawalne praktyki. Pracowali tam między innymi dwaj młodzi architekci: Kevin Roche – pierwszy asystent Saarinena – i John Dinkeloo. W 1961 roku, po nagłej śmierci szefa, przejęli jego pracownię.

To Roche'owi przypisuje się pierwszy błysk intuicji. Historia głosi, że uwagę architekta przykuła okładka magazynu „Life", na której widniał mężczyzna w lustrzanych okularach typu aviator. Roche uznał, że byłby to świetny motyw dla nowoczesnego budynku. Wspólnie z Dinkeloo rozwinął ten pomysł w szklaną elewację – kolosalny nośnik efektu odbicia.

Pierwszym budynkiem, który powstał z wykorzystaniem szkła lustrzanego, był kompleks Bell Laboratories w Holmdel w stanie New Jersey. Biuro Saarinena projektowało ten obiekt od 1957 roku, a ukończyło pracę w 1962 roku. Materiał architekci wybrali nieprzypadkowo – wiedzieli, że pośród rozległego, naturalnego krajobrazu łąk i lasów budowla nie będzie miała towarzystwa. Chcieli, by realizacja multiplikowała otoczenie i wtapiała się w nie, zamiast z nim konkurować. Przy okazji lustrzana powłoka odbijała promienie słoneczne, więc zapobiegała nadmiernemu nagrzewaniu się wnętrz – w epoce przed upowszechnieniem klimatyzacji funkcjonalność tego rozwiązania dorównywała jego wartościom estetycznym. Nowe szkło przepuszczało zaledwie 25 procent światła słonecznego i redukowało nagrzewanie budynku aż o 70 procent.

Efekt osiągnięto dzięki pionierskiej technologii. Unikatowe właściwości nadało „największemu lustru świata", jak rychło ochrzczono kompleks w Holmdel, zalaminowanie szkła cienką warstwą aluminium. Pierwiastek ten nadał elewacji zdolność odbijania obrazu przy jednoczesnym zachowaniu przezierności od wewnątrz, jak w lustrze weneckim. Producent tafli szklanych nie nadążał z dostawami, więc początkowo tylko fasada południowa otrzymała docelowe szklenie. Pozostałe ściany doraźnie wypełniono szarym szkłem odpornym na ciepło.

Bell Labs było skrzydłem badawczym amerykańskiego giganta telekomunikacyjnego AT&T. Tutaj wynaleziono tranzystor, tu powstały laser i telefon komórkowy, odkryto mikrofalowe promieniowanie tła kosmicznego, czyli dowód na Wielki Wybuch. Lustrzane szkło na elewacjach tego budynku szybko obrosło więc skojarzeniami wykraczającymi poza estetykę – zyskało rangę wizualnego synonimu innowacji i high tech. Jeśli za tą nieprzeniknioną, odbijającą niebo fasadą pracują ludzie, którzy zmieniają świat – rozumowano – to może właśnie tak powinna wyglądać architektura przyszłości.

Jeśli za tą odbijającą niebo fasadą pracują ludzie, którzy zmieniają świat – rozumowano – to może właśnie tak powinna wyglądać architektura przyszłości?

Z przemysłu elektromaszynowego architektura zapożyczyła więcej niż szkło lustrzane. W kampusie General Motors w Warren, wybudowanym w Michigan w latach 1949–1956, tafle szkła i emaliowane panele elewacyjne w aluminiowych ramach Saarinen ustabilizował uszczelkami z neoprenu (kauczuku syntetycznego). Technologię, która w przemyśle motoryzacyjnym służyła do montażu szyb w nadwoziu, zaadaptował na potrzeby architektury biurowej. Efekt był zarazem prosty i olśniewający: elewacja bez widocznych śrub i nitów osiągnęła niespotykany wcześniej poziom gładkości.

Pracujący w Londynie amerykański historyk architektury Charles Jencks stwierdził, że późny modernizm dążył między innymi do tego, by stworzyć elewację „izotropową i nieskończoną, zbudowaną z siatki powtarzalnych kształtów, którą można bez końca rozwijać" (*Architektura późnego modernizmu*, przeł. Barbara Gadomska). Żadna tam fasada z oknami. Nie perforowana ściana, lecz ciągła, jednolita błona bez tradycyjnego podziału budynku na masę i otwory, a w konsekwencji na bazę, trzon i zwieńczenie. Im gładsza i bardziej homogeniczna, tym lepiej. Okładzina jak skóra opinająca budynek, *glass skin*. Aby zaznaczyć wyjątkową gładkość elewacji, Jencks używa też sformułowania *slick-tech*.

Obsesji na jej punkcie uległ między innymi Anthony Lumsden, również pracownik Saarinena. Przy projekcie Bell Labs zaproponował Roche'owi odwrócenie słupków trzymających przeszklenie elewacji. W tradycyjnej ścianie kurtynowej (lekkiej konstrukcji, której szkielet wykonany jest zazwyczaj ze stali lub z aluminium, a wypełnienie stanowią na przykład tafle przezroczystego lub matowego szkła, metalowe arkusze etc.) pionowe elementy ramy trzymające szkło – mulliony – wystają na

zewnątrz. Rzucają cień i nadają elewacji rytm. Lumsden zapragnął odwrócić je do środka, żeby nic nie zakłócało gładkiej, lustrzanej powierzchni.

Jednak Roche odrzucił ten pomysł. Chciał gry świateł i cieni, głębi, skali. Uważał, że bez nich powstanie wielka nieokreślona skrzynka o zerowej ekspresji.

Wraz z Lumsdenem w zespole Saarinena pracował równie utalentowany César Pelli. W 1964 roku Daniel, Mann, Johnson and Mendenhall (DMJM), duża firma inżynieryjno-architektoniczna z Los Angeles zaproponowała Pellemu stanowisko dyrektora projektowego. Zgodził się i wziął ze sobą Lumsdena. Dostali zadanie: pomóc wznieść się firmie na wyższy poziom.

DMJM była typowym produktem powojennego Los Angeles: wielkoskalowym i wielobranżowym. Rosła razem z miastem i całym hrabstwem, którego liczba mieszkańców w latach 1940–1960 skoczyła z 2,8 miliona do ponad 6 milionów. W całym hrabstwie Los Angeles działało wówczas ponad 1321 przedsiębiorstw wysokich technologii łącznie zatrudniających 316 tysięcy osób. DMJM projektowała między innymi dla koncernu Lockheed Martin. Przemysł lotniczy i kosmiczny postrzegano tu szerzej niż tylko jako sektor gospodarki – był częścią lokalnej kultury, atmosferą, którą się oddychało na co dzień. Ta sama obsesja doskonałości technicznej, która kazała inżynierom Lockheeda liczyć każdy gram konstrukcji samolotu, wkrótce znalazła wyraz w elewacjach biurowców.

W 1965 roku DMJM otrzymała zlecenie od Federalnej Administracji Lotnictwa Zachodniego Wybrzeża. Instytucja potrzebowała nowej siedziby w Hawthorne, tuż przy lotnisku LAX. Jej projektowanie i realizacja trwały od 1966 do 1973 roku. Ziściło się marzenie Lumsdena: powstał pierwszy w historii architektury budynek obciągnięty kompletną, ciągłą skórą ze szkła lustrzanego. Ba, nie ma nawet tradycyjnych narożników. Zaokrąglone aluminiowe przejścia między elewacjami pozbawiają bryłę stron w klasycznym sensie. Nie ma fasady głównej ani tylnej, nie ma hierarchii elewacji – lustrzana membrana równomiernie owija całą konstrukcję. Dla swojego dzieła Lumsden wymyślił termin *non-gravitational, non-directional*: budynek nie waży ani nie wskazuje kierunku, po prostu trwa i odbija otoczenie.

Zaczął się boom na architekturę szkła lustrzanego. W kolejnych dekadach zdominowała ona centra amerykańskich miast, a stopniowo i cały zachodni świat późnego kapitalizmu. Rodziła się i dojrzewała nie tylko w biurach projektowych i na placach budów. W tym samym czasie, gdy Pelli i Lumsden eksperymentowali z lustrzaną skórą, w galeriach i pracowniach Los Angeles rozwijał się ruch artystyczny, który sięgał po te same materiały i stawiał te same pytania o percepcję, odbicie i granicę między obiektem a otoczeniem.

—

W 1971 ROKU na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles (UCLA) otwarto przełomową wystawę *Transparency, Reflection, Light, Space: Four Artists* (*Przezroczystość, odbicie, światło, przestrzeń: Czworo artystów*). Zdefiniowana tym wydarzeniem nowa estetyka wywarła istotny wpływ na krajobraz amerykańskiej sztuki i architektury. Tytułowi czterej artyści: Peter Alexander, Larry Bell, Robert Irwin i Craig Kaufman zrezygnowali z tradycyjnie rozumianego malarstwa i rzeźby na rzecz obiektów aktywujących przestrzeń. Sięgali po materiały zapożyczone z lokalnego przemysłu lotniczego oraz kosmicznego: tworzywa sztuczne, żywice i szkło powlekane, by badać nieuchwytną relację między materią a percepcją widza.

Bell Labs Holmdel Complex

zdjęcie Wikimedia Commons, Acroterion (CC BY-SA 4.0)

Wśród filarów ruchu Light and Space szczególne miejsce zajmował Larry Bell, twórca szklanych sześcianów o unikatowych właściwościach optycznych – jego kostki były jednocześnie przezroczyste i refleksyjne. Taki efekt dało zastosowanie techniki powłok próżniowych. W materiale z Bell Labs efekt lustra powstawał w środku szkła: między dwiema sklejonymi ze sobą szybami znajdowała się cieniutka warstwa drobinek aluminium, które odbijały światło. W kostkach Bella jest inaczej: na pojedynczą szybę w specjalnej maszynie próżniowej „napylano" z zewnątrz mikroskopijnie cienką warstewkę metalu. Doświadczenie odbiorcy zależało wyłącznie od kąta patrzenia oraz intensywności światła. Obserwator mógł w tym samym momencie dostrzec własne odbicie, wnętrze obiektu oraz to, co znajdowało się za nim. Inny twórca z kręgu Light and Space, Craig Kaufman, uwielbiał nasycony kolor i nieskazitelnie gładkie, zmysłowe powierzchnie z tworzyw sztucznych. Inspirowały go błyszczące karoserie samochodów i deski surfingowe tak charakterystyczne dla kultury południowej Kalifornii.

Twórczość tych artystów wywarła bezpośredni wpływ na świat architektury. Parter gmachu San Bernardino City Hall (1972) Pelli pokrył szkłem mającym identyczne właściwości jak kostki Bella. Tym projektem złożył hołd pracy swojego przyjaciela z Light and Space. Elewacja w równych proporcjach mieszała obraz wnętrza budynku z odbiciem otoczenia i sylwetką przechodnia.

Echa fascynacji pracami artystów najpełniej wybrzmiewają w ikonicznym dziele Pellego – Pacific Design Center (1975) przy Melrose Avenue w West Hollywood. Kenneth Frampton, jeden z najważniejszych krytyków i historyków architektury współczesnej, w analizie Pacific Design Center nie krył podziwu dla tej koncepcji. Uznał, że oddziaływanie struktury, uderzające i niezapomniane, najsilniej objawia się w pełnym słońcu. Kluczem do tego sukcesu są nieprzezroczyste, niebieskie jak morska głębia panele lustrzane typu spandrel, które przykrywają elementy konstrukcyjne budynku, tworząc efekt jednolitej tafli szkła. Tak skonstruowana powierzchnia generuje nieskończone refrakcje i refleksy, więc budynek zdaje się nieustannie zmieniać w oczach obserwatora.

Wizualna skala obiektu wymyka się tradycyjnym standardom, gdyż Pacific Design Center przypomina drapacz chmur wysoki na niemal 260 metrów, lecz położony na boku. Sześciu kondygnacjom budynek zawdzięcza imponującą prezencję, dominuje nad otoczeniem nieprzerwaną ścianą intensywnie niebieskiego szkła, a mimo to – zgodnie z zamiarem Pellego – nie jest ostentacyjny. Błękitną atmosferą samą w sobie złożył bezpośredni hołd kalifornijskim artystom badającym relacje między materiałem, kolorem a percepcją.

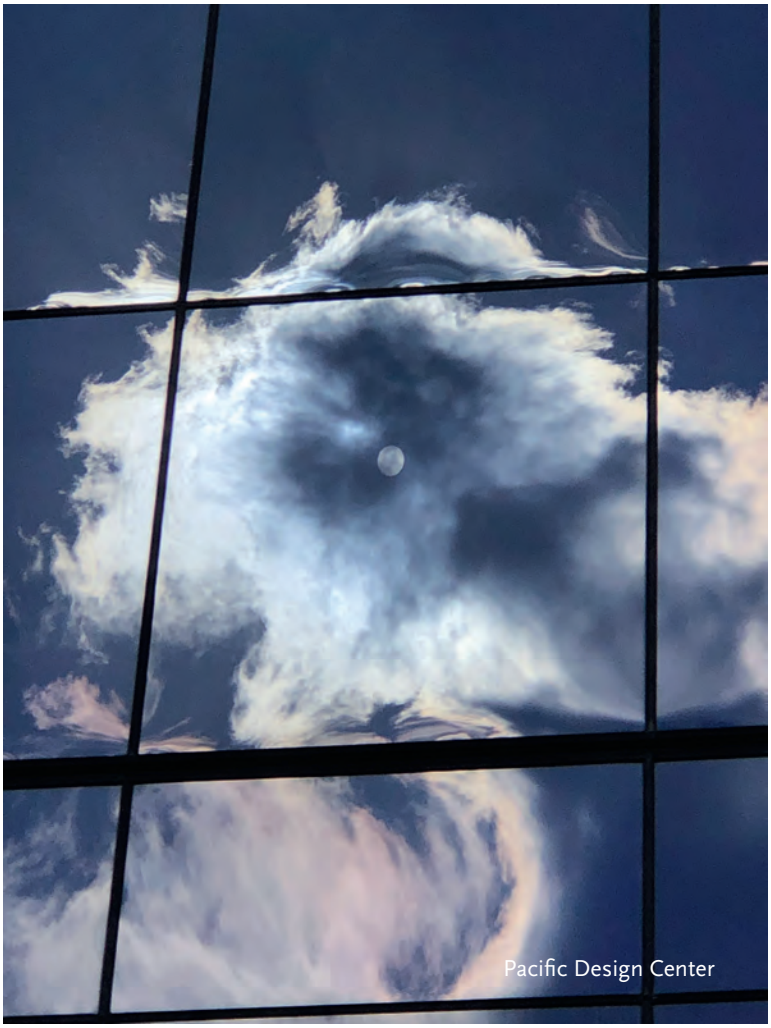

Pacific Design Center

zdjęcie DANIEL PAUL

Co łączyło Pellego i Lumsdena z kalifornijskimi artystami? Przede wszystkim dobór materiałów, obsesyjne poszukiwanie lekkości i twórcza gra refleksów. Wszyscy oni pragnęli formy, która żyje, reaguje na każdą zmianę pogody i zaciera granicę między budowlą a jej otoczeniem. Pelli wielokrotnie podkreślał, że zależy mu, by jego obiekty celebrowały „radość własnej skóry". Wynosił elewacje do rangi autonomicznego dzieła sztuki i lustra rzeczywistości – budynki odbijają zniekształconą rzeczywistość, przez co jednocześnie w niej się roztapiają i są bytem o indywidualnym charakterze.

W ciągu następnej dekady inwestycje korporacyjnego modernizmu na całym świecie podchwyciły koncepcję lustrzanej skóry. Wszędzie tam, gdzie rosło miasto, gdzie korporacja chciała zaznaczyć swoją obecność, pojawiała się nieprzezroczysta, odbijająca otoczenie membrana. W 1976 roku Pelli powie: „Zrobiliśmy architekturę z budynków, które do niej nie aspirowały, dla klientów, którzy wcale jej nie poszukiwali". Przeciwstawiał ją trwałej naturze dawnych monumentów, świątyń, gmachów państwowych. Mimo statystycznej przeciętności zdarzały się jej momenty wzniosłości, co zauważy Daniel Paul w rozmowie opublikowanej w książce *Corporate*

Skincare (*Korporacyjna pielęgnacja skóry*). W historii architektury pojawi się ciekawy paradoks: cały nurt zbyt poważny, żeby go zignorować, i zbyt masowy, żeby go w pełni zaakceptować.

Architekturę wernakularną kojarzymy zwykle z przeciwieństwem globalizacji: z chatą góralską, domem z kamienia pozyskiwanego w najbliższej okolicy, budynkiem, który organicznie wyrósł z miejscowych materiałów, klimatu i tradycji bez udziału wykształconego architekta. „Wernakularna" znaczy lokalna, zakorzeniona, nieprzetłumaczalna na inne miejsca.

Skąd więc to skojarzenie? Otóż architektura szkła lustrzanego spełnia warunki wernakularności, tyle że na innej płaszczyźnie. W ciągu zaledwie kilkunastu lat od swoich narodzin w Los Angeles awansowała na oczywistość: jej budulec i technologia przestały wymagać uzasadnienia. Nie potrzebowała wizji artystycznej. Po prostu służyła za wzór budowania biurowców. Cieśla na Podhalu nie zastanawiał się nad wyborem materiału na chałupę, bo do dyspozycji miał drewno i niewiele więcej. Analogicznie deweloper we Frankfurcie, w Tokio, Warszawie w latach 80. i 90. nie zastanawiał się nad wyborem elewacji. Przy teoretycznej dostępności rozmaitych materiałów wieżowce ze szkła były bezdyskusyjną odpowiedzią. Z grubsza ich ideę rozumiano w każdym zakątku świata, chociaż w zależności od miejsca niosły różne znaczenia.

—

JAK KAŻDY STYL w historii architektura szkła lustrzanego nie powstawała w próżni. Formę i zasięg nadał jej konkretny moment gospodarczy i polityczny.

W Stanach Zjednoczonych recesja z przełomu lat 1969–1970 – rezultat kosztów wojny w Wietnamie oraz rozbudowanych programów społecznych administracji Lyndona B. Johnsona – zapowiadała większe załamanie. Klocki posypały się w 1971 roku, po tym jak Richard Nixon oderwał dolara od parytetu złota. Następnie światowy kryzys naftowy z lat 1973–1975, wywołany embargiem państw należących do Organizacji Krajów Eksportujących Ropę Naftową (OPEC), doprowadził do gwałtownego wzrostu cen energii i destabilizacji gospodarki. Ten najpoważniejszy kryzys gospodarczy od czasów Wielkiej Depresji nie oszczędził żadnego kraju zachodniego ani żadnej dziedziny gospodarki światowej. Stagflacja podważyła dotychczasową wiarę w nieograniczony wzrost i skuteczność powojennego modelu ekonomicznego. Jednocześnie w tamtych okolicznościach zaczęły się formować mechanizmy nowego globalnego porządku gospodarczego. Wizyta prezydenta Nixona w Pekinie w 1972 roku symbolicznie zapoczątkowała polityczne otworzenie się Stanów Zjednoczonych na Chiny i co za tym idzie – przyspieszającą globalizację.

Architektura szkła lustrzanego będzie się rozwijać równolegle do tych przemian i da wizualny język rodzącemu się porządkowi ekonomicznemu. W lustrzanych fasadach powtarzalnych modułów i uniwersalnych form przeglądała się gospodarka coraz bardziej ponadnarodowa, stopniowo odrywająca się od lokalnych wspólnot i konkretnych miejsc.

Apogeum powojennych kryzysów społecznych i gospodarczych zbiegło się z gwałtownym rozwojem technologii informatycznych. W tym samym czasie instytucje zarządzające gospodarką i codziennym życiem społecznym coraz szczelniej okrywały się warstwą szkła refleksyjnego. Z założenia transparentnemu i nowoczesnemu, przyjdzie mu ukrywać złożone mechanizmy finansowe i niezrozumiałe procesy ekonomiczne. Dwie nieprzejrzystości – materialna i finansowa – rozwijały się równolegle, jakby jedna była cieniem drugiej.

Globalny sukces późnomodernistycznej architektury szkła lustrzanego przypieczętowała jej cecha zasadnicza, acz dla użytkowników niezauważalna – bezkonkurencyjna dostępność cenowa osiągnięta dzięki zmianom w konstrukcji. Na życzenie klientów DMJM liczyła każdy wydany cent, więc niskie koszty budowy przebiły każdy argument. Doprowadziło to do fascynującego paradoksu: wieżowce, które stawały się symbolami bogactwa i potęgi technologicznej, postawały za pomocą jednego z najtańszych sposobów budowania nowoczesnego biurowca.

W Polsce lat 90. szkło lustrzane symbolizowało bogactwo i Zachód, do którego chcieliśmy jak najszybciej dołączyć.

—

DO POLSKIEGO KRAJOBRAZU architektonicznego szkło lustrzane zawitało w trakcie transformacji lat 90. W Los Angeles było pragmatycznym rozwiązaniem dla korporacji, które chciały budować szybko, tanio i efektownie. U nas symbolizowało bogactwo, przedsiębiorczość i Zachód, do którego chcieliśmy jak najszybciej dołączyć. Kalifornijski produkt rynkowego pragmatyzmu w Warszawie zyskał status ikony transformacyjnej nadziei. Późnomodernistyczną architekturę szkła lustrzanego Polska zaadaptowała z blisko 30-letnim opóźnieniem w stosunku do trendów światowych. Choć warszawskie wieżowce Oxford Tower (lepiej znany jako Intraco II) i hotel Marriott powstały jeszcze przed upadkiem Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej (PRL-u), z materiałów o pewnym stopniu refleksyjności, dopiero w 1989 roku doczekaliśmy się otwarcia pierwszego obiektu w pełni pokrytego szkłem refleksyjnym.

Błękitny Wieżowiec przy Placu Bankowym w Warszawie rodził się w procesie niezwykle skomplikowanym i nielinearnym. Pierwotna koncepcja zakładała elewację z pasami okien w kolorze miedzi i nazwę Złocisty Wieżowiec. Pod koniec lat 80. inwestycję przejęło jugosłowiańskie konsorcjum Generalexport-Giposs. Nowi

wykonawcy podjęli decyzję o radykalnej zmianie estetyki i zastosowaniu srebrnego szkła refleksyjnego. Zmianę nazwy zdeterminowały nieustanne odbicia nieba w gigantycznym lustrze. Bryła wieżowca wyrasta z rozległej, niemal symetrycznej bazy. Ścięcie narożników pozbawiło budynek ostrych krawędzi i nadało mu prawie obły, trudny do geometrycznego zdefiniowania charakter. W dodatku lustrzana skóra sprawia, że wieża zdaje się znikać w przestrzeni wchłonięta przez obrazy chmur i sąsiedniej zabudowy. Baza z piętrzących się ryzalitów, opakowana tym samym szkłem, nadaje całości formę kryształu o wielu płaszczyznach.

Aleksandra Stępień-Dąbrowska podkreśla, że wymiana elewacji na lustrzaną miała wymiar ideowy: odpowiadała na potrzebę unowocześnienia wieżowca i osłabiała jego dominację nad zabytkowym otoczeniem Placu Bankowego. Wizualne „rozpuszczenie" budynku w atmosferze uczyniło go wyjątkiem pośród drapaczy chmur tamtej dekady, bo one zazwyczaj agresywnie manifestowały swoją obecność w tkance miejskiej. Po transformacji 1989 roku szkło refleksyjne pokryło warszawską Wolę i Aleje Jerozolimskie, mimo to Błękitny Wieżowiec dzierżył palmę pierwszeństwa w radykalności wykorzystania tego materiału jako głównego środka wyrazu artystycznego. Do czasu.

Kilka lat po zakończeniu budowy Błękitnego Wieżowca ogromna lustrzana płyta objawi się na pograniczu dwóch historycznych dzielnic stolicy – Muranowa i Żoliborza. W pionowym prostopadłościanie odbije się na zielono pobliski krajobraz postsocrealistyczny, podzielony na tysiące drobnych prostokątów. Zapędy nowej epoki przejawiły się w sięgnięciu po budynek nienowy. Zmieniono jedynie jego okładzinę, by wpisać ją w bieżące trendy i ambicje warszawskiego skyline'u.

Intraco I powstał w latach 1973–1975 w miejscu, gdzie wojenne zniszczenia pozostawiły niemal pustą przestrzeń. Inwestycję realizowała szwedzka firma BPA na zlecenie Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego „Intraco" – instytucji, która obsługiwała zagraniczne przedstawicielstwa techniczne i handlowe działające w PRL-u. Projektanta, szwedzkiego architekta Petera Diebitscha, wyłoniono w konkursie.

Smukła wieża wyrasta z rozległej bazy. Proporcje ma eleganckie i zdyscyplinowane, przywodzą na myśl Lever House Skidmore Owings and Merrill z nowojorskiego Park Avenue, jeden z kanonicznych wieżowców powojennego modernizmu. Oryginalną elewację pokrywały ponad 483 tysiące płytek ceramicznych projektu Mirosława Duchowskiego. Budynek był szary, poważny, technokratyczny i bezpretensjonalny. Wypisz wymaluj jak szwedzcy biznesmeni w latach 70.

Ceramika szybko zaczęła się sypać. W 1998 roku, na skutek stwierdzenia korozji prętów zbrojeniowych i masowego odpadania płytek, zdecydowano o generalnej wymianie elewacji. Ciemnozielona szklano-aluminiowa ściana kurtynowa nie była zaplanowana jako walor artystyczny. Wynikała z technicznej konieczności. Zmiana elewacji, utrata wyraźnego akcentowania każdego piętra na rzecz jednorodnej tafli zielonego szkła, przemówiła do Warszawy z intensywnością dorównującą artystycznym gestom kalifornijskich artystów z ruchu Light and Space. Promienie wieczornego słońca odbite w zielonej bryle nadawały stolicy quasi-kalifornijski sznyt.

Żadna inna forma budowlana nie zebrała takich cięgów z obu stron żelaznej kurtyny.

Intraco po modernizacji przypomina – proporcjami, filozofią i materiałem – jeden z najsłynniejszych lustrzanych drapaczy chmur na świecie: John Hancock Tower w Bostonie (zaprojektowany przez Henry'ego Cobba z biura I.M. Pei & Partners, 1968–1976). Hancock ma wprawdzie 60 pięter i 241 metrów wysokości – jest niemal dwa razy wyższy od Intraco – ale filozofię oba wieżowce wyznają tę samą: smukła tafla szkła skierowana ku historycznemu placowi została zaprojektowana tak, by zminimalizować jej obecność w przestrzeni – odbija otoczenie zamiast narzucać własny charakter.

Niestety, obecny właściciel Intraco – Polski Holding Nieruchomości – latem 2025 roku zdecydował się wyburzyć wieżę i postawić w jej miejscu nowy biurowiec. Drogę do rozbiórki otworzyła decyzja Mazowieckiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, który w marcu 2026 roku odmówił wpisania wieżowca do rejestru zabytków. Nowy budynek zaprojektowała pracownia FS&P Arcus: pozostawiono tę samą wysokość do dachu, jaką mierzył Intraco I (107 metrów), ale zredukowano liczbę kondygnacji (23 zamiast 39). Otwarcie zaplanowano na 2030 rok.

Rozbiórka wnętrz ruszyła wiosną 2026 roku, po czym nastąpił nagły zwrot akcji: w czerwcu Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego uchyliło decyzję konserwatora. Uznało, że została podjęta na podstawie niewystarczającej dokumentacji, a ogólne uzasadnienie nie pozwala między innymi ocenić aktualnego stanu zachowania obiektu. Jego los został rozstrzygnięty na początku września 2026 roku, gdy konserwator po ponownym rozpatrzeniu sprawy podtrzymał swoją wcześniejszą decyzję: „biurowiec Intraco nie zostanie wpisany do rejestru zabytków. Mimo niewątpliwej wartości historycznej – budynek jako świadectwo aspiracji PRL i śmiała, kontrowersyjna wówczas realizacja urbanistyczna – utrata autentyzmu i integralności substancji zabytkowej przesądziła o odmowie".

—

W TYM ROKU Nagroda Miesa van der Rohego – najważniejsze europejskie wyróżnienie w dziedzinie architektury – trafiła do realizacji, która przeczy logice rozbiórki. Jury uhonorowało siedmioletnią transformację Charleroi

Palais des Expositions w Belgii, dzieło brukselskiej pracowni AgwA. Zamiast wyburzyć i zbudować od nowa, architekci usunęli fasady (otwierając tym samym centralną część budynku na zewnątrz), zachowali konstrukcję, a z wyburzonych elementów zrobili miejskie meble. „Dostaliśmy dowód, że naprawa może być strategią projektową" – napisało jury. Najważniejsze nagrody w Europie przyznaje się dziś za naprawę. U nas 100-metrowe wieżowce się wyburza.

Myśl Ludwiga Miesa van der Rohego – najważniejszego obok Le Corbusiera architekta XX wieku – nakazywała dbać w pierwszej kolejności nie o poszczególne budynki, lecz o relacje między nimi. Proporcje pustki w tkance miejskiej są równie istotne, co gabaryty zabudowy. Dla tej konkretnej lokalizacji Warszawa nie odrobiła lekcji z Miesa: wydała zgodę, by smukły i lekki wizualnie budynek zastąpić bryłą o proporcjach kłody. Dominująca masa jedynie spotęguje panujący w tej części miasta chaos.

Obecna w Warszawie tendencja do wyburzania kolejnych biurowców i zastępowania ich obiektami o topornych proporcjach zapewne w krótkiej perspektywie przyniesie zysk ekonomiczny dzięki zagęszczeniu powierzchni najmu. Inwestycja planowana w tym konkretnym miejscu obnaża jednak szerszy problem natury urbanistycznej. Wyburzenie budynku tej skali nie jest aktem neutralnym. Niewiele bardziej kosztownych środowiskowo decyzji można podjąć w mieście. W każdym obiekcie architektonicznym są uwięzione ogromne ilości wbudowanego śladu węglowego. Produkcja i transport wszystkich materiałów – betonu, stali, szkła, aluminium… – wymagały olbrzymich nakładów energetycznych. Przez wyburzenie zostaną doszczętnie zmarnowane. Cały proces trzeba powtórzyć od początku, by zrealizować nową inwestycję.

Za zachowaniem Intraco przemawiały też względy natury estetycznej i historycznej. Choć rozumiem, że niektórzy żachną się na luksus intelektualny w obliczu decyzji czysto ekonomicznych, będę go bronić. Bo historia architektury, w tym przywołana w tym tekście historia architektury szkła lustrzanego, ma znaczenie.

Intraco łączy estetykę „szklanej skóry" z surową, racjonalną typologią wieżowca płyty (ang. *slab*). On i jego krewniacy mają formę do bólu prostą: pionowy prostopadłościan, neutralny, powtarzalny, niemal ostentacyjnie cichy. Ot, gigantyczne pudełko od zapałek stojące na sztorc pośród miejskiej dżungli.

Surowa sylwetka ma fascynującą historię. W 1952 roku przy nowojorskiej Park Avenue pojawił się Lever House – pierwszy w pełni przeszklony wieżowiec płyta osadzony na rozległej podstawie. Projekt w założeniu tani i funkcjonalny nieoczekiwanie zyskał tożsamość potężnego symbolu nowoczesności.

Błękitny Wieżowiec

zdjęcie ZYGMUNT BORAWSKI

Pozornie „przezroczysta" architektura wywoływała skrajne emocje. W latach 50. radziecka prasa atakowała takie budynki jako wyraz „funkcjonalizmu dla bogatych" i symbol amerykańskiego imperializmu. Zachodni krytycy nie byli łagodniejsi. Norman Mailer pisał z pogardą, że są „martwe jak pusty ekran telewizyjny", a Vincent Scully nazywał je wprost „architektonicznym koszmarem Ameryki". Żadna inna forma budowlana nie zebrała takich cięgów z obu stron żelaznej kurtyny.

Dlaczego to proste pudełko tak drażniło? Klucz do rozwiązania tej zagadki podsuwa wybitny historyk sztuki i teoretyk architektury Stanislaus von Moos: właśnie dlatego, że ten typ wieżowca pozornie nic nie mówi, nie zdobi ani nie jest zdobiony, niczego nie udaje, zaoferował idealną powierzchnię do wyświetlania naszych zbiorowych wyobrażeń. Możemy w niego wpisać wszystko: od marzeń o postępie po lęk przed nieludzką władzą korporacji. Mailer miał rację, że dostaliśmy „pusty ekran", ale niesłusznie przypisał mu brak znaczenia. Właśnie pustka jest jego supermocą.

Jeszcze dalej poszedł w swoich analizach Sigfried Giedion, jeden z ojców współczesnej historii architektury.

W klasycznym dziele *Przestrzeń, czas i architektura* postawił tezę, że wieżowiec płyta jest dla naszej epoki tym samym, czym dla starożytnego Egiptu były monolityczne obeliski, a dla średniowiecza – wieże katedr.

Slab jako dominująca forma biurowa przeszedł do historii wraz z końcem epoki korporacyjnego modernizmu. Warszawa traci jeden z ostatnich okazów tej typologii, a przy okazji smukłość i czystość bryły, proporcje pionowego prostokąta wyrastającego z rozległej bazy wyjątkowe w skali całego miasta. Nikt wprawdzie nie podjął świadomej decyzji o odrzuceniu tej formy jako przestarzałej, ale też nikt nie zadał sobie trudu, żeby zapytać, co ona sobą reprezentuje.

—

MAZOWIECKI WOJEWÓDZKI Konserwator Zabytków Marcin Dawidowicz 9 marca 2026 roku wydał decyzję numer 35/2026 wyrażającą odmowę wpisania Intraco do rejestru zabytków nieruchomych województwa mazowieckiego. Decyzja jest dobrze uzasadniona, zwięzła i – w mojej skromnej ocenie – błędna. Nie dlatego, że urzędnik źle wykonał swoją pracę. Wręcz przeciwnie, wykonał ją wzorowo, według zasad. Tyle że obowiązujące zasady nie przystają do przedmiotu oceny.

Pierwszy argument konserwatora brzmi następująco: wskutek generalnej modernizacji z lat 1998–2000 budynek utracił oryginalną formę, nośnik wartości artystycznych i historycznych, a obecna całkowicie odbiega od pierwotnego projektu. Problem w tym, że to właśnie modernizacja – wymiana rozpadającej się okładziny ceramicznej na szklano-aluminiową skórę kurtynową – uczyniła Intraco obiektem dziś architektonicznie wartościowym. Konserwator uznał za skazę to, co historyk architektury rozpoznaje jako wartość. Naprawa budynku nieoczekiwanie wpisała go w tradycję architektoniczną, której muzea sztuki nowoczesnej poświęcają dziś wystawy, a historycy architektury piszą o niej monografie.

Decyzja konserwatora o odmowie ochrony z powodu „utraty formy" świadczy więc o głębokim niezrozumieniu specyfiki wernakularnej architektury lustrzanej. W Intraco to właśnie „druga warstwa" – lustrzana membrana – niesie wartości, które w połączeniu ze smukłą bryłą tworzą unikat w skali miasta. Broniąc Intraco, bronię konkretnej współczesnej syntezy, która udowodniła, że architektura może pozytywnie ewoluować, zamiast jedynie trwać w niezmienionej, pierwotnej postaci.

W drugim argumencie konserwatora czuć poetycki urok absurdu. Urzędnik powołał się na wytyczne ministra kultury z 2023 roku: „wartościowaniu podlega obiekt w aktualnym stanie zachowania i formie", a „wartość historyczna nieodzwierciedlona w substancji materialnej zabytku nie może być jedyną przesłanką wpisu do rejestru". Doskonałe kryterium do oceny barokowego kościoła, bo tam nośnikiem wartości jest oryginalna polichromia. Wartość wieżowca z lat 70. XX wieku wynika ze skali, z typologii, obecności w pejzażu i miejsca w historii architektury globalnej. Równie dobrze można oceniać jazzowy standard według kryteriów wypracowanych dla chorału gregoriańskiego. Formalnie efekt będzie spójny. Merytorycznie – bez sensu.

Argument trzeci jest najsmutniejszy, bo odsłania logikę systemu, który sam siebie unicestwia. Konserwator zauważył, że Intraco nigdy nie został ujęty w gminnej ewidencji zabytków i „brak jakiejkolwiek ochrony obiektu doprowadził do realizacji prac, wskutek których budynek utracił swoją formę". Czyli: obiekt nie był chroniony, więc go przebudowano; ponieważ go przebudowano, nie zasługuje na ochronę. Koło się zamknęło. System ochrony dziedzictwa wyprodukował warunki do własnej odmowy i odszedł z podniesioną głową, zadowolony

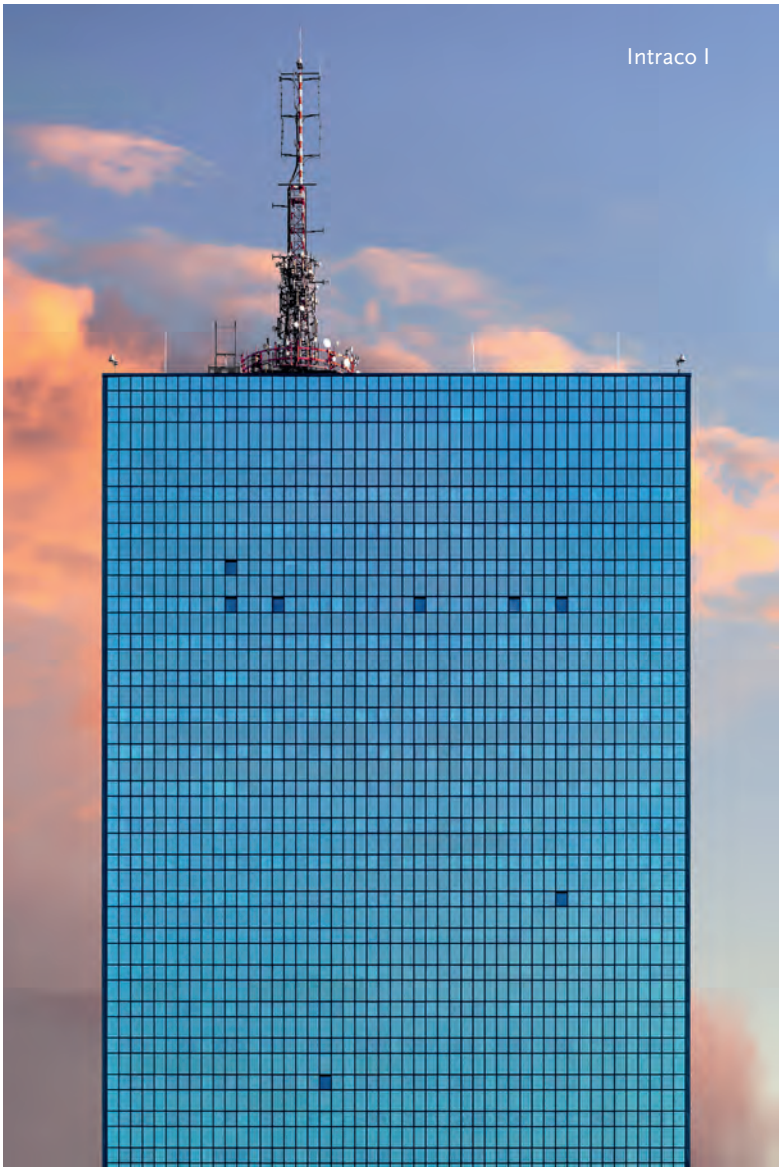
Intraco I

zdjęcie KRZYSZTOF MATERNIA | ARCHISCAPE.PL

z logicznej spójności rozumowania. Zamiast dostarczyć argumentację, konserwator sporządził protokół z wypadku, w którym sprawca ogłasza, że ofiara sama jest sobie winna.

Decyzja konserwatora jest prawnie skuteczna. Jest też intelektualnym świadectwem głębszego problemu: do ochrony dziedzictwa modernistycznego mamy narzędzia zaprojektowane dla innej materii i epoki, dla kościołów i kamienic. Dopóki tego nie zmienimy, będziemy tracić kolejne budynki.

—

POSUNĄŁBYM SIĘ do aktu intelektualnego oportunizmu, gdybym przemilczał największe wady lustrzanych wieżowców i stylu, który reprezentują.

Najcięższym zarzutem jest ontologiczna pustka. Anonimowość, programowa bezduszność i alienująca seryjność tych obiektów nie wynikają z błędów w sztuce – są jej najbardziej swoistymi cechami. Co więcej, budynki te wykazują uderzające podobieństwo strukturalne do logiki systemu ekonomicznego, który tę architekturę zrodził i uczynił swoim globalnym kodem binarnym.

Nieskończoność z matematyki przepełzła do sfery wizualnej: przybrała postać lasu lustrzanych wież w Dubaju, Szanghaju, Warszawie. Budynki-wszędzie-i-nigdzie manifestują całkowitą pogardę dla *genius loci*. Pozbawione cech specyficznych i powielone do skali otoczenia zatracają funkcję miastotwórczą. Anonimowość architektury generycznej nie formuje tożsamości, lecz ją unieważnia, dostarcza sterylnego, neutralnego tła dla nieustannego przepływu transakcji. Pozbądźmy się złudzeń: ta architektura nie jest neutralna światopoglądowo. Zmaterializowała się w niej ideologia wolnorynkowa, która z przestrzeni publicznej czyni prywatny zasób.

Czy powinniśmy obwiniać beton i szkło za grzechy systemu, który je zrodził? Gdybyśmy konsekwentnie stosowali logikę oczyszczania miasta z wykwitów ideologicznych, musielibyśmy w pierwszej kolejności zburzyć Pałac Kultury i Nauki, a tego nikt przy zdrowych zmysłach dziś nie postuluje. Autonomia architektury polega właśnie na zdolności do przetrwania systemów, które ją ufundowały. Gros budynków ma żywot dłuższy niż ich mocodawcy; dają świadectwo przeszłości i wyzwolone z pierwotnego kontekstu służą nowym potrzebom.

Zgadzam się też z Paulem, że ta architektura bywa zdolna do chwil subtelnej wzniosłości. Kiedy wieżowiec stoi w pojedynkę, górując nad dachami niższych budynków niczym diament mieniący się setkami refleksów, rozbija świat na fragmenty, by natychmiast złożyć go z powrotem w abstrakcyjną kompozycję. Paradoksalnie wartość architektury rośnie, jeśli wokół niej nie ma bliźniaczych realizacji.

Uczciwość nakazuje odnieść się też do argumentu ściśle materialnego. Polski Holding Nieruchomości konsekwentnie podnosi kwestię techniczną: konstrukcja zaprojektowana w latach 70. XX wieku nie pozwala dostosować budynku do współczesnych standardów efektywności energetycznej i wymogów instalacyjnych dla nowych biurowców, a możliwości modernizacji zostały wyczerpane. Ten argument należy traktować poważnie, zwłaszcza że Intraco już raz przeszedł gruntowną modernizację, a każda modernizacja ma granice. Rzecznicy budynku – Stowarzyszenie Obrońców Zabytków Warszawy – we wniosku złożonym w imieniu mieszkańców Muranowa do Mazowieckiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków wprost powołują się jednak na John Hancock Tower w Bostonie jako dowód, że lustrzane wieżowce sprzed pół wieku można zachować i modernizować, nie powodując utraty ich wartości. Do podobnych wniosków doszedł Daniel Paul, a na podstawie jego studiów stworzono już odpowiedni dokument, który chroni tego rodzaju budynki w Kalifornii.

Intraco trafi pod kulę wyburzeniową nie z powodu realnej dysfunkcyjności lub uwiądu estetycznego. Rynkowa logika akumulacji kapitału nie toleruje architektury, która osiadła w czasie. W okolicy jest miejsce na kolejne biurowce, a stan techniczny budynku nie wyklucza działań naprawczych. Intraco zawinił niewystarczającą rentownością metra kwadratowego. Zwykłe biura muszą ustąpić pola luksusowym aktywom klasy A. Zamiast renowacji i adaptacji – procesów intelektualnie i technicznie wymagających – system wybiera całkowitą anihilację istniejącej tkanki, by na jej gruzach postawić droższy, ale anonimowy, generyczny i pozbawiony ambicji odpowiednik.

Jest w polskim ciągu niszczenia wartościowych budynków ponury paradoks: dziś, rozprawiając o architektonicznych stratach minionych dekad, które na zawsze pozostawiły wyrwy w katalogu naszych socmodernistycznych pereł, wciąż nie potrafimy znaleźć narzędzi, by podobnych budynków skutecznie bronić. Nie śmiem oczywiście porównywać Intraco do warszawskiego Supersamu czy Pawilonu Chemii, tamte realizacje miały więcej konstrukcyjnej gracji i odwagi formalnej. Znajomość kontekstu narodzin architektury wernakularnej szkła lustrzanego pozwala jednak dostrzec wartości, które akurat w prostocie Intraco wyjątkowo harmonijnie się splatają.

Logika urbanistyczna w Polsce wciąż podąża za pytaniem: czy można zbudować coś większego i bardziej dochodowego? Przypadek Intraco otworzył przestrzeń, by je dopełnić: dlaczego nadal uznajemy niszczenie istniejącej wartości w imię chwilowego zysku za przejaw rozwoju?

Rynkowa logika akumulacji kapitału nie toleruje architektury, która osiadła w czasie.

Więcej na ten temat posłuchasz w audycji *Plac na Rozdrożu* w aplikacji **Radia 357**.

zdjęcie DANIEL OŻGA

Krótka przerwa w podróży *z cyklu* Sportowcy (XV)

EDWARD DWURNIK

farba akrylowa i olejna na płótnie, 1972

Dzięki uprzejmości Fundacji Edwarda Dwurnika

ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA, historyczka sztuki, kuratorka. Autorka audycji *Sztuka mniej obca* o sztuce zagranicznej w Programie 2 Polskiego Radia oraz audioserialu *Wszystko już było*, wyróżnionego w konkursie Podcast Roku 2025. Kuratorka takich wystaw jak *Po co wojny są na świecie. Sztuka współczesnych outsiderów* (MSN) i *Nie jestem już psem* (Muzeum Śląskie w Katowicach).

—

„Wyobraźcie sobie 14 kilometrów od Szprotawy wieś Spomaszówkę Tygielki. I tam jest koło rolnicze z suporeksu, jak trzeba kryte eternitem, z taką rampą, przy tej rampie kartoflisko, gnój już wywieziony i po tym gnoju leci para kochanków w kaloszach, takich szarawarach, szałapytach, takich szmajdochach długich, (...) on i ona leci, nie wiadomo kto on, a kto ona, bo mają takie same waciane czapki na głowie – cyklistówki – i wpadają na tą rampę, bo mają do siebie bardzo wiele jakiegoś dobrego uczucia". Tak zapowiadał wykonanie ballady *O niespełnionej miłości na terenie magazynu kółka rolniczego* jej autor Jacek Kleyff podczas występów legendarnej grupy kabaretowej Salon Niezależnych w 1974 roku. Piosenka to dialog dwojga kochanków, którzy bezskutecznie szukają odpowiedniego miejsca do miłosnych igraszek, utrzymany w konwencji nieporadnej, opartej na trzech akordach, sprośnej przyśpiewki ludowej, umajonej cytatami z PRL-owskiej nowomowy.

„Ćwir ćwir, ćwir ćwir, ma turkaweczko / Ćwir ćwir, ćwir ćwir, zrobię ci dziecko / Ćwir ćwir, ćwir ćwir, a róbże, róbże / Ćwir ćwir, ćwir ćwir, na tej tekturze / Ta tektura się nie nadaje / Bo oblana i dziwnie pachnie / W kącie worki, w workach nasiona / A na workach płachta zielona / Płachta sukna prezydialnego / Nie, nie, nie, nie, nie ruszaj jego (...) Chodź tu, chodź tu, stoi motocykl / O siodełko zaraz się oprzyj / Brudne siodło, sterczy sprężyna / Jeszcze proszę nie rozpoczynać / Muszę, muszę, bardzo się spieszę, gdyż mam zaraz zakładową wycieczkę (...)". Wyliczanka złożona z żółtych rymów kończy się całkowitym fiaskiem miłosnej przygody.

Możemy sobie wyobrazić, że na obrazie Edwarda Dwurnika *Krótka przerwa w podróży* (1972) widzimy tę samą parę, tym razem oderwaną od jej prowincjonalnej codzienności, podczas wycieczki motocyklem do stolicy. W tle widać dźwigi pracujące przy trwającej wówczas odbudowie Zamku Królewskiego. Obraz pochodzi z cyklu *Sportowcy*, w którym Dwurnik w dosadny sposób portretował społeczeństwo epoki Edwarda Gierka, szczególnie zaś przedstawicieli klasy ludowej, z której sam się wywodził.

Artysta jako pierwszy w rodzinie zdobył wyższe wykształcenie. I choć na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych opanował język sztuki wysokiej, w swoim malarstwie świadomie postawił na surowy figuratywny styl, inspirowany sztuką artystycznych samouków, takich jak Nikifor Krynicki. Natomiast z Jackiem Kleyffem i jego kolegami z Salonu Niezależnych, Michałem Tarkowskim i Januszem Weissem, łączy Dwurnika nie tylko wspólnota pokoleniowych doświadczeń i ironiczny zmysł obserwacji rzeczywistości, ale także wystudiowana „niewprawność" wykonania, który to zabieg pozwolił im odmalować siermiężną epokę lat 70. w tak soczystych barwach.

Przy wszystkich powinowactwach stylu i tematyki czuje się jednak, że inteligencki, warszawski Salon Niezależnych komunikuje się z odbiorcami z innego niż Dwurnik miejsca na społecznej drabinie. Wizerunek kochanków i całkowicie przeczące konwencjom miłości romantycznej okoliczności ich (braku) zbliżenia nie tylko ośmieszają system, w którego ramy są wpisane i w który wycelowane było ostrze Salonu, ale są też odbiciem stereotypów dotyczących klasy robotniczej. Tymczasem Dwurnik pisał (w odniesieniu do innego obrazu z cyklu *Sportowcy*, przedstawiającego zaloty dwojga pracowników punktu skupu butelek): „Mówisz, że są brzydcy, ale oni są normalni – ja uważam, że są bardzo ładni".

W swojej twórczości Dwurnik chce być wierny środowisku, w którym się wychował. Nie lukruje jego wizerunku, ale też nie wstydzi się uważanych za plebejskie zachowań, takich jak oddawanie moczu w miejscu publicznym, które widać w *Krótkiej przerwie w podróży*. Bohater tego obrazu nie jest okazem poddanym naszej obserwacji (jak „para eksperymentalna" w epilogu ballady Kleyffa), lecz podmiotem – z uśmiechem patrzy nam prosto w twarz, tak jak w dawnym malarstwie patrzyli na nas królowie. Z kolei kobieta o wielkich dłoniach i w męskim stroju poprawia sobie fryzurę, chce być piękna. Humor, którym podszyty jest ten i są inne obrazy z cyklu *Sportowcy*, nie odbywa się kosztem portretowanych.

MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W WARSZAWIE

Prace Edwarda Dwurnika można zobaczyć w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie na wystawie *Edward Dwurnik. Duma i wstyd* do 28 lutego 2027 roku.

Więcej na **magazynpismo.pl/w-ramach-pisma**

PROZA

Owoce mojej kobiety

tekst HAN KANG
przełożyła JUSTYNA NAJBAR-MILLER

rysunek AGATA BURNAT

—

Był późny maj, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem siniaki na ciele żony. Tamtego dnia na klombie obok biura administracji piwonie wypluwały płatki jak ucięte języczki, a przegniłe kwiaty białego bzu, które opadły na chodnik przy wejściu do klubu seniora, lepiły się do podeszew butów przechodzących ludzi.

Zbliżało się południe.

Na podłogę salonu wlewało się miękkie niczym przejrzała brzoskwinia światło słoneczne, oblepione drobinkami kurzu i pyłkami kwiatów. Ubrany w biały podkoszulek, wygrzewałem plecy w tym ciepławym, słodkomdlącym świetle i w milczeniu czytałem z żoną niedzielne wydanie porannej gazety.

Miniony tydzień był równie męczący co poprzednie.

Zaledwie kilka minut wcześniej wybudziłem się z długiego snu, na który mogłem sobie pozwolić jedynie w dzień wolny od pracy. Leżąc na boku, od czasu do czasu wyginałem ociężałe ciało, by przybrać wygodną pozycję, i z najmniejszą możliwą prędkością przesuwałem wzrokiem po druku.

– Czy możesz na to zerknąć? Nie wiem, dlaczego te siniaki nie znikają.

Niekoniecznie dotarło do mnie znaczenie jej słów, ale zaskoczył mnie głos, który znienacka zakłócił ciszę, spojrzałem więc od niechcenia w kierunku żony.

Usiadłem prosto. Potarłem oczy wewnętrzną stroną dłoni, choć nadal trzymałem w niej gazetę. Na odsłoniętych lędźwiach i brzuchu żony, która uniosła podkoszulek mniej więcej do stanika, widniały całkiem spore sińce.

– Co ci się stało?

Moja żona w milczeniu wykręciła się w lewo i rozsunęła suwak z tyłu plisowanej spódniczki aż do kości krzyżowej. Były tam jasnozielone siniaki wielkości dłoni nowo narodzonego dziecka, wyraźne niczym nadruk na tkaninie. – Hę? Pytałem: co ci się stało? – Mój ostry głos kolejny raz rozdarł ciszę i samotność salonu w naszym sześćdziesięciometrowym mieszkaniu.

– Sama nie wiem… gdzie się tak obtłukłam… Myślałam, że znikną, ale wciąż się powiększają.

– Nie boli? – Nieco złagodziłem ton głosu, bo zrobiło mi się jej żal, gdy wzięła moje wcześniejsze pytanie za reprymendę i szybko uciekła wzrokiem niczym dziecko, którego przewinienie zostało odkryte.

– Boleć nie boli, ale w posiniaczonych miejscach nie mam czucia. Właśnie to mnie najbardziej martwi.

Po minie winowajczyni nie było śladu, a uśmiech błąkający się na twarzy żony nie pasował do tego, co mówiła.

– Czy powinnam pójść do lekarza?

Nagle ogarnął mnie dziwny nastrój i spojrzałem uważnie na jej dziecinną twarz. Wydała mi się obca, jak gdyby nie należała do osoby, z którą czwarty rok z rzędu mieszkałem pod jednym dachem.

Młodsza ode mnie o trzy lata żona skończyła w tym roku lat dwadzieścia osiem. Przed ślubem wyglądała tak dziecinnie, że wstydziłem się iść z nią ulicą – kiedy nie miała makijażu, niektórzy brali ją za uczennicę liceum – ale teraz na jej twarzy wyraźne były ślady zmęczenia, które kłóciło się z niewinnymi rysami. Trudno było wziąć ją za licealistkę czy studentkę. Wprost przeciwnie: wyglądała staro jak na swój wiek. Policzki, które przypominały niedojrzałe, zaczynające się czerwienić jabłka, teraz zapadły się głęboko, jakby odkształciła je czyjaś twarda pięść. Żałośnie wychudła jej giętka jak delikatny kiełek batatu talia, wyszczuplała przyjemna dla oka sylwetka. Szukałem w pamięci, kiedy po raz ostatni w pełnym świetle patrzyłem na nagie ciało żony. Na pewno nie w tym roku, nie byłem nawet pewien, czy w ubiegłym. Jak mogłem nie zauważyć tak głębokich sińców na ciele jedynej osoby, z którą tworzyłem rodzinę? Przez chwilę liczyłem cieniutkie zmarszczki w kącikach jej szeroko otwartych oczu, aż w końcu kazałem żonie zrzucić ubranie. Na jej kościach policzkowych, brzydko odznaczających się na wynędzniałej twarzy, pojawił się rumieniec.

– A jeśli ktoś mnie zobaczy? – zaprotestowała.

W odróżnieniu od innych budynków, z których widać było mieszkania naprzeciwko, loggie w naszym bloku wychodziły na drogę ekspresową Tongbu i rzekę Chungnang. Najbliższy kompleks mieszkalny znajdował się trzy przecznice za nimi, zatem trudno by było coś podejrzeć bez wysokiej jakości teleskopu albo zaglądnąć do salonu mieszkania na dwunastym piętrze, pędząc samochodem drogą szybkiego ruchu. Tak więc, pomijając to, że żona mogła się mnie wstydzić, jej protest nie miał większego sensu. Zaraz po ślubie, w dni wolne od pracy, nawet kilka razy dziennie kochaliśmy się tam nieporadnie do utraty sił. Czyż nie robiliśmy tego przy otwartych na oścież drzwiach i oknach loggii, by znieść sierpniowe upały?

Po jakimś roku nasza miłość nie była już tak nieporadna, ale stopniowo straciliśmy ten entuzjazm, dzięki któremu kochaliśmy się do całkowitego wyczerpania. Żona już wczesnym wieczorem zapadała w wyjątkowo głęboki sen. Gdy późno wracałem do domu, mogłem mieć pewność, że się położyła. Sam otwierałem kluczem drzwi wejściowe, wchodziłem do mieszkania, myłem ręce i stopy, a kiedy przekraczałem próg ciemnej sypialni, miarowy oddech śpiącej żony sprawiał, że czułem się samotny. Gdy przytulałem ją, aby tę samotność ukoić, pogrążona we śnie uchylała powieki i nie odrzucając ani też nie odwzajemniając mojej namiętności, głaskała mnie tylko po głowie, dopóki nie przestałem się poruszać.

– Do naga? Mam się zupełnie rozebrać?

Wykrzywiając usta w grymasie tłumionego śmiechu, uformowała kulkę z bielizny i zasłoniła nią okolice intymne.

Patrzyłem na jej nagie ciało po naprawdę długiej przerwie.

Nie było jednak we mnie żądzy. Na widok jasnozielonych siniaków, które pojawiły się nie tylko na pośladkach, lecz także na bokach, goleniach i po wewnętrznej stronie białych ud, ogarnęła mnie nagła złość, a gdy ta złość minęła, nie wiedzieć czemu poczułem pustkę. Żona była nieostrożna z natury: może wczesnym wieczorem wybudziła się ze snu, nie do końca przytomna wyszła na ulicę i wpadła na jadący wolno samochód albo potknęła się i spadła z nieoświetlonych schodów ewakuacyjnych, a teraz niczego nie pamięta?

– Powinnam pójść do lekarza? – zapytała, stojąc tam bez ruchu i zakrywając oburącz okolice intymne, oświetlona od tyłu światłem słonecznym tamtej późnej wiosny. Wyglądała tak żałośnie, marnie, przygnębiająco, że ogarnęła mnie tkliwość, jakiej naprawdę już dawno nie czułem, i jedyne, co mogłem zrobić, to mocno przytulić to kościste ciało.

Myślałem, że będzie lepiej. Dlatego też tamtego wiosennego dnia, obejmując

HAN KANG, koreańska pisarka i poetka. Autorka powieści, zbiorów opowiadań, esejów i wierszy. Powieść *Wegetarianka* przyniosła jej Międzynarodową Nagrodę Bookera w 2016 roku. W 2024 roku została uhonorowana Literacką Nagrodą Nobla. W Polsce ukazały się także m.in.: *Lekcje greki*, *Nadchodzi chłopiec*, *Nie mówię żegnaj*.

wychudłe ciało żony, wytknąłem jej tylko ze śmiechem:

– Czy pierwszy raz się zdarzyło, że wywróciłaś się i potłukłaś? Nic cię nie boli, więc siniaki też wkrótce znikną.

I zapomniałem zupełnie o wszystkim aż do pewnej nocy wczesnym latem, gdy zaskakująco gorący wiatr tarł lepkim policzkiem o liście wysokich platanów i mrugające wśród nich przekrwione ślepia lamp ulicznych; aż do tamtej chwili, gdy w czasie późnej kolacji siedząca po przeciwnej stronie stołu żona głośno odłożyła łyżkę.

– To trochę dziwne… Spójrz jeszcze raz.

Uniosła odznaczające się pod krótkim rękawem kościste ramiona i jednym ruchem zdjęła koszulkę i stanik.

Z moich ust wydobył się krótki jęk.

Siniaki, które wiosną miały wielkość dłoni nowo narodzonego dziecka, rozrosły się niczym pokaźne liście kolokazji. W dodatku ściemniały. Przybrały ziemistozielony odcień, podobny do tego, jaki z nastaniem lata przyjmują jasnozielone wiosenną porą gałęzie wierzby płaczącej.

Wyciągnąłem drżącą rękę i pogłaskałem posiniaczone ramiona żony, jak gdybym dotykał ciała obcego człowieka. Jakże boleśnie trzeba się uderzyć, by pojawiły się takie ślady?

Tego dnia jej twarz była sina jak ołów. Włosy, kiedyś pełne blasku, stały się matowe niczym zasuszone liście białej rzodkwi. W białkach oczu dało się dostrzec delikatny odcień indygo, a nadzwyczaj czarne na ich tle źrenice były wilgotne i lśniące.

– Co się ze mną dzieje? Wciąż tylko ciągnie mnie na zewnątrz, a kiedy wyjdę… Gdy czuję na sobie promienie słońca, nabieram ochoty, żeby się rozebrać. Tak jakby ciało pragnęło uwolnić się od ubrania.

Podniosła się z krzesła po przeciwnej stronie stołu: jej nagi tułów był taki chudy, że wyglądało to dość dziwacznie.

– Przedwczoraj zrzuciłam z siebie ubrania, wyszłam na loggię i stałam tam przez chwilę obok suszarki na pranie. Bez najmniejszego wstydu… Ktoś mógł mnie przecież zobaczyć… Jak zupełna wariatka.

Nerwowo przesuwając palce po krawędzi pałeczek, patrzyłem na zbliżające się do mnie kościste ciało.

– Nie czuję też głodu. Za to wody piję o wiele więcej… Pół miseczki ryżu dziennie to dla mnie za dużo. Jem tak mało, że mój żołądek przestaje chyba wydzielać soki.

Zmuszam się do jedzenia, ale nie mogę go przetrawić i ciągle wymiotuję.

Ciężko padła na kolana i ukryła twarz w moich udach. Czyżby płakała? Spodnie od dresu nasiąkły mi czymś wilgotnym.

– Wiesz, jak się czuje człowiek, który kilka razy dziennie wymiotuje? Jakby miał chorobę lokomocyjną, choć stoi na twardym gruncie: nie może wcale iść prosto. Głowa… Oko mnie boli, jak gdyby ktoś w nim wiercił. Ramiona sztywnieją mi jak drewniane kloce, w ustach zbiera się ślina, żółte soki żołądkowe lądują na płytach chodnika, na pniu przydrożnego drzewa…

Psująca się świetlówka brzęczała jak insekt. W jej ciemnym świetle widać było posiniaczone plecy żony, która zagryzając usta, starała się stłumić odgłos łkania.

– Wybierz się do lekarza – powiedziałem, ujmując w dłonie jej twarz. – Idź jutro prosto do internisty.

Twarz żony napuchła od płaczu. Przeczesałem palcami jej matowe jak liście rzodkwi długie włosy i uśmiechnąłem się szeroko, pokazując zęby.

– I uważaj trochę, kiedy wychodzisz z domu. Jak mogłaś się nabawić takich siniaków? Nie jesteś przecież małą dziewczynką.

Mokre od łez usta rozchyliły się bezsilnie, a na zapłakanej twarzy pojawił się uśmiech.

Czy moja żona z natury dużo płakała? Wcale nie. Miała dwadzieścia pięć lat, gdy po raz pierwszy rozpłakała się przy mnie, skarżąc się, że nie chce mieszkać w bloku w dzielnicy Sanggye-dong. Przed ślubem często się śmiała, a jej głos był pogodny, tak jakby cichy śmiech rozświetlał go od spodu niczym jasne tło. Ten dojrzały i spokojny w porównaniu z dziecinną twarzą głos zadrżał po raz pierwszy, gdy żona przedstawiała swój punkt widzenia.

– Wydaje mi się, że powoli uschnę, jeśli przyjdzie mi żyć w miejscu, w którym ciśnie się siedemset tysięcy ludzi. Odstręczają mnie setki, tysiące identycznych budynków, takie same kuchnie, sufity, toalety, wanny, loggie i windy. Nie cierpię parków, placów zabaw, sklepów ani przejść dla pieszych.

– Dlaczego nagle zachowujesz się tak dziecinnie? – Słuchałem w milczeniu, większą wagę przywiązując do miękkości jej głosu niż do samej treści, po czym odezwałem się, jakbym uspokajał małe dziecko: – Nigdy tam nie mieszkałaś, skąd więc masz taką pewność? Co ci przeszkadzają miejsca, w których jest dużo ludzi?

Z nieco surową miną spojrzałem w jej oczy. Dobre oczy.

– Ależ zawsze specjalnie wynajmowałam kawalerki w popularnych rejonach. Przeprowadzałam się tam, gdzie tłoczą się ludzie i dudni głośna muzyka, gdzie pełne chaosu ulice wypełnia dźwięk klaksonów. Nie potrafiłam wytrzymać nigdzie indziej.

W jej dobrych oczach zakręciły się niespodziewanie łzy i jedna stoczyła się po policzku.

– Nie umiałam mieszkać w izolacji.

Otarła tę łzę wnętrzem dłoni, a potem ścierała kolejne, płynące jedna za drugą, jak gdyby myła twarz.

– Czuję, że w takim miejscu mogę tylko podupaść na zdrowiu i umrzeć. Że nie będę mogła nawet zejść z dwunastego piętra. Że nie uda mi się stamtąd uciec.

– Czemu opowiadasz takie straszne rzeczy? W głowie się nie mieści, naprawdę.

Kiedy jednak w końcu zamieszkaliśmy w bloku w Sanggye-dong, faktycznie przez pierwszy rok często łapała infekcje. Przyzwyczajona do niskiej temperatury, jaka panowała w górzystych, zabudowanych lichymi domkami rejonach Seulu, gdzie wynajmowała kawalerkę, nie mogła przystosować się do centralnego ogrzewania w wielkich blokach mieszkalnych. Szybko osłabło jej niebywale sprawne ciało, przywykłe do wspinania się stromą drogą do wydawnictwa, w którym pracowała za niewielką pensję.

Nie zrezygnowała jednak z pracy dlatego, że się pobraliśmy. Najpierw się zwolniła, a wkrótce potem podjąłem temat małżeństwa. Myślała wówczas o tym, żeby wyjechać z Korei za pieniądze zaoszczędzone z pensji, odprawę z wydawnictwa i wynagrodzenie za udzielane w weekendy ze dwie prywatne lekcje.

Powiedziała mi kiedyś: „Chcę wyjechać, napełnić żyły świeżą krwią". Było to wieczorem tamtego dnia, kiedy wręczyła szefowi wypowiedzenie, które przez dłuższy czas nosiła w torebce. Wyznała, że chce wymienić zapychającą jej żyły, chorą krew, że chce oczyścić zniszczone płuca powietrzem wolności. Że od dzieciństwa marzyła o tym, by żyć,

ciesząc się wolnością, i by umrzeć jako wolny człowiek; że ciągle odkładała to na później ze względu na okoliczności, ale teraz uzbierała pewną sumę i stała się bardziej pewna siebie, więc może w końcu zacząć to realizować. Że po wyjeździe zatrzyma się w jednym kraju na sześć miesięcy, potem pojedzie do innego i po kilku miesiącach znowu ruszy dalej.

– Koniecznie muszę to zrobić – powiedziała, śmiejąc się cicho. – Chcę wyjechać na koniec świata. Jak najdalej stąd, na drugą stronę kuli ziemskiej, etapami.

Zamiast jednak wyjechać na koniec świata, moja żona przeznaczyła te niezbyt pokaźne fundusze na depozyt wymagany przy wynajmie mieszkania i wydatki związane ze ślubem. „Ostatecznie nie potrafiłabym się z tobą rozstać" – krótko podsumowała swoją decyzję.

W jakim stopniu wolność, o której marzyła, była dla niej możliwa do urzeczywistnienia? Uznałem, że nie jest aż tak istotna, skoro tak łatwo z niej zrezygnowała. Plany żony postrzegałem jako dziecinne mrzonki, nierozsądne, romantyczne fantazje. Czułem się nieco wzruszony i dumny, kiedy doszedłem do wniosku, że w końcu to sobie uświadomiła i możliwe nawet, że miałem w tym swój udział.

Robiło mi się jednak ciężko na sercu, gdy już po przeprowadzce, prawdopodobnie z powodu częstych chorób, zwieszała wąskie ramiona niczym zwiędnięte liście kapusty pekińskiej i spoglądała na pędzące ulicą samochody z policzkiem przyklejonym do szklanych drzwi loggii. Stała tam, oddychając prawie bezgłośnie, jak gdyby krępowały ją czyjeś przezroczyste ramiona, a niewidzialne łańcuchy i żelazna kula nie pozwalały na najmniejszy ruch. Jej ciało drżało, gdy w środku nocy albo o świcie wyrywał ją ze snu ryk motocykli albo taksówek, które pędziły z nadmierną prędkością po pustych ulicach. Mówiła, że czuje, jakby to nie samochody pędziły, ale ulica biegła w dal, a razem z ulicą przemieszczał się także ten dom. Dopiero kiedy cichł dźwięk silników, ponownie zapadała w letargiczny sen, a jej urocza twarz była blada niczym twarz zmarłego.

– Skąd one wszystkie jadą? – zapytała pewnego dnia ochrypłym głosem, prawie niedosłyszalnie, jakby nadal śniła. – Dokąd tak pędzą?

Kiedy następnego wieczoru otworzyłem drzwi wejściowe i wszedłem do środka, żona, która najwyraźniej kręciła się po salonie i usłyszała moje kroki, wyszła mi naprzeciw. Zupełnie bosa, bez kapci czy skarpetek. Jej białe paznokcie były tak długie i wywinięte, że wymagały obcięcia.

– Co powiedział ci lekarz?

Nie odpowiedziała. W milczeniu patrzyła, jak zdejmuję buty, po czym odgarnęła za ucho pozbawiony blasku kosmyk włosów, który opadł jej na policzek, i odwróciła głowę w bok.

„Ten sam profil", pomyślałem. Jak wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Mój starszy kolega z pracy, który odgrywał rolę swata, opuścił nas dość późno, potem przez

chwilę siedzieliśmy w milczeniu, a tajemniczy wyraz jej twarzy wprawił mnie w konsternację. Patrzyła takim wzrokiem, jakby wędrowała po odległych lądach, ale nikomu jeszcze nie wyznała, gdzie to było. W pogodnej i uroczej do tej pory twarzy dostrzegłem nagle samotność, która zdawała się udziałem kogoś zupełnie innego, i sądziłem, że mnie zrozumie. „Przez całe życie byłem samotny" – wyznałem, wykorzystując odwagę, jaką daje upojenie alkoholowe, a żona, która miała wówczas dwadzieścia pięć lat, w dalszym ciągu wpatrywała się w tamte odległe lądy przejmująco smutnym, zimnym wzrokiem.

– Poszłaś do przychodni?

Nadal patrząc w bok, nieznacznie przytaknęła ruchem głowy. Czy odwróciła ją, żeby ukryć przede mną brzydką cerę? Albo się o coś gniewa?

– Porozmawiajmy. Co powiedział lekarz?

– Że wszystko jest w porządku – odparła, jak gdyby brała głęboki oddech. Jej głos był przerażająco spokojny. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, to właśnie jej głos najbardziej przypadł mi do gustu. Może to bezsensowne porównanie, ale przyszło mi do głowy, że przypomina pracowicie pokryty laką, nabłyszczany stolik, na którym podaje się ciastka. Traktowany z troską wytworny stoliczek, który wystawia się dla wyjątkowych gości, na którym pragnie się postawić najlepszą herbatę i najlepszy serwis. Moje nieśmiałe wyznanie najwyraźniej jej nie poruszyło i tym samym opanowanym głosem odparła po prostu: „Chcę przeżyć życie bez zapuszczania korzeni".

Wtedy zacząłem opowiadać o roślinach. Że marzę o tym, by w swoim mieszkaniu w loggii umieścić spore donice, zasiać w nich cebulę, sałatę, dziki sezam. Że w lecie rozkwitną tam białe jak śnieg kwiaty szałwii. Zapatrzyła się we mnie, jakby ta cała historia o ziołach i warzywach zupełnie do mnie nie pasowała, i dopiero kiedy dodałem, że w kuchni można by uprawiać również kiełki soi, niewyraźnie się uśmiechnęła. Uczepiwszy się kurczowo tego słabiutkiego, niewinnego uśmiechu, wyznałem raz jeszcze: „Przez całe życie byłem samotny".

Po naszym ślubie zgodnie z planem ustawiłem w loggii donice, ale żadne z nas nie miało ręki do roślin. Myślałem, że warzywa wystarczy podlewać i będą bujnie rosły, ale nie wiedzieć czemu powoli usychały i ani razu nie doczekaliśmy się plonów.

Ktoś orzekł, że dzieje się tak dlatego, że w mieszkaniu położonym na tak wysokim piętrze brakuje energii ziemi, ktoś inny twierdził, że winna jest zła woda i zanieczyszczone powietrze. Zarzucano nam również, że za mało się staramy, ale nie była to prawda. Żona traktowała rośliny z niespodziewanym oddaniem. Kiedy usychała siewka sałaty albo sezamu, przez połowę dnia chodziła przygnębiona, a kiedy siewka zdawała się ożywać, nuciła pod nosem radosną piosenkę.

Niezależnie od przyczyny w loggii pozostały tylko prostokątne donice wypełnione wyschniętą ziemią. Gdzie są teraz tamte uschnięte zioła i warzywa? Gdzie przepadł czas mojej młodości, kiedy w zasnute chmurami dni ustawiałem doniczki na parapecie, mocząc dłonie w strugach zimnego deszczu?

Pewnego razu, kiedy tak robiłem, żona spojrzała na mnie i zaproponowała:

– Wyjedźmy gdzieś daleko, ty i ja.

W odróżnieniu od warzyw, które przynajmniej na chwilę odzyskiwały siły w strumieniach życiodajnej wody, zdawała się przygnębiająco więdnąć.

– Przytłacza mnie to miejsce. Nawet katar i flegma są tutaj czarne jak smoła.

Wyciągnęła na chwilę wychudłą dłoń nad liście sałaty, aby zaczerpnąć trochę deszczu, lecz zaraz potem strząsnęła deszczówkę na zewnątrz budynku.

– Ten deszcz jest brudny. – Spojrzała na mnie, szukając potwierdzenia. – Rośliny też odżyły tylko na chwilę. Jej głos był pełen wrogości jak u pijanego człowieka, który krzyczy w knajpie, że kraj zupełnie zszedł na psy.

– Jak mogłyby tu wyrosnąć? W tak hałaśliwym miejscu… Duszą się tu z nami jak więźniowie!

Czułem, że dłużej nie wytrzymam. – Co cię tak bardzo przytłacza?

Nie mogłem już znieść ani jej nadwrażliwości, lekkomyślnie niszczącej mój krótki i niepewny okres szczęścia, ani jej kościstego ciała, w którym – jak sama się wyraziła – płynęła chora krew pełna melancholii.

– No powiedz! – Chlusnąłem jej w twarz zaczerpniętą w dłonie deszczówką. – Co za hałas ci przeszkadza?

Cichy jęk wydobył się z jej ust, gdy przestraszona ocierała twarz. Gwałtownie zamierzyła się mokrą ręką.

Zimne krople chlapnęły na szybę, na moją twarz. Doniczka stojąca na parapecie uderzyła mocno w stopę żony i stoczyła się na podłogę. Odłamki doniczki oraz grudy ziemi posypały się na jej ubranie i bose stopy. Ona sama zgięła się wpół i ściskając bolącą stopę, przygryzła dolną wargę.

Jeszcze przed ślubem miała w zwyczaju przygryzać dolną wargę, kiedy złościłem się i krzyczałem. Przez chwilę zagryzała usta, a kiedy tylko uporządkowała myśli, punkt po punkcie przedstawiała mi swoje racje. Po tamtym incydencie przestała jednak cokolwiek tłumaczyć. Od tamtego dnia nie kłóciliśmy się ani razu.

– Lekarz powiedział, że nic się nie dzieje?

Poczułem się bardzo zmęczony i samotny. Zdjąłem marynarkę, ale nie wzięła jej ode mnie.

– Nie zauważył odchyleń od normy – odparła krótko. Jej głowa była nadal odwrócona w bok.

Z dnia na dzień robiła się coraz bardziej małomówna. Przestała inicjować rozmowy, a kiedy o coś pytałem, jedynie przytakiwała albo kręciła przecząco głową. Kiedy krzyczałem, żeby odpowiedziała… patrzyła tylko w innym kierunku, jakby nie wiedziała, co odrzec. Nawet w mdłym świetle jarzeniówki można było wyraźnie dostrzec, że jej cera staje się niezdrowa.

Jeśli badanie lekarskie nie wykryło nieprawidłowości, musiała cierpieć raczej psychicznie niż fizycznie. Co ją jednak, do licha, tak dręczyło?

Ostatnie trzy lata były najprzyjemniejszym i najspokojniejszym okresem mojego życia. Praca nie wydawała się ani wyczerpująca, ani banalnie prosta, właściciel mieszkania nie żądał na szczęście większego depozytu, mieliśmy już prawie zebrany wkład własny na nowe mieszkanie, a żona była mi oddana, nawet jeśli nie starała się być czarująca – to wszystko koiło moje zmęczone ciało jak gorąca woda wypełniająca po brzegi odpowiednio podgrzaną wannę. Co właściwie gnębi moją żonę? Nie potrafiłem zrozumieć, jakie cierpienie mogło spowodować tak silne zaburzenia natury psychicznej. Za każdym razem, kiedy dopadały mnie wątpliwości, dlaczego i jakim prawem ta kobieta czyni mnie tak samotnym, bezgraniczna odraza odkładała się we mnie warstwami niczym kurz.

W niedzielę rano, zanim wyjechałem na tydzień w podróż służbową, dosłownie zaparło mi dech, gdy zobaczyłem na loggii żonę strzepującą pranie: jej ręce niemal w całości były pokryte sińcami, tak że za plamy można było uznać białe miejsca, w których nie doszło do przebarwień. Gdy weszła z powrotem do salonu, tuląc pusty pojemnik na pranie, zaszedłem jej drogę i kazałem się rozebrać. Opierała się, ale kiedy zdjąłem jej bluzkę, zobaczyłem ciemne, ziemistozielone ramiona.

Zrobiłem chwiejny krok do tyłu i przeszyłem ją wzrokiem. Liczne włosy pod jej pachami przerzedziły się o połowę, a brązowe sutki, niegdyś delikatne i miękkie, odbarwiły się na biało.

– Tak być nie może, muszę zadzwonić do twojej matki.

– Nie, nie dzwoń do niej! Sama to zrobię! – krzyknęła pośpiesznie. Jej mowa była niewyraźna, jakby żona gryzła się w język.

– Masz iść do lekarza. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Do dermatologa. Albo nie. Idź do szpitala.

Skinęła głową.

– Wiesz, że jestem zajęty i nie mogę pójść z tobą, chociaż tego chcę. Znasz swoje ciało, więc czy to nie ty powinnaś o siebie zadbać?

Znowu skinęła głową.

– Poproś swoją matkę, żeby przyjechała. Posłuchaj mnie. Przygryzając usta, ciągle kiwała głową. Czy aby rozumiała, co do niej mówię? Nagle usłyszałem odgłos swych niesłuchanych przez nikogo słów, które rozsypały się na podłodze salonu jak okruchy tanich ciastek.

Drzwi windy ze zgrzytem prawie się zamknęły, jednak ostatecznie otwarły się na oścież. Wlokąc nielekką walizkę, udałem się na sam koniec ciemnego korytarza i nacisnąłem dzwonek. Żadnej reakcji.

Przystawiłem ucho do chłodnych żelaznych drzwi. Zadzwoniłem drugi, trzeci, czwarty raz, sprawdzając, czy słychać jego dźwięk: zdawał się dobiegać z bardzo daleka. Oparłem walizkę o drzwi i spojrzałem na zegarek. Była ósma wieczorem. Wprawdzie moja żona kładła się wcześnie i miała twardy sen, ale ten brak odzewu wydał mi się dziwny.

Byłem wykończony. Nie jadłem nawet kolacji. Chciałem przynajmniej raz nie musieć samemu otwierać drzwi. Pomyślałem, że może zgodnie z tym, co jej poradziłem, wybrała się z teściową do szpitala albo pojechała do swojej rodziny. Jednak gdy tylko dostałem się do środka, od razu zauważyłem, że jej jedyna para wyjściowych butów, a także trampki i kapcie leżą porozrzucane w przedpokoju.

Gdy zdejmowałem buty, poczułem, że w domu jest niezwykle zimno. Włożyłem kapcie, ale zanim zdołałem zrobić kilka kroków, dotarł do mnie ohydny zapach. Otworzyłem lodówkę – psuły się w niej wyschnięte, powykręcane dodatki do ryżu, między innymi te z cukinii i ogórków. W ryżowarze zostało mniej więcej pół miseczki ryżu, który zdążył zaschnąć; w moje nozdrza wdarł się jego nieświeży zapach zmieszany

z resztką gorącej pary. Naczynia leżały nieumyte. W stojącej na pralce plastikowej miednicy cuchnęło gnijące pranie, zanurzone w popielatych mydlinach.

Żony nie było w sypialni, w łazience ani w pomieszczeniu gospodarczym. Głośno zawołałem ją po imieniu. Bez odpowiedzi. W salonie tu i ówdzie poniewierały się różne przedmioty: poranna gazeta otwarta tam, gdzie ją czytałem przed wyjazdem, pusty półlitrowy karton po mleku, szklanka, na której zastygły jego krople, ściągnięta przez żonę i przewrócona na lewą stronę biała skarpetka, czerwony portfel ze sztucznej skóry.

Za oknem pędziły samochody, a nieprzyjemny odgłos ich silników wcinał się ostro w wypełniającą mieszkanie bryłę ciszy i osamotnienia.

Poczułem się sam jak palec, bo byłem głodny i zmęczony, a naczynia pleśniały w zlewie i nie została nawet jedna czysta łyżka. Bo wróciłem z daleka, a w domu nikogo nie było, bo chciałem opowiedzieć o różnych błahych sprawach, które się wydarzyły w czasie długiego lotu, i o widokach oglądanych z okna pociągu za granicą, bo nikt mnie nie pytał: „Jesteś zmęczony?", bo nie mogłem odpowiadać cierpliwie i niezłomnie: „Wszystko w porządku". Byłem samotny, więc ogarnął mnie gniew. Bo poczułem, że jestem nic niewart i nic na świecie nie chce do mnie przylgnąć, bo przeniknął mnie chłód, którego nie może powstrzymać żadne ubranie, bo uświadomiłem sobie, że ukrywałem przed sobą coś oczywistego: że nic i nikt nie może mnie pocieszyć. Jeśli jestem sam i nikt mnie nie kocha, to zupełnie jakbym nie istniał.

Właśnie w tym momencie do moich uszu dotarła niewyraźna odpowiedź. Obróciłem się w kierunku, z którego dobiegał dźwięk. Był to głos mojej żony. Od strony loggii usłyszałem niezrozumiałe mamrotanie.

– Skoro tam jesteś, czemu się nie odezwałaś? Ciężkim krokiem podszedłem do loggii. Przytłaczające poczucie osamotnienia w jednej chwili zmieniło się w ulgę, ale gdy otwierałem drzwi, na usta cisnęły mi się ostre słowa.

– Tak się opiekujesz domem? Jak ty, do licha, żyłaś do tej pory?

I wtedy ujrzałem jej nagie ciało.

Z wyciągniętymi wysoko ramionami klęczała zwrócona w stronę żelaznych krat loggii. Jej ciało było ciemnozielone. Zielonkawa wcześniej twarz połyskiwała niczym listowie wiecznie zielonego drzewa. Włosy, przypominające niegdyś zasuszone liście białej rzodkwi, mieniły się teraz blaskiem niczym źdźbła pełnej wigoru trawy.

W zielonej twarzy błyszczały niewyraźnie oczy. Kiedy zrobiłem krok do tyłu, usiłowała dźwignąć się w moją stronę. Jej nogi uginały się jednak od spazmatycznych skurczów i najwyraźniej nie mogła już stać ani chodzić. Ruchem pełnym cierpienia przechylała giętką talię na prawo i lewo. W intensywnie zielonych ustach drżał jak wodna roślina atroficzny język.

Po zębach nie został już nawet ślad.

– Wody… – Z jej pokrytych białymi cętkami, ściągniętych ust wyciekło tylko to słowo, przypominające jęk. Jak opętany rzuciłem się w stronę zlewu.

Napełniłem wodą plastikową miskę. Chlapiąc na podłogę w salonie, popędziłem z powrotem do loggii. Jak tylko wylałem wodę na piersi żony, jej ciało ożyło, drżąc niczym liść ogromnej rośliny. Jeszcze raz napełniłem miskę i tym razem oblałem wodą włosy żony. Uniosły się gwałtownie niczym w tańcu. Patrzyłem na jej błyszczące zielone ciało rozkwitające na nowo w strugach wody, w niedowierzaniu kręcąc głową.

Moja żona nigdy wcześniej nie była taka piękna.

—

MATKO!

Nie jestem już w stanie do ciebie pisać. Nie mogę wciągnąć swetra, który tu zostawiłaś. Fioletowego wełnianego swetra, którego zapomniałaś, gdy byłaś z wizytą zeszłej zimy.

Dzień po jego wyjeździe w podróż służbową od rana miałam dreszcze, więc włożyłam właśnie ten sweter. Miał zapach zleżałego jedzenia i twojej skóry. Kiedy indziej pewnie bym go najpierw wyprała, ale było mi bardzo zimno, a poza tym chciałam jak najdłużej czuć ten zapach, więc po prostu wciągnęłam sweter i zasnęłam. Gorączka trawiła mnie aż do świtu następnego dnia, byłam tak bardzo zziębnięta i spragniona, matko, a kiedy w końcu rano przez okno sypialni wpadły promienie słońca, cicho zapłakałam. Chciałam, żeby to ciepłe światło wniknęło trochę głębiej, dlatego wyszłam na loggię

i zrzuciłam ubranie. Przenikające moją nagą skórę promienie przypominały twój zapach, więc uklękłam i wciąż cię przywoływałam.

Ile czasu mogło upłynąć? Ile dni, tygodni, miesięcy? Wydawało mi się, że na dworze robi się gorąco, ale upał niepostrzeżenie się skończył i stopniowo nadchodzi coraz większy chłód.

Okna dalekich mieszkań po przeciwnej stronie rzeki Chungnang rozbłysły już pewnie na pomarańczowo. Czy widzą mnie ludzie, którzy tam mieszkają? Czy widać mnie z samochodów, które pędzą drogą ekspresową i omiatają jezdnię światłami? Jak teraz wyglądam?

Traktuje mnie z niezwykłą życzliwością. Zdobył ogromną donicę, w której mnie posadził. W niedziele siada na progu i do południa wyłapuje mszyce. Pamięta, że nie cierpię kranówki, i chociaż w przeszłości był zawsze tak zmęczony, teraz co rano wspina się na górę za blokiem, by zaczerpnąć źródlanej wody do kanistra i podlać moje nogi. Jakiś czas temu kupił dla mnie porcję świeżej, żyznej ziemi i wymienił podłoże. I skoro świt otwiera okna oraz drzwi wejściowe, żeby przewietrzyć mieszkanie, gdy padający w nocy deszcz oczyszcza po długim czasie miejskie powietrze.

Czy to nie dziwne, matko? Chociaż nie słyszę i nie widzę, nie czuję zapachu ani smaku, odbieram teraz wszystko o wiele intensywniej. Pęd ślizgających się gwałtownie po drodze samochodów, nieznaczny odgłos jego kroków, kiedy otwiera drzwi i się do mnie zbliża, powietrze wilgotne od żyznych snów przed deszczem, siwy blask zamglonego o świcie nieba.

Czuję, jak blisko i daleko rośliny kiełkują i wypuszczają liście, jak lęgną się gąsienice, jak psy i koty rodzą młode, jak nierówny jest puls staruszków w sąsiednim budynku, jak w kuchni piętro wyżej gotuje się w garnku szpinak, jak ktoś piętro niżej wkłada bukiet ściętych w talii chryzantem do glinianego słoja ustawionego na gramofonie. We dnie i w nocy gwiazdy rysują giętkie parabole, a za każdym razem, kiedy wschodzi słońce, przydrożne platany żarliwie nachylają ciała w jego stronę. Również moje ciało wyciąga się w tym kierunku.

Czy potrafisz mnie zrozumieć? Wiem, że niedługo mogę przestać myśleć, ale to nic nie szkodzi. Od dawna marzyłam o tym, by do życia potrzebne były mi wyłącznie wiatr, słońce i woda.

Przypominam sobie dzieciństwo. Ten apetyczny zapach, kiedy wbiegałam do kuchni i chowałam twarz w twojej spódnicy. Zapach oleju sezamowego, prażonych nasion sezamu. Dłonie miałam zawsze ubabrane ziemią. Brudziłam nimi rąbek twojej spódnicy.

Ile mogłam mieć wtedy lat? Pamiętam tamten wiosenny dzień, gdy padał drobny deszcz, a ojciec posadził mnie na ciągnik i pojechaliśmy drogą wzdłuż morza. Przed oczyma wirowały mi jak wiatraczki uśmiechnięte twarze dorosłych ubranych w płaszcze przeciwdeszczowe, dzieci biegnących w podskokach i machających do mnie, ich mokre włosy klejące się do czół.

Ta biedna wioska nad brzegiem morza była dla ciebie całym światem. Tam się urodziłaś i wychowałaś. Tam dałaś życie dzieciom, tam pracowałaś, tam się zestarzałaś. Tam będziesz kiedyś leżeć obok ojca u podnóża góry, na rodzinnym cmentarzu.

Dotarłam w to miejsce, bo bałam się, że skończę tak samo jak ty, matko. Gdy wyruszyłam w podróż, miałam szesnaście lat. Nie mogę zapomnieć miast, takich jak Pusan, Taegu, Kangnŭng, po których przez ponad miesiąc wędrowałam, po tym jak bez żadnego planu opuściłam dom. Choć dodawałam sobie lat, aby pracować jako kelnerka w japońskiej restauracji, a wieczorami spałam skulona w czytelni, całkowicie mi to odpowiadało. Podobały mi się oślepiające światła miast, imponowali mi ludzie, którzy w nich mieszkali.

Nie wiedziałam wtedy jeszcze, że będę się włóczyć, stara i zniszczona po tamtych ulicach pełnych obcych, matko. Dokąd miałam pójść, skoro czułam się tam tak samo nieszczęśliwa jak w rodzinnej wiosce?

Nigdy nie byłam szczęśliwa. Jakaś uparta zjawa podążała za mną, czepiając się mojej szyi, moich rąk i nóg.

Zawsze miałam ochotę uciekać, jakbym była małym dzieckiem, które płacze, gdy coś je boli, i krzyczy, gdy ktoś je szczypie. Chciałam wyć z rozpaczy. Przysiadałam na tylnym siedzeniu autobusu z najmilszym pod słońcem wyrazem twarzy, matko, ale pragnęłam roztrzaskać pięścią szybę na kawałki. Lizać łapczywie płynącą z dłoni krew. Cóż mnie tak dręczyło, od czego tak chciałam uciec, że planowałam wyjechać na drugi koniec świata? Czemu tego nie zrobiłam, jak kaleka? Czemu nie potrafiłam wyjechać, żeby nabrać w żyły świeżej krwi?

Stary lekarz powiedział, że z mojego brzucha nie dobiega żaden dźwięk. Że słychać tylko odgłos przypominający daleki szum wiatru. Mamrotał coś do siebie, stukając palcem w stetoskop. Odłożył go potem na

stół i włączył czarno-biały monitor USG. Wycisnął białą, chłodną maź i zimnym narzędziem w kształcie patyka spokojnie i metodycznie przejechał po mojej skórze, od splotu słonecznego w dół brzucha. Najwyraźniej w ten sposób na monitorze uwidaczniał się obraz organów wewnętrznych. – W normie – cmoknął sceptycznie i zamruczał: – Tutaj jest żołądek... Nie widzę odchyleń.

Powiedział, że wszystko jest „w normie".

Żołądek, wątroba, macica i nerki – wszystko bez odchyleń.

Dlaczego nie zauważył, że te narządy stopniowo zanikały? Kiedy chusteczkami wytarłam z grubsza żel i chciałam się podnieść, kazał mi leżeć, by tu i ówdzie mocno nacisnąć mój brzuch, który jakoś szczególnie mnie nie bolał.

– Boli cię tutaj?

Zaczął do mnie mówić poufałym tonem, a ja patrzyłam ze złością w jego oczy ukryte za szkłami okularów i raz po raz zaprzeczałam ruchem głowy.

– Tutaj też w porządku? Tutaj też nie boli?

– Nie boli.

Dostałam zastrzyk, ale w drodze powrotnej znowu zebrało mi się na wymioty. Oparłam plecy o pokrytą zimnymi płytkami ścianę w metrze i przykucnęłam. Liczyłam w myślach, czekając, aż ból ustanie. Lekarz przecież kazał się relaksować. Niczym buddyjski mnich orzekł, że źródłem tego wszystkiego jest mój umysł.

„Spokojnie, bez nerwów, raz, dwa, trzy, cztery, liczyć w ten sposób, kiedy będzie mdliło, bez końca i bez nerwów..." Ból nie ustawał, aż w końcu z oczu trysnęły mi łzy, zwymiotowałam kilka razy sokami żołądkowymi i zwaliłam się na podłogę. Czekałam, aż ziemia przestanie się trząść.

Jak dawno to było?

Wciąż wraca do mnie ten sam sen, matko. Rosnę wysoko jak topola. Gwałtownie pnę się do góry przez beton i stalowe pręty, przebijam się przez sufit naszej loggii i sufit piętro wyżej, czternaste i piętnaste piętro, aż na dach. Na moim szczycie rozkwita powoli kwiat przypominający białą gąsienicę. Napęczniałymi do granic możliwości cewkami pompuję przejrzystą wodę, z całej siły rozpościeram gałęzie i piersią dotykam nieba. W ten sposób opuszczam ten dom, matko. Co noc mam takie sny.

Z dnia na dzień robi się coraz zimniej. Dziś również z drzew spadło tyle liści, umarło tyle owadów, tyle węży zrzuciło skórę, a żaby wcześniej niż zwykle zapadły w sen zimowy.

Często myślę o twoim swetrze. Nie potrafię sobie przypomnieć, jak pachnie twoja skóra. Chciałabym poprosić, by mnie tym swetrem przykrył, ale nie potrafię mówić. Co powinnam zrobić? On płacze i złości się, gdy patrzy, jak usycham. Sama wiesz: poza mną nie ma żadnej rodziny. Czuję, jak jego gorące łzy mieszają się ze źródlaną wodą, którą mnie podlewa. Jak zaciska pięść i wymachuje nią w próżni, bez celu.

Boję się, matko. Muszę się wyzbyć kończyn. Donica jest ciasna i twarda. Bolą mnie końce rozrastających się korzeni. Umrę, zanim przyjdzie zima, matko. Już raczej na tym świecie nie zakwitnę.

—

KIEDY TAMTEJ NOCY po powrocie z podróży służbowej po raz trzeci wylałem na nią wodę z miski, żona zaczęła z trudem wymiotować żółcią. Byłem świadkiem tego, jak jej usta, pokryte białymi cętkami, błyskawicznie ściągają się i zwierają. Gdy je odnalazłem drżącą dłonią, po raz ostatni dotarły do mnie ciche słowa, których nie dało się zrozumieć. Już nigdy więcej nie usłyszałem głosu żony, nawet jęku.

Z jej ud zaczęły wyrastać bujne białe korzonki. Na piersi zakwitł czerwony kwiat. Przez sutki przebiły się grube żółtawe pręciki o białych koniuszkach. Gdy miała jeszcze dość siły, chciała owinąć wyciągnięte ręce wokół mojej szyi. Wpatrując się w jej oczy, w których wciąż tlił się nikły blask, nieco przykucnąłem i pochyliłem się, żeby dłonie, przywodzące na myśl liście kamelii, mogły z łatwością mnie przytulić.

– Czy jest ci dobrze? – zapytałem.

W przypominających dojrzałe winogrona oczach pojawił się mglisty uśmiech.

Całą jesień obserwowałem, jak ciało żony przybiera klarowną pomarańczową barwę. Gdy otwierałem okno, jej uniesione ramiona powoli, bardzo powoli kołysały się z podmuchami wiatru.

Z końcem jesieni zaczęły spadać liście. Pomarańczowe ciało stopniowo zmieniało się w brunatne. Zadałem sobie pytanie, kiedy po raz ostatni ze sobą spaliśmy. Zamiast kwaskowatego zapachu wydzielin z jej okolic intymnych dotarł do mnie wówczas obcy aromat. Pomyślałem wtedy, że najwyraźniej zmieniła mydło albo z nudów upuściła kilka kropel perfum. Jakże to było dawno?

W jej obecnej formie nie było już prawie śladów dwunożnego zwierzęcia. Przypominające winogrona oczy stopniowo zapadły się w brunatnej łodydze. Nie mogła już niczego zobaczyć. Nie mogła już nawet poruszyć wierzchołkiem. Gdy jednak wchodziłam na loggię, czułem, jak coś trudnego do opisania i nieuchwytnego łączy nasze ciała, tak jakby przepływał przez nie delikatny prąd. To łączące nas jak cieniutka nić odczucie zanikło, kiedy opadły wszystkie liście stanowiące jej włosy i ręce, a w miejscu ściągniętych, zwartych ust powstała szczelina, z której wydobyła się znienacka garść owoców.

Zebrałem w dłonie te drobne owoce, które wysypały się jednocześnie jak ziarna granatu, i usiadłem na progu między salonem a loggią. Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widziałem. Owoce były jasnozielone i twarde jak ziarna słonecznika podawane w pubie z prażoną kukurydzą.

Chwyciłem jeden z nich i włożyłem do ust. Gładka skórka nie miała smaku ani zapachu. Ugryzłem z całej siły. Owoc jedynej na świecie kobiety, która była moja. Początkowo wydał mi się szczypiąco kwaśny, ale sok, który ostał się na języku, miał nieco gorzki posmak.

Następnego dnia kupiłem ponad dziesięć maleńkich okrągłych doniczek, napełniłem je po brzegi żyzną ziemią i zasadziłem owoce. Ustawiłem doniczki w równym rzędzie obok donicy z uschniętą żoną i otworzyłem okno. Wychylając się przez nie, paliłem papierosa i wspominałem zapach świeżej trawy, która wyrosła kiedyś nagle na podbrzuszu żony. Chłodny późnojesienny wiatr rozdmuchiwał papierosowy dym, plątał moje przydługie włosy. Czy kiedy przyjdzie wiosna, żona wypuści pędy? Czy znów na piersi zakwitnie jej czerwony kwiat? Nie miałem pojęcia.

Opowiadanie pochodzi ze zbioru *Owoce mojej kobiety*, który w przekładzie Justyny Najbar-Miller ukaże się 12 listopada nakładem Wydawnictwa W.A.B.

MAGDALENA BIGAJ, twórczyni i prezeska Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. Autorka książki *Wychowanie przy ekranie*. Medioznawczyni, badaczka i działaczka społeczna. Pomysłodawczyni i współautorka Ogólnopolskiego Badania Higieny Cyfrowej. Laureatka Nagrody Korczaka za działania na rzecz praw dziecka w przestrzeni cyfrowej. W listopadzie tego roku „Pismo" wyda jej książkę pt. *Listy z cyfrowego roju*.

FELIETON // LISTY Z CYFROWEGO ROJU

O pożytecznych trudnościach i sensie studiowania

tekst MAGDALENA BIGAJ

Był grudniowy ciemny poranek, jeden z tych, kiedy trudno rozpoznać porę dnia, bo latarnie palą się jeszcze w porze śniadania. Znajoma akademiczka poprosiła mnie o wykład. Studenci skapywali do sali jeszcze kwadrans po godzinie rozpoczęcia zajęć. Ostatnia weszła mocno umalowana brunetka w kurtce puchatej niczym Wielki Ptak z *Ulicy Sezamkowej*. Usiadła i zrobiła to, co reszta grupy: otworzyła laptop, wzięła do ręki telefon i zaczęła scrollować. Odczekałam chwilę i powiedziałam: „A teraz schowacie telefony, zamkniecie komputery i zapłacicie mi swoją uwagą. Dokładnie tak, jak właśnie płaciliście nią w sieci".

Znajoma spojrzała na mnie przepraszająco. Oczywiście mogłam sobie na taką niegrzeczność pozwolić wyłącznie dlatego, że miałam status gościa. Gdybym była zatrudniona na uczelni, studenci mogliby mi potem wystawić złe opinie w corocznej ocenie wykładowczyni, a to z kolei mogłoby wpłynąć na moją sytuację na uczelni. System oceniania nauczycieli akademickich przez studentów i studentki, z założenia mający na celu podnoszenie jakości zajęć, stał się kagańcem dla prowadzących.

Wielokrotnie spotykałam się z opiniami, że jeśli wykłady byłyby ciekawsze, studenci by nie scrollowali. Mówią tak zwykle ci, którzy są dobrymi mówcami i nie mają problemu z utrzymaniem uwagi słuchaczy. Nie sądzę jednak, że każdy nauczyciel musi być mistrzem mowy polskiej. Co więcej, podejrzewam, że przed salą pełną zascrollowanych studentów i w Cyceronie umarłaby dusza. Problem jest znacznie głębszy niż retoryczne umiejętności wykładających i sprowadza się – moim zdaniem – do tego, że coraz więcej osób ma problem z radzeniem sobie z nudą oraz koncentracją na czymś dłuższym niż rolka na TikToku.

Kiedy na inna znajoma wykładowczyni zapytała swoich studentów, dlaczego sięgają po telefony w trakcie prelekcji, odparli: „Bo zajęcia są nudne". Nuda jednak jest kategorią z porządku indywidualnego, nie zaś obiektywną wartością. Jeśli coś jest dla nas właśnie takie, to wyłącznie efekt zderzenia przekazu z naszym indywidualnym aparatem poznawczym. Co nudne dla jednych, potrafi być pasjonujące dla innych. Co więcej, uważam, że szkoła i uczelnia – stawiając nas w sytuacji nudzenia się – są może jednymi z ostatnich miejsc, w których wielu z nas może doświadczyć tego stanu. Promowany przez kulturę masową styl życia współczesnego człowieka przypomina raczej egzystencję wiecznego dziecka – ma być przyjemnie i wesoło, głównie za sprawą cyfrowych zabawek. Nudę niczym natrętną muchę zabijamy telefonem, który zawsze mamy pod ręką. W ucieczce od wymagającego skupienia wykładu akademickiego do scrollowania jest jakieś zdziecinnienie polegające na potrzebie bycia stale zabawianym nowymi obrazkami, które nie wymagają niczego więcej poza otwartymi oczami.

Zastanawiam się też, co tu jest pierwsze: jajko czy kura? Nudzący się student sięga po telefon czy może zawczasu odpala ekran, by nie mierzyć się z tym, co jest po prostu trudne, wymagające skupienia i intelektualnego wysiłku?

Ale nie tylko scrollowanie jest wyzwaniem dla dzisiejszej akademii. Upowszechniająca się w niespotykanym dotąd tempie technologia AI postawiła nas przed ważnym pytaniem, z którym musimy się zmierzyć: „Czym dzisiaj jest studiowanie i jaki jest jego sens?". Problem niebagatelny i znacznie wykraczający poza kwestię jednostki. Studiowanie było zawsze pewnym rodzajem umowy społecznej. Ponieważ obowiązek

rysunek ANNA GŁĄBICKA-MRÓZ

Cykl *Listy z cyfrowego roju* sponsoruje **Orange**.

A gdyby tak w centrum rozwoju technologii postawić człowieka? Magdalena Bigaj, medioznawczyni i twórczyni Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa, pyta o społeczne koszty postępu technologicznego. Ile za niego płaci *homo sapiens digitalis*? I jak higiena cyfrowa może nam pomóc zachować zdrowie fizyczne, psychiczne i społeczne? Więcej na **magazynpismo.pl/listy-z-cyfrowego-roju**

szkolny kończy się w wieku 18 lat, osoby podejmujące studia dobrowolnie poddawały się wysiłkowi intelektualnemu i finansowemu, by zdobyć więcej wiedzy. W myśl tej niepisanej zasady społeczeństwo obdarzało absolwenta wyższej uczelni większym zaufaniem i skłonne było sowiciej go wynagradzać niż osobę o niższym wykształceniu z tej samej dziedziny. Wynikało to z prostej logiki: ta osoba uczyła się dłużej i dokładniej zgłębiła temat. Zresztą samo słowo „studiować" pochodzi od łacińskiego czasownika *studere* oznaczającego „gorliwie się czymś zajmować", „przykładać się do czegoś", „dążyć do czegoś z zapałem". Nie ma wzmianki o szybkości czy łatwości.

Tymczasem możliwości, które przyniosła AI, niszczą tkankę akademicką i odwieczną umowę społeczną związaną z trudem studiowania. Przy odrobinie sprytu można przejść całe studia, nie pisząc samodzielnie żadnego tekstu i nie czytając w całości żadnej książki. Co więcej, trzeba dzisiaj wiele świadomego wysiłku, by wyciągnąć ze studiowania pełnię jego potencjału. Nowe technologie kuszą nas czymś, na co człowiek ze swojej natury jest niezwykle łasy: odciążeniem poznawczym.

Z punktu widzenia ewolucji wcale nie chodzi o to, żebyśmy byli mądrzy, tylko żebyśmy przetrwali. Musimy być oczywiście na tyle bystrzy, by umieć zdobywać pożywienie i dach nad głową, ale natura preferuje te czynności, które zużywają stosunkowo mało kalorii. Dotyczy to również wysiłku poznawczego. Jeśli da się gdzieś iść na skróty, bądźcie pewni, że przyciągnie to waszą uwagę. Z tego względu wysiłek intelektualny zwany jest… – no właśnie – „wysiłkiem". W każdym razie nie słyszałam, żeby ktoś wyrażał się o zrobieniu doktoratu jako o łatwym i relaksującym doświadczeniu. Dlatego z natury chętnie wspieramy się tym, co nas poznawczo odciąża: notujemy, robimy listy zakupów, używamy kalkulatorów i nowych technologii, również takich jak AI. Rachunek niestety nie jest prosty. Z jednej strony szybciej i łatwiej realizujemy zadania, z drugiej – tracimy niezbędny do sprawnego funkcjonowania intelektualnego trening. Zwłaszcza w przypadku sztucznej inteligencji sprawa jest szczególnie ryzykowna. Wspiera ona już nie tylko w liczeniu czy poszukiwaniu informacji, ale także w zapamiętywaniu (ograniczając trening pamięci), w syntezowaniu (zwalniając z nauki wyciągania wniosków), w podejmowaniu decyzji (ograniczając możliwość zbierania doświadczeń wynikających z własnych rozwiązań), a ponadto w planowaniu, analizowaniu i pisaniu. Sporo umiejętności do oddelegowania, wiele czasu do zyskania, a co do stracenia? Z badań André Barcauiego opisanych w artykule *ChatGPT as a cognitive crutch: Evidence from a randomized controlled trial on knowledge retention* (*ChatGPT jako poznawcza proteza. Dowody z randomizowanego badania kontrolowanego dotyczącego zapamiętywania*) – opublikowanym na łamach „Social Sciences & Humanities Open" – wynika, że chociaż studenci uczący się z AI szybciej wykonywali swoje zadania, to gorzej zapamiętywali zdobywaną wiedzę. Ich wyniki w niezapowiedzianym teście były statystycznie istotnie słabsze od uzyskanych przez osoby niekorzystające ze wsparcia AI.

Jedna z teorii uczenia się mówi o „pożądanych trudnościach". Robert A. Björk z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles w licznych badaniach udowadnia, że narażają nas one na błędy i wydłużają czas wykonywania danego zadania, ale długofalowo dają dużo lepsze efekty niż poznawcze odciążenie. Takimi pożądanymi trudnościami są właśnie próby zapamiętywania informacji, samodzielnego ich zdobywania i przetwarzania – choćby z treści wykładu w odręcznie pisaną notatkę.

Łatwy dostęp do informacji za pomocą nowych technologii może rodzić błędne przekonanie, że zadanie związane ze zdobywaniem wiedzy zostało wykonane. Tymczasem uczenie się nie polega na ekspozycji na informacje, lecz na podejmowaniu świadomego trudu wybierania tych, które warto zapamiętać, powtarzania ich, łączenia z tym, co już wiemy, i przetwarzania w coś nowego.

Któregoś razu po wykładzie dla uczestniczek i uczestników programu „Liderzy jutra" w Muzeum Powstania Warszawskiego podszedł do mnie student prawa i podzielił się swoją obawą: „Jeden z naszych wykładowców powiedział, że prace składane u niego możemy pisać z AI. Moi koledzy załatwiają więc zadanie w jeden wieczór i idą na piwo, a ja ślęczę nad tym kilka dni. Zgadzam się z tym, co pani mówi, ale nie wiem, na jak długo starczy mi jeszcze motywacji".

Mam na to jedną odpowiedź: nie trać tego, po co przyszedłeś. Powtarzam to każdego roku, witając nowy rocznik słuchaczy i słuchaczek na studiach podyplomowych z higieny cyfrowej. Studiowanie jest przywilejem i tym okresem w naszym życiu, gdy mamy prawo uczynić priorytetem zdobywanie wiedzy i związane z tym korzystne trudności. To czas, gdy możemy powiedzieć: „Nie mogę, bo piszę esej"; „Nie spotkam się, bo uczę się do egzaminu". Samodzielne zdobywanie wiedzy jest budowaniem własnej autonomii. Jeśli pozwolimy nowym technologiom zburzyć odwieczne ramy studiowania, stracą studenci i społeczeństwo. Pozostaje zapytać, kto na tym zyska?

AGATA ROMANIUK, doktorka nauk społecznych, reporterka i bajkopisarka. Absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu. Inicjatorka projektu reportersko-badawczego Światła Małego Miasta.

FELIETON // COŚ NA RZECZY

Zmowa parasoli

tekst AGATA ROMANIUK

Drobne historie o wielkich rzeczach. Felietony o ludzkich sprawach widzianych przez pryzmat przedmiotów codziennego użytku.

Więcej na **magazynpismo.pl/cos-na-rzeczy**

Znowu zapomniałam parasola. Pech, bo przecież jesienne dni są spełnioną obietnicą deszczu. Rano jeszcze słońce, jeszcze światło przenikające przez kolorowe liście (Japończycy mają nawet słowo opisujące to zjawisko: *komorebi*). A po południu już ulewa, wieje, głowę urywa. Wtedy Warszawa rozkwita parasolami. Wybuchają kolorami przy wyjściu z metra. Pysznią się na pasach dla pieszych, na przystankach, suną chodnikami.

Dziewczyna przede mną chowa się pod parasolką w czerwone grochy. Widzę tylko kawałek jej szczupłych pleców i spodnie dzwony. Idzie wolno, tanecznym krokiem. Z mojej prawej elegancki mężczyzna, urzędniczy akrobata, balansuje z kawą w papierowym kubku, teczką i czarnym parasolem przypominającym skrzydła kruka. Jak postać z niemego filmu. Pod budynkiem poczty młoda para przytula się do siebie pod małą niebieską parasolką ze złamanym jednym drutem. Zaraz porwie ją wiatr. Dobrze, że chociaż mają siebie. We dwójkę moknie się mniej.

Ja moknę sama, ale nic nie szkodzi. Lubię deszcz w mieście – kiedy uderza o rynny i balustrady, tworząc kałuże-lustra dla budynków i pomników (założę się o napoleonkę, że Adam Mickiewicz wychyla się z cokołu, żeby się przejrzeć w kałuży i poprawić fryzurę). Lubię też deszcz leśny i wiejski – kiedy mech pęcznieje wodą, a ścieżki zmieniają się w błotne rzeki. Moknie wtedy kamienna stodoła, którą upodobały sobie jaskółki. Krople deszczu stukają też o drewniany ganek, który zbudował mój mąż. A żółte kalosze kupione w sklepie wędkarskim w Giżycku mogą się wreszcie wykazać. Bo lubię spacerować, kiedy pada.

Takich jak ja, miłośników deszczu, Anglicy nazywają *pluviophiles*. Sprawdzam w słowniku, ale okazuje się, że w polszczyźnie wciąż brak odpowiedniego słowa. Nie szkodzi, wiem na pewno, że jest nas, „pluwofilów", z pewnością więcej.

Z radością kupuję więc kolejne parasole i beztrosko je gubię. To ciekawy przedmiot, taki parasol. Większość ludzi zalicza go do rzeczy z kategorii „mam, ale z nadzieją, że nie użyję". To przedmiot czekający w pogotowiu (na wszelki wypadek), który oby się nie przydał. Do tego rzadko potrzebuje serwisu i nie zmienia się w czasie.

Jego konstrukcja pozostaje zasadniczo taka sama od lat – od czasu, kiedy w 1852 roku Samuel Fox opracował składany model z metalowymi żebrami, na których rozpinano materiał. Po wojnie, w czasach niedoborów, wykorzystywano do tego na przykład płótno ze spadochronów. Jest w tym coś ładnego, że tkanina na parasol dosłownie spadała z nieba. Chciałabym mieć takie cudeńko.

Kiedyś napisałam reportaż o pani, która kolekcjonowała parasolki. Miała ich dziesiątki. Mokre zostawiała na półpiętrze. Przez lata sąsiad z dołu je składał i zanosił na górę, kładąc na wycieraczce. Pewnego dnia zadzwonił do drzwi. Wyszedł z tego romans, krótki i szczęśliwy. Lubię myśleć, że to była zmowa parasoli. Najwyraźniej uznały, że dla tej pary przyszedł czas na trochę miłości.

rysunek ANNA GŁĄBICKA-MRÓZ

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków **Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego** pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

STUDIO
teatrgaleria

instytucja kultury
miasta stołecznego
Warszawy

KAROL RADZISZEWSKI DIK FAGAZINE 17.09-27.11.2026

VOGUE LIVING K MAG MINT SZUM

BRUDNE STRONY
DIRTY PAGES

GALERIA STUDIO
PLAC DEFILAD 1
PKIN , WARSZAWA

Czytaj najlepsze reportaże opublikowane w „Piśmie”. Zrozum rzeczywistość, w której żyjesz.

Dowiedz się:

- jak przemoc szkolna przeniosła się do internetu?
- jak mogą zaszkodzić ustawienia hellingerowskie?
- dlaczego mężczyźni rezygnują z życia w związku?

Zeskanuj kod QR lub wejdź na magazynpismo.pl/wybor-reportazy i wypróbuj miesięczną prenumeratę z dostępem online. Możesz zrezygnować, kiedy chcesz.